HISTORYA

— o —

GARBUSKU

I TRZYNAŚCIE

Innych ciekawych bajek

Z TYSIĄCA NOCY I JEDNEJ.

Wydanie nowe poprawione.

1911

HISTORYA O GARBUSKU

Historya o Garbusku

I TRZYNAŚCIE

Innych Ciekawych Bajek

Z "Tysiąca Nocy i Jednej."

Zawiera.

1. O mniemanem zabójstwie garbuska, który żył, a za jego śmierć kilku ludzi miało być straconych na szubienicy.
2. Historya Kupca Chrześcianina, który ułaszczył sie na cudze pieniądze.
3. Historya o Młodzieńcu bez ręki, który utracił wielki majątek i chwycił się złodziejstwa.
4. Historya Szafarza o kupcu bagdazkim, który utracił palce u nóg i rąk za jedzenie potrawy z czosnkiem.
5. Historya Lekarza-Żyda o chorym młodzieńcu, który utracił prawą rękę podczas dziwnych przygód miłosnych.
6. Historya Krawca o kulawym młodzieńcu, który się szalenie zakochał w córce Kadiego, oraz o natrętnym balwierzu, który sie przyczynił do wielu nieszczęść przez swą gadatliwość.
7. Historya Balwierza o 10 rozbójnikach, którzy dopuszczali się okrutnych zbrodni.
8. Historya o Bakbuku, który szył darmo suknie dla zalotnej młynarki i koszule dla jej męża, a wreszcie musiał młyńskie koło obracać.
9. Historya o Bakbarahu, który został zwabiony podstępem do pałacu pięknych dam i jakie go tam nieszczęścia spotkały.
10. Historya o Bakbaku, który miał różne przygody ze złodziejem i fałszywym sędzią.
11. Historya o Alkuzie i czarowniku, który barana zamienił w człowieka.
12. Historya o Alnaszarze i pięknej damie, która sprowadzała bogatych mężczyzn do siebie, a potem ich okradała i mordowała.
13. Historya o Szakabaku, który miał dziwne przygody na uczcie u sławnego Bermecyda, a następnie dostał się w ręce rozbójników; także o przywróceniu zadławionego garbuska do życia przez zręcznego balwierza.

WYDANIE NOWE, POPRAWIONE

Cena 25 centów.

1911.

31. O ZABÓJSTWIE GARBUSKA.

KRAWIEC, ŻYD LEKARZ, SZAFARZ MUZUŁMANIN I KUPIEC-CHRZEŚCIANIN PRZYZNAWALI SIĘ DO ZBRODNI, KTÓREJ NIE POPEŁNILI.—CIEKAWA ROZPRAWA POD SZUBIENICĄ.—ZJAWIENIE SIĘ SUŁTANA.

NOC 121.

"Żył niegdyś w Kasgarze, na granicy wielkiej Tartaryi, pewien krawiec. Miał on bardzo piękną żonę, którą serdecznie kochał. Pewnego dnia zobaczył przed swoją pracownią małego garbuska, który śpiewał i grał na biskajskim bębenku. Podobał mu się jego śpiew i muzyka, więc postanowił zabrać go do swego domu, aby mu rozweselił jego żonę. Oświadczył to garbatemu, a gdy ten okazał chęć służenia mu, zamknąwszy sklep, zaprowadził go do swego domu. Gdy weszli do mieszkania, żona krawca była zajęta nakrywaniem do stołu, bo już był czas na wieczerzę. Nakrywszy stół, postawiła na nim półmisek z gotowanemi rybami. Potem usiedli wszyscy troje do jedzenia. Garbaty jadł tak łakomie, że połknął ość i udławił się nią.—Krawiec i jego żona zmartwili się tem bardzo i byli w obawie, aby sąd, dowiedziawszy się o tym wypadku, nie ukarał ich za to udławienie się garbuska. Wkrótce jednak krawiec wynalazł sposób pozbawienia się trupa: przypomniał sobie, że w sąsiedztwie

ich mieszka żyd lekarz. Wziął więc z żoną trupa garbuska i zanieśli go oboje przed dom lekarza. Zastukali do drzwi, przy których były zaraz schody prowadzące do jego izby. Służebnica wyszła natychmiast, otworzyła drzwi i zapytała, czego chcą?—"Wróć się czemprędzej," odpowiedział krawiec, "i powiedz panu, że przyprowadzamy bardzo chorego człowieka.

Weź to," dodał, kładąc jej w rękę pieniądz, "daj mu na zadatek, żeby był przekonanym, że chcemy mu zapłacić za trud."—Gdy służebna odbiegła z tą korzystną wiadomością do swego pana, krawiec i jego żona porzucili trupa na schodach i uciekli.

Tymczasem dobroduszna służąca, opowiedziała lekarzowi, że jakiś mężczyzna i niewiasta czekają na niego przy drzwiach i proszą, aby do nich zeszedł dla zobaczenia chorego, którego ze sobą przyprowadzili i zarazem wręczyła mu pieniądze otrzymane od kupca. Lekarz ucieszył się tem niezmiernie gdyż mniemał, że to niezgorsza nastręcza mu się gratka.—"Weźno czemprędzej światła," polecił służebnej, "i zejdź ze mną."—To mówiąc, wybiegł z takim pośpiechem na schody, że nie czekał nawet na światło, i zawadziwszy się o garbusa, z przestrachu palnął go tak silnie nogą w bok, że trup stoczył się aż na dół i łbem uderzył o drzwi sieni, i on sam ledwie że za nim nie zleciał.—"Światła! światła!...." zaczął krzyczeć na cały głos. Gdy służąca przybiegła ze światłem, zeszedł z nią i poznawszy, że to był człowiek już nieżywy, tak się okropnie przestraszył, że zaczął wzywać imienia Mojżesza, Arona, Jozuego, Ezdrasza i wszystkich innych proroków swego zakonu. "Ach, nieszczęśliwy, cóżem uczynił!"—zawołał, "dlaczego nie czekałem na światło; dobiłem chorego.—Jestem przyczyną jego śmierci i jeżeli dobry osiołek Ezdrasza, na którym z niewoli babilońskiej przyjechałem do Jeruzalem, nie poratuję mię: zginąłem. Niestety! wywloką mię wnet z mojego domu za zabójstwo...."

Atoli mimo trwogi i pomięszania nie omieszkał drzwi domu zaryglować, z obawy żeby kto z przechodzących nie był świadkiem nieszczęścia, którego mniemał się być sprawcą.—Wziął potem na plecy trupa i zaniósł do izby swojej żony, która o mało nie zemdłała, ujrzawszy go, jak wnosił ten fatalny ciężar.—"Ach! zginęliśmy," zawołała, "jeżeli się jakim sposobem nie pozbędziemy tego biedaka; jeżeli do dnia u nas przebędzie, to już po nas! Co za nieszczęście! Jakimże ty sposobem zabiłeś tego człowieka?"—"Nie czas o tem rozprawiać," odpowie żyd, "trzeba nam tu raczej wymyślić jaki sposób na zaradzenie tak groźnemu niebezpieczeństwu."

NOC 122.

"Strapiony żyd napróżno łamał sobie głowę i targał się za brodę.—Lecz żona jego, więcej pomysłowa, rzekła: "Wiesz co,—przyszła mi wyborna myśl:—oto wynieśmy trupa na dach naszego domu i spuśćmy go przez komin do domu naszego sąsiada, muzułmana."

Muzułmanin był szafarzem dworu sułtańskiego. Miał on między innemi obowiązek starania się o dobrą oliwę, masło i o wszelkiego rodzaju tłuszcze; u niego więc był główny skład, w którym szczury i myszy wielkie czyniły spustoszenia.—

Żyd, pochwaliwszy trafny pomysł swej żony, wziął z nią garbatego, zaniósł na dach swojego domu i, podłożywszy sznur pod pachy trupa, spuścił go kominem do izby szafarza tak sprawnie, że równemi nogami stanął przy murze, jakby był żyjącym. Gdy już poczuli, że jest na dole, wyciągnęli napowrót sznur i zeszli z dachu. Zaledwie zdążyli to uczynić, gdy szafarz wszedł właśnie do swojego mieszkania. Powracał on z uczty weselnej, na którą był dnia tego zaproszony. Zobaczywszy stojącego

człowieka w kominie, z początku osłupiał, lecz z przyrody będąc odważnym i myśląc, że to jest jaki złodziej, złapał poteżny kij do ręki i, przystąpiwszy do garbatego, rzekł: "A! tyżeś to, ptaszku nocny!.... No proszę:—dotychczas myślałem, że mi szczury i myszy zjadają masło i tłustości, a to ty hultaju zakradasz się kominiem do mojej spiżarni. Ale mam nadzieję, że na zawsze stracisz do niej apetyt!...." Po tych słowach zaczął okładać kijem garbatego tak silnie, że biedny nieboszczyk upadł nosem na ziemię, a szafarz począł go bić jeszcze bardziej. Lecz spostrzegły nakoniec, że ciało mniemanego złodzieja najmniejszego nie daje znaku życia, zatrzymał się cokolwiek i poznawszy od razu, że już był trupem, zamiast gniewu pełen strachu, zawołał: "Nieszczęśliwy! cóżem uczynił najlepszego, wszak zabiłem człowieka. Ach! za daleko posunąłem swą zemstę! Wielki Boże, jeżeli ty się nie zlitujesz nademną biednym szafarzem, to mi bez wszelkiego obrzędu łeb utną! Przeklęte omasty i oliwy, do czegożeście mnie przywiodły!"— Śmiertelna bladość okryła nieboraka. Zdawało mu się, że go już wloką do sądu a stamtąd na rusztowanie. Opanował go wskutek tego taki strach, że sam już wreszcie nie wiedział, co ma dalej robić...."

NOC 123.

"Szafarz sułtana kasgarskiego, bijąc garbuska, nie spostrzegł z początku jego garbu. Zobaczył go dopiero później i zaczął mu straszliwie złorzeczyć: "Nędzny garbusie," zawołał z rozpaczą, "przeklęty psie garbaty, wolałbym, żebyś mi wykradł był wszystkie tłuszcze z mojego składu i żebym cię tu był nie widział. Nie byłbym w takiej biedzie, w jakiej teraz jestem przez ciebie i twoje przeklęte garbisko. O, wy gwiazdy rozjaśnionego firmamentu!—mnie tylko dziś jednemu użyczcie waszego światła w tak widocznem niebezpieczeństwie!"—Wymawiając te słowa, wziął na plecy garbatego, wyszedł z domu i, udawszy się z nim na róg ulicy, postawił go pod cudzym sklepem i—sam, nie obejrzawszy się nawet, czmychnął do swego mieszkania.—

Na kilka chwil przededniem kupiec chrześciański, bardzo bogaty, który dostawiał do pałacu sułtana część potrzebnych towarów, strawiwszy noc na pijatyce, wyszedł z domu, chcąc się udać do łaźni. Jakkolwiek dobrze był jeszcze pijany, poznał jednak, że już noc jest na schyłku i że wkróce miano iść na modlitwę poranną. Szedł przeto śpiesznie do łaźni z obawy, ażeby który z muzułmanów idących do meczetu nie spotkał go i nie zaprowadził do więzienia, jako nocnego pijanicę. Gdy już doszedł do rogu ulicy, zatrzymał się naprzeciw sklepu, przy którym sułtański szafarz postawił ciało garbatego. Trup nagle poruszony obalił się na kupca: ten zaś myśląc, że to złodziej, który go chce obedrzeć, powalił go na ziemię i zaczął go okładać laską, krzycząc przy tem na cały głos: "złodziej! złodziej!"

Straż tej dzielnicy miasta, usłyszawszy krzyk kupca, przybiegła; a widząc że chrześcianin tak niegodziwie poniewiera muzułmanem, gdyż garbusek był wyznawcą religii muzułmańskiej: "Dla czegoż to," zawoła jeden z żołnierzy, "tak niemiłosiernie bijesz tego człowieka?"—"Chciał mię obedrzeć na drodze," odpowiedział kupiec, "i rzucił się na mnie, aby schwycić za gardło."—"Dosyć więc już zemściłeś się"—odpowie dowódca straży, odciągając go od garbusa; sam zaś chciał pobitemu dopomódz do wstania, lecz widząc że już nieżyje: "Hola!"—krzyknie, "do tegożto już przychodzi, że chrześcianin odważa się zabijać muzułmana!"

Po tych słowach zatrzymał on chrześcianina i zaprowadził go do urzędnika policyi, który kazał go wtrącić do więzienia i uwiadomić o tem sędziego."—

Przez ten czas kupiec chrześcianin wytrzeźwił się i im więcej rozważał swój przypadek, tem mniej był w stanie pojąć, jakim sposobem, uderzywszy kilka razy garbuska, mógł go zabić.

Sędzia, uwiadomiony przez straż o popełnionem zabójstwie, i widząc przyniesionego trupa, zaczął badać chrześciańskiego kupca, który nie mógł zaprzeć występku, chociaż nie był onego sprawcą. Lecz że garbusek należał do dworu sułtana, gdyż to był jeden z jego błaznów, sędzia nie chciał kupca skazywać na śmierć, nie dowiedziawszy się wprzód, jaka będzie w tej mierze wola monarchy. Poszedł więc do pałacu i opowiedział sułtanowi całe zdarzenie, na co sułtan oświadczył wprost: "Żadnej łaski dla chrześcianina, zabójcy muzułmana. Idź i wykonaj swą powinność."—Usłyszawszy to sędzia, kazał postawić szubienicę i wołać po całem mieście, iż będzie powieszony chrześcianin za zabicie muzułmana.

Wyprowadzono tedy winowajcę z więzienia, stawiono pod szubienicą i już kat, założywszy stryczek na szyję, tylko co go miał powiesić, gdy wtem nadbiegł szafarz sułtana i przystąpił do kata, wołając: "Zaczekaj! niech ci się tak nie śpieszy, bo to nie on, ale ja popełniłem zabójstwo."—Sędzia, obecny przy wykonaniu wyroku, zaczął wybadywać szafarza, który nic nie ukrywając, opowiedział mu, jakim sposobem zatłukł garbuska i trupa jego zaniósł na róg ulicy, gdzie kupiec chrześciański musiał go znaleść przechodząc.—"O włos, żeście oto nie odebrali życia, niewinnemu; bo on nie mógł zabić człowieka, który już był bez życia; dosyć i tak dla mnie nieszczęścia, że muzułmana zabiłem, miałżebym jeszcze brać na sumienie niewinną śmierć chrześcianina?!...."

NOC 124.

"Gdy szafarz sułtana kasgarskiego wyznał sam publicznie, że był sprawcą śmierci garb[illegible]rzę-

dnik nie mógł nie chcieć uwolnić kupca.—"Puszczaj chrześcianina," zawołał na kata, "a powieś tego oto człowieka, gdyż teraz z jego własnego zeznania okazuje się, że on jest prawdziwym zabójcą."—Kat puścił kupca i bez żadnej ceremonii założył powróz na szyję szafarzowi; lecz gdy go już chciał wieszać, usłyszał znowu głos żyda lekarza, który wołał, błagając, ażeby się zatrzymać z wykonaniem kary;—a gdy się przedarł przez tłum ludzi ku szubienicy i stanął przed sędzią, rzekł: "Panie, muzułman ten, którego rozkazujesz wieszać, nie zasłużył na śmierć,—ja jestem prawdziwym winowajcą! Wczorajszej nocy jakiś mężczyzna nieznajomy z kobietą zakołatali do drzwi moich, przyprowadzając chorego. Służebna moja wyszła do nich bez światła, i przyjąwszy pieniądze ofiarowane dla mnie, oświadczyła, że sobie życzą, ażebym zeszedł dla zobaczenia chorego na schody i sami gdzieś zniknęli. Chciałem więc zbiegnąć do nich, nie czekając aż mi służebna poświeci i w tej ciemności, potrąciwszy nogą chorego, zrzuciłem go ze schodów aż na sam dół.—Przekonawszy się, że już nie żyje,—to jest ten muzułman garbaty, którego śmierć ma tu dziś być pomszczoną—oboje z żoną moją zanieśliśmy go na dach naszego domu; stamtąd zaś uradziliśmy dostać się z nim na dach sąsiedzki tego oto szafarza, któregoście chcieli zgubić niesprawiedliwie, i spuściliśmy go przez komin do jego izby. Szafarz, jak się teraz domyślam, ujrzawszy go u siebie w kominie, obszedł się z nim jak ze złodziejem i sądził, że go zabił; lecz inaczej się rzecz ma, jak z wyznania mojego sądzić możecie. Ja więc jestem prawdziwym jego zabójcą. I lubo mimowolnie popełniłem ten szkaradny występek, wolę jednak zań pokutować, niż żeby mi sumienie wyrzucać miało niewinną śmierć dwóch muzułmanów; przeto upraszam was, ażebyście puścili wolno szafarza sułtańskiego. Straćcie mnie zamiast niego, bo nie kto inny tylko ja oczywiście zabiłem tego garbuska."

NOC 125.

Widząc tedy sędzia, że żyd lekarz prawdziwym jest zabójcą, zawołał na kata, aby go wziął na stryczek, a szafarza sułtańskiego puścił wolno. Już, już lekarz miał się pożegnać z tym światem, gdy usłyszano głos krawca, ktory wołał na kata, aby się wstrzymał z wieszaniem; a gdy stanął przed sędzią, rzekł z pokorą:

"Ach, panie! niewiele brakowało, żeście nie stracili niewinnie trzech ludzi; jeżeli bowiem raczysz mieć tyle cierpliwości, aby mię z uwagą wysłuchać, przekonasz się od razu, że ja jestem prawdziwym zabójcą garbatego i jeżeli jego śmierć ma być pomszczoną czyją śmiercią, to niech ja tylko umieram. Wczoraj przed wieczorem, podczas gdy pracowałem w moim sklepie i pragnąłem się rozweselić, garbusek ten na wpół pijany przyszedł i usiadł naprzeciw mnie i zaczął śpiewać; a gdy go poprosiłem, aby zechciał u mnie przepędzić wieczór, chętnie się na to zgodził i poszedł ze mną. Usiedliśmy zaraz do stołu, dałem mu na talerz dzwono ryby,—które jedząc łakomie, udławił się i mimo wszelkiego ratunku, na miejscu ducha wyzionął. Śmierć jego bardzo nas przeraziła: lękaliśmy się, aby nas nie ukarano za zabójstwo. Wzięliśmy więc trupa i zanieśliśmy do mieszkania żyda lekarza."

Biedny krawiec, opowiedziawszy surowemu sędziemu resztę szczegołów tego wypadku rzekł: "Gdy więc taka jest rzetelna istota czynu, raczcie więc uwolnić lekarza, a mnie straćcie na jego miejsce."

Urzędnik i wszyscy przytomni z podziwieniem słuchali dziwnych przygód, dotyczących śmierci garbuska, a sędzia rzekł do kata: "Uwolnij więc lekarza, a powieś tego krawca, ponieważ sam przyznaje się do występku. Historya ta jest nadzwyczajną i myślę, że zasługuje na to, aby ją wypisano złotemi głoskami.... jako przykład dla potomności."

NOC 126.

"Kat, uwolniwszy lekarza, zaczął się już na dobre zabierać do powieszenia krawca, gdy tymczasem sułtan kasgarski, który nie mógł się długo obejść bez garbuska, swojego błazna, zapytał się gdzie on jest?—na co mu jeden z urzędników odpowiedział: "Najjaśniejszy panie, garbaty, o którego się wasza sułtańska mość zapytujesz, upiwszy się wczoraj, wybiegł cichaczem z pałacu, aby pobiegać po mieście, i dziś znaleziony został nieżywym.—Dziś właśnie przyprowadzono sędziemu człowieka oskarżonego o jego zabicie, i sędzia kazał natychmiast wystawić szubienicę; lecz wtem gdy miano wieszać winowajcę, przybiegł inny a za nim jeszcze trzeci, z których każdy siebie tylko oskarża, a tamtych dwóch uniewinnia. Już to trwa dosyć długo; sędzia zajęty jest teraz właśnie wypytywaniem trzeciego, który się mieni być prawdziwym zabójcą."

Usłyszawszy to sułtan kasgarski, posłał rozkaz do sędziego na miejsce egzekucyi, ażeby mu natychmiast przyprowadził oskarżonych, i kazał przynieść zwłoki garbuska, którego życzył sobie przynajmniej jeszcze raz widzieć. Posłaniec pobiegł czemprędzej i prawie zdążył na tę chwilę, kiedy już kat zaczynał ciągnąć krawca na szubienicę; krzyknął przeto na niego, żeby się wstrzymał z egzekucyą. Kat, poznawszy posłańca monarszego, wypuścił z rąk swoich ofiarę.—Sędzia, będąc posłusznym objawionej sobie woli sułtana, udał się natychmiast do pałacu z krawcem, żydem-lekarzem, szafarzem i z kupcem chrześcianinem, rozkazawszy nieść swoim ludziom ciało garbuska.

Sędzia, stanąwszy wraz ze wszystkimi przed sułtanem, upadł do nóg monarchy, poczem wiernie opowiedział mu wszystko, co tylko wiedział o śmierci garbuska. Sułtan za tak ciekawe poczytał to zdarzenie, że nakazał swojemu kronikarzowi opisać je ze wszystkimi szczegółami; potem zwrócił się do obe-

cnych i rzekł: "Słyszeliście kiedy co dziwniejszego nad ten wypadek z przyczyny śmierci garbuska, naszego błazna?

Kupiec chrześcianin, oddawszy taki niski ukłon sułtanowi, że aż czołem uderzył o posadzkę, odezwał się w te słowa: "Potężny monarcho, wiem ja pewne zdarzenie, nic mniej ciekawe niż to, o którem waszej sułtańskiej mości dopiero co oznajmiono. Opowiem je, jeżeli, miłościwy panie, będziesz raczył mię posłuchać Okoliczności dotyczące onegoż są tego rodzaju, że nie masz na świecie człowieka, któryby ich słuchając nie wzruszył się do żywego."—Gdy sułtan zezwolił na to, zaczął więc od razu swoją powieść, jak następuje:

32. HISTORYA KUPCA CHRZEŚCIANINA,

KTÓRY ZE SPRZEDAŻY CUDZEGO ZBOŻA MIAŁ WIELKIE ZYSKI I ZJEDNAŁ SOBIE ZAUFANIE, LECZ POMIMO TO CHCIWOŚĆ GO PRZEMOGŁA I POKUSIŁ SIĘ NA UŻYWANIE CUDZYCH PIENIĘDZY.

"Najjaśniejszy panie, zanim nędę mógł zacząć swoją historyę, muszę tu pierwej oznajmić, że nie miałem szczęścia urodzić się w krajach podległych berłu twojemu. Jestem cudzoziemcem, z pokolenia Koptów,[1] religii chrześciańskiej. Ojciec mój był sławnym stręczycielem handlowym, i zebrawszy znaczny majątek, zostawił mi wszystko po swej śmierci. Idąc za jego przykładem temuż samemu oddałem się zawodowi. Gdym się znajdował pewnego dnia w publicznym domu kupców handlujących wszelkiego rodzaju zbożem, jeden z nich, młody, urodziwy i przystojnie ubrany, jadąc na ośle, zbliżył się ku mnie, ukłonił się i odwiązawszy węzełek w chustce, w którym miał próbkę sezamu, rzekł: "Po czemu płaci się teraz wielki korzec wybornego sezamu?"

1. Koptowie byli ch[illegible]gipskimi i należeli do [illegible] Jakobitów lub Eutychianów.

NOC 127.

Przypatrzywszy się tedy rzeczonej próbce sezamu, odpowiedziałem kupcowi, że według obecnej ceny targowej płacono korzec po sto drachm srebrnych. —"Poszukajże," rzekł do mnie, "kupców, którzyby go odemnie po tej cenie nabyli, i przyjdź do bramy Zwycięstwa z odpowiedzią:— ujrzysz tam chan oddzielny, w którym będę na ciebie czekał." Po tych słowach odjechał, zostawiając mi próbkę sezamu, którą gdy pokazałem kilku kupcom, odpowiedzieli mi wszyscy, że gotowi są nabyć to zboże, licząc po sto dziesięć drachm srebra za korzec; miałem więc zysku po dziesięć drachm na każdym. Zachęcony tym zyskiem, poszedłem do bramy Zwycięstwa, gdzie młody kupiec na mnie czekał i zaprowadził mię do swego magazynu, w którym było pięćdziesiąt korcy sezamu. Gdym go przemierzył i włożył na osły, dostałem za niego pięć tysięcy pięćset drachm.—"Z tej sumy," rzekł do mnie młodzieniec, "pięćset drachm do ciebie należy, licząc po dziesięć od korca, gdyż tyle przeznaczyłem na twoją korzyść. Co się tyczy reszty pieniędzy, które do mnie należą,— ponieważ nie potrzebuję ich teraz, poodbierawszy je od kupców, zechciej zatrzymać u siebie, dopóki ich nie zażądam."—Na to mu oświadczyłem, że kiedykolwiek zechce je odebrać, znajdzie je na każde zawołanie. Odchodząc pocałowałem go w rękę.

Przez cały miesiąc nie pokazał mi się na oczy, dopiero przy końcu tego czasu znowu się z nim spotkałem. "A gdzie masz," rzecze, witając mnie, "moje cztery tysiące pięćset drachm?" — "Są w mojem schowaniu," odpowiedziałem, "i zaraz je wyliczę." — Że zaś przybył na ośle, prosiłem go, ażeby zsiadł i posilił się nieco w moim domu, zanimby odebrał pieniądze. "Nie mogę teraz korzystać z twej gościnności," odpowiedział, "bo jadę do sąsiedniego miasteczka w pilnej sprawie, lecz wkrótce powrócę i wtedy wstąpie do ciebie, aby zabrać swoje pieniądze, które miej w pogotowiu."—To wymówiwszy, odjechał. Lecz na próżno go co chwila wyglądałem, bo nie powrócił aż znowu dopiero w miesiąc.—"Ten młody kupiec," pomyślałem sobie, "daje mi dowód wielkiego zaufania, gdy nie znając mię wcale, powierza mi cztery tysiące pięćset drachm srebra; inny nie uczyniłby tego wcale, abym z pieniędzmi nie uciekł." Przy końcu trzeciego miesiąca, przyjechał znowu na ośle, lecz wspanialej niż przedtem ubrany..."

NOC 128.

"Zaledwie ujrzałem swojego wierzyciela, wyszedłem naprzeciw i nalegałem na niego, aby zsiadł, zapytując uprzejmie, czy mam zaraz wyliczyć pieniądze. "Nie masz w tem nic pilnego," odpowiedział mi z wesołą i miłą twarzą.—"Wiem dobrze, że pieniądze moje są w dobrych rękach, i jak tylko będę ich potrzebował, zaraz tu po nie przyjadę. Bądź zdrów," dodał, "oczekuj mnie w końcu tego tygodnia." To wymówiwszy, zaciął swego osła i wnet zniknął mi z oczu.— "No, no." pomyślałem, "każe mi czekać na siebie do końca tygodnia, a z jego mowy miarkuję, że go przez długi czas nie zobaczę. Zacznę ja robić jego pieniędzmi, mogę na nich nie źle skorzystać."

Jakoż nie zawiodłem się na swojem przypuszczeniu: cały rok upłynął, a ja o młodzieńcu żadnej powziąść nie mogłem wiadomości. Nakoniec przybył znowu, równie wspaniale ubrany, jak podczas ostatnich odwiedzin, lecz zdawał mi się być trochę niespokojnym, i prosiłem go natarczywie, ażeby mię zaszczycił już teraz wstąpieniem do mego domu.—"Zgoda," odpowiedział, "uczynię to przynajmniej raz dla ciebie, lecz pod warunkiem, że nie będziesz dla mnie żadnego nadzwyczajnego czynił wydatku,"—"Uczynię to, co mi rozkażesz," rzekłem: "Zsiądź, proszę cię, panie."— Jakoż zsiadł i wszedł do mnie. Rozkazałem, aby czemprędzej przygotowano małą ucztę; tymczasem zaś roz-

mawialiśmy ze sobą. Na dany znak, że już wszystko gotowe, zasiedliśmy obaj do stołu. Spostrzegłem odrazu, że najpierwszy kawałek wziął ręką lewą, i mocno mnie to zastanowiło, że nie używał jak wszyscy ludzie prawej ręki. Od czasu, jak go poznałem, zdawał mi się zawsze być bardzo ludzkim i ugrzecznionym, trudno mi więc było to przypuścić, że to czynił dla okazania mi wzgardy."

NOC 129.

"Bardzo tedy pragnąłem dowiedzieć się o przyczynie tego postępowania. Po skończonej biesiadzie, gdy moi służący pozbierali ze stołu i odeszli, usiedliśmy obaj na jednej sofie, i młodzieńcowi gościowi ofiarowałem pasztecik tak wyśmienity, że najwymyślniejsze podniebienie mogłoby w nim zasmakować. Wziął go odemnie znowu lewą ręką. — "Panie," rzekłem do niego wtedy, "daruj mi, proszę, moją śmiałość, że cię zapytam, dlaczego nie używasz prawej ręki?" — Zamiast dania mi na to odpowiedzi, westchnął i, wyciągnąwszy rękę, którą dotychczas ukrywał pod szatą, pokazał mi, że jest ucięta, co mię mocno zdziwiło. Może ty do mnie miałeś żal, widząc, że jem lewą ręką.—"Mogęż wiedzieć przyczynę," zapytałem, "tego tak wielkiego nieszczęścia?"—Na te słowa, młodzieniec zalał się łzami i dopiero po chwili, gdy się uspokoił, zaczął mi opowiadać swoje nieszczęście tak, jak ja tu zamierzam je opowiedzieć waszej sułtańskiej mości.

33. HISTORYA O MŁODZIEŃCU BEZ RĘKI.

HANDEL JEDWABIEM.—SPOTKANIE Z PIĘKNĄ DAMĄ, CÓRKĄ BOGATEGO EMIRA.—SZALONA MIŁOŚĆ.—ROZKOSZE POWODEM UTRATY MAJĄTKU.—UTRATA RĘKI ZA KRADZIEŻ.—ŚMIERĆ PIĘKNEJ DAMY.

"Wiedz tedy," rzekł do mnie, "że urodziłem się w Bagdadzie. Jestem synem bogatego i nie mniej urodzeniem jak godnością znakomitego ojca. Jak tylko zacząłem poznawać świat, uczęszczałem do ludzi bawiących się podróżami, którzy bardzo ciekawe opowiadali mi zdarzenia, osobliwie o wielkim Kairze. Opowiadania ich wielce przypadły mi do smaku, aż stąd powziąłem wielką ochotę do podróżowania. Lecz ojciec mój żył jeszcze wtedy, a pewny byłem, że nigdy nie pozwoliłby na to. Umarł wreszcie, a zgon jego uczynił mnie panem swej woli, postanowiłem więc udać się do Kairu. Wydałem dosyć dużo pieniędzy na skupienie różnych przednich materyj bagdackich i musulskich i puściłem się w drogę.

Za przybyciem do Kairu nająłem sobie w chanie, noszącym nazwę Mezrura, skład na towary i mieszkanie, gdzie kazałem poskładać paki, przywiezione ze sobą na wielbłądach; to uczyniwszy, wszedłem do po-

koju, dla wypocznienia po trudach podróży; tymczasem zaś ludzie moi, nakupiwszy żywności, gotowali jedzenie. Po obiedzie poszedłem zobaczyć zamek miasta, niektóre meczety, publiczne place i inne miejsca godne widzenia.

Nazajutrz kazałem powyjmować z niektórych pak najpiękniejsze i najbogatsze materye dla zaniesienia ich do bezestanu.[1] Chcąc dowiedzieć się, coby za nie dawano, obciążyłem temi materyami niektórych moich niewolników i przyszedłem najpierw do bezestanu Czerkiesów. Otoczył mię natychmiast wielki tłum stręczycieli, którzy już naprzód wiedzieli o moim przyjeździe. Rozdałem pomiędzy nich próbki materyj, i zaraz poczęli obwoływać po całem mieście i pokazywać je po wszystkich bezestanach; lecz każdy kupiec ofiarował daleko mniej, niż mnie samego kosztowały, licząc wartość ich z pierwszej ręki i wszystkie inne moje wydatki. Rozgniewało mnie to bardzo, i gdy niektórym stręczycielom wynurzyłem swoje oburzenie, rzekli mi: "Jeżeli nas zechcesz posłuchać, damy ci sposób sprzedania twoich towarów bez żadnej straty..."

NOC 130.

"Usłyszawszy taką obietnicę, zapytałem się," mówił dalej młodzieniec, "jakiby to był ten sposób?"— "Rozdaj towary,', odpowiedzieli mi, "pomiędzy różnych kupców; oni rozprzedadzą je na łokcie i po dwa razy na tydzień w poniedziałek i czwartek, będziesz odbierał od nich należne ci pieniądze. Tym sposobem nie tylko nie utracisz nic, ale jeszcze zarobisz i kupcy nie będą także bez zysku. Przez ten czas będziesz mógł używać rozrywek w mieście i na statkach pływających po Nilu."

Rada ich dość mi się podobała, wziąłem ich przeto ze sobą do mego magazynu, gdzie kazałem wydobyć wszystkie swoje towary, a powróciwszy do bezestanu, rozdałem je pomiędzy kupców, których mi jako najrzetelniejszych polecono i którzy dali na siebie zapisy w przyzwoitych wyrazach uwiarogodnione przez świadków, pod warunkiem, że w ciągu pierwszego miesiąca żadnych wypłat domagać się od nich nie będę.

1. Miejsce publiczne, na którem sprzedają jedwabne materye i inne drogie towary.

Rozporządziwszy tym sposobem swojemi towarami, oddałem się uciechom i rozkoszom. Zawarłem przyjaźń z różnemi osobami, będącemi mniej więcej w moim wieku, które starały się usilnie, abym cały czas mile przepędzał. Gdy pierwszy miesiąc przeszedł, zacząłem obchodzić swoich kupców dwa razy w tydzień, mając przy sobie urzędnika, dla sprawdzenia ich ksiąg handlowych, i jednego wekslarza, dla ocenienia różnych rodzajów monety, którą mi płacili. A tak w każdy dzień wybierania przypadających wypłat, powracając do chanu, przynosiłem ze sobą znaczną ilość pieniędzy. Prócz tego w inne dni nawet, raz u jednego drugi raz u drugiego kupca, przepędzałem poranne chwile i wielką miałem przyjemność rozmawiać z nimi i przypatrywać się czynnościom handlowym w bezestanie.

Pewnego poniedziałku, siedząc u jednego z tych kupców, nazwiskiem Bedreddyn, ujrzałem znakomitą damę, o ile można było wnosić z jej postaci i stroju, tudzież z przystojnego ubrania jej niewolnicy, która za nią postępowała. — Wszedłszy do sklepu, usiadła przy mnie. Powierzchowność ta, z przyrodzonymi jej wdziękami połączona, które się w każdem jej poruszeniu przebijały, mocno ujęły mię za serce i wielką powziąłem chęć zawarcia z nią bliższej znajomości. Nie wiem czy to spostrzegła, że sobie miałem za rozkosz przypatrywać się jej powabom i czy jej to było przyjemnie lub nie, dość że uchyliła grubą zasłonę, pod którą cienki muślin tyle tylko twarz jej zasłaniał, że mogłem widzieć jej wielkie czarne oczy, które mię zachwyciły; a co mnie jeszcze bardziej oczarowało

i do reszty ogarnęło miłością, to był jej głos anielski i wyrażenia się, pełne zniewalającej uprzejmości, gdy przywitawszy się z kupcem, spytała go jak mu się powodziło od czasu jej ostatniego z nim widzenia?

Po długiej rozmowie o różnych rzeczach z kupcem, powiedziała mu, że szuka materyi na złotem tle i że przyszła do jego sklepu, jako najznaczniejszego w całym bezestanie i że bardzoby rada ją tu znaleść. Bedreddyn pokazał jej kilka sztuk; nad jedną zastanowiwszy się, spytała o cenę. — "Tysiąc sto drachm srebrnych," odpowiedział. — "Dam ci tyle," odpowiedziała; "jednakże zawierzysz mi do jutra i pozwolisz wziąć materyę, a ja niezawodnie ci odeślę tysiąc sto drachm." — "Pani, najchętniejbym to uczynił, gdyby materya ta była moją własnością, ale ona należy do tego oto młodzieńca, a dzień dzisiejszy jest zakresem wypłaty, w którym mu powinienem ją złożyć."—"Ach! cóż to za powód," zawołała dama ze zdziwieniem, "że sobie tak nieludzko ze mną dziś postępujesz? Wiesz dobrze, że zawsze bywam w twoim sklepie i ile razy co kupiłam, pozwalałeś mi brać bez pieniędzy; a czyż nie odesłałam ci kiedy zaraz nazajutrz twojej należytości?"—Kupiec przyznał, że to było istotnie prawdą.—"Aż nadto jestem przekonany o rzetelności twojej pani," dodał, "lecz dziś potrzebne mi są pieniądze." — "A więc schowaj sobie twój towar," rzekła z gniewem, rzuciwszy mu na stół materyę.— "Wszyscy wy kupcy jesteście sobie podobni, że nikogo i nic nie umiecie szanować, prócz własnych towarów."— Po tych słowach, zerwała się z miejsca i rozgniewana na Bedreddyna, wyszła ze sklepu..."

NOC 131.

"Gdy spostrzegłem," mówił dalej młodzieniec do kupca chrześcianina, "że dama z takim gniewem porzuciła swe kupno, uczułem, że serce moje bardzo się nią zajęło, zawołałem więc głosem błagającym: "Pani, uczyń to dla mnie, wróć się. Być może, iż ja tu wynajdę sposób zadowolenia ciebie i tego kupca." — Powróciła natychmiast, oświadczając, że to tylko dla mnie czyni.—"Zacny Bedreddynie," rzekłem wówczas do kupca, "za ile chcesz sprzedać tę materyę, podobno do mnie należącą?" — "Za tysiąc sto drachm srebrnych, nie mogę jej dać taniej,"—odpowiedział mi. —"Oddaj ją więc tej damie," rzekłem, "niech ją zabierze. Ustępuję ci w zysku sto drachm i dam pokwitowanie z tej sumy, którą sobie przy wypłacie moich należytości potrącisz."— Jakoż napisałem kwit i podpisany oddałem Bedreddynowi. Potem, wręczając materyę damie, rzekłem: "Możesz ją pani wziąść; co do pieniędzy, odeślesz mi je jutro, albo kiedy będzie ci się podobać. Miałbym się nawet za szczęśliwego, gdybyś ją chciała odemnie przyjąć w darze."— "Nie, nigdy tego nie uczynię," odpowiedziała. "Ludzkość twoja tak jest wielką i obowiązującą, że nie śmiałabym się pokazać światu, gdybym ci za nią nie wynurzyła swej wdzięczności. Niech Bóg, nagradzając twój czyn, pomnoży twe dostatki; niech sprawi, ażebyś mnie przeżył i po mojej śmierci znalazł otwartą bramę do niebios; w końcu życzę ci, aby całe miasto sławiło twą wspaniałomyślność!"

Słowa te ośmieliły mię do tego stopnia, że się odważyłem powiedzieć jej: "Pani, pozwól mi widzieć twarz twoję w nagrodę za to zadowolenie, którego doznajesz przezemnie, a zapłacisz mi z lichwą." Na te słowa obróciła się ku mnie, odsłoniła muślin, który twarz jej zakrywał i ukazała oczom moim nieporównane wdzięki. — Piękność jej oczarowała mnie tak dalece, że nie mogłem jej wyrazić, w jaki mię wprawiła zachwyt. I nigdybym się był nie nasycił przypatrywaniem się jej cudnym licom. Wkrótce jednak twarz zasłoniła, bojąc się, aby jej kto nie spostrzegł, a spuściwszy obsłonkę, wzięła materyę i wyszła ze sklepu, zostawiając mię w zupełnie odmiennym stanie duszy od tego, w jakim się znajdowałem [illegible] widzeniem.—Przez

długi czas bardzo byłem zmieszany i roztargniony. Przed odejściem zapytałem się kupca, czy zna tę damę? — "Znam ją," odpowiedział mi, "jestto córka pewnego emira, który umierając niezmierne pozostawił jej bogactwa."

Za powrotem do chanu Mezrura, ludzie moi zastawili mi wieczerzę, ale nic jeść nie mogłem. Przez całą noc, która mi się zdała w życiu najdłuższą, nie mogłem oka zmrużyć. Jak tylko dzień zajaśniał, wstałem natychmiast, w nadziei zobaczenia tego przedmiotu, który duszy mojej wydarł spokojność. Dla większego przypodobania, ubrałem się przystojniej i bogaciej aniżeli dnia przeszłego i poszedłem niebawem do sklepu Bedreddyna..."

NOC 132.

"Zaledwie tam zdążyłem przybyć i przywitać się z Bedreddynem, ujrzałem śpieszącą damę w towarzystwie swej niewolnicy i wspanialej jeszcze aniżeli dnia poprzedniego przybraną. Nie patrząc nawet na kupca, przybliżywszy się do mnie, rzekła: "Widzisz panie, że rzetelnie dotrzymuję ci danego słowa. Umyślnie przychodzę złożyć ci pieniądze, które powierzyłeś mi, nie wiedząc wcale kim jestem.—Wspaniałość twą na zawsze zachowam w pamięci."— "Pani," odpowiedziałem, "niepotrzebnie się śpieszyłaś, bo ja o należytość swoją nie troszczyłem się wcale i bardzo mi jest przykro, żeś pani dla mnie podjęła tyle trudu."—"Niesłusznie byłoby,"odpowiedziała dama,"nadużywać twej uprzejmości..." I po tych słowach złożyła mi do rąk pieniądze, poczem usiadła przy mnie.

Wtedy ja, korzystając z tak zręcznej sposobności, zacząłem jej objawiać swoje miłosne uczucia, lecz ona, porwawszy się z miejsca, odeszła z gniewem, udając, że ją to oświadczenie obraża. Śledziłem ją oczyma, dopóki tylko dojrzeć mogłem, a gdy już całkiem znikła, pożegnawszy się z kupcem, wyszedłem z bezestanu, sam nie wiedząc dokąd się udać.—Idąc tak zamyślony o mej przygodzie, poczułem nagle, że mię z tyłu pociągano za szatę, i odwróciwszy się, z niezmiernem zadowoleniem poznałem, że to była niewolnica tej damy, co mię takiej niespokojności nabawiła.— "Pani moja," rzecze do mnie, "to jest ta młoda osoba, z którą dopiero przed chwilą rozmawiałeś w sklepie kupca, radaby kilka słów pomówić z tobą, jeżelibyś był łaskaw pójść ze mną."—Pobiegłem natychmiast i zastałem ją w samej rzeczy oczekującą na mnie w sklepie pewnego bankiera.

Pozwoliła mi usiąść przy sobie i rzekła: "Mój miły panie, niech cię to nie zadziwia, że cię trochę zagniewana porzuciłam. Sądziłam bowiem, że nie wypada mi w obecności owego kupca przyjmować twoich oświadczeń i słuchać wyznań tego uczucia, które w tobie wznieciła moja osoba.—Lecz daleka od obrażenia-się, wyznać muszę, że mi twe oświadczenie wielką sprawiło przyjemność i mam się ze najszczęśliwszą, że znajduję w twojej osobie tak godnego mej wzajemności kochanka. Nie wiem, jakie mój widok uczynić mógł wrażenie na twojem sercu, gdyś mię pierwszy raz ujrzał, lecz co do mnie szczerze ci wyznaję, że za pierwszem wejrzeniem, nadzwyczajne ku tobie poczułam przywiązanie. Od wczorajszego dnia myślałam tylko o tobie i już tu sama żądza widzenia się z tobą tak rano, powinna cię przekonać, że mi się podobałeś." —"Pani," rzekłem do niej—ze zbytku miłości i uradowania odchodząc prawie od zmysłów, — "nie mogłem nigdy nic milszego usłyszeć nad to, co mi w dobroci swojej powiedzieć teraz raczyłaś!... Niepodobna z większą namiętnością pokochać kogo, jak ja cię ukochałem od tej szczęśliwej chwili, w której cię po raz pierwszy ujrzałem! Serce moje, zachwycone twemi wdziękami, bez oporu ci się poddało." —"Nie traćmy czasu na daremnych rozmowach," przerwała mi; "nie wątpię o twej szczerości, i ty się o mojej nawzajem wkrótce zupełnie przekonasz. Będziesz łaskaw przyjść do mnie,

czy też chcesz, abym ja do ciebie przyszła?"—"Pani," odpowiedziałem, "jestem cudzoziemcem, więc zamieszkałem czasowo w chanie; nie jest to miejsce na przyjęcie tak wysokiej godności i tak szlachetnych przymiotów damy."

NOC 133.

"Przyzwoitszą owszem byłoby rzeczą," mówiłem dalej, upojony ták niespodzianem szczęściem, "abyś mi pani raczyła wskazać swoje mieszkanie; tam służyć jej będę sobie miał za największy zaszczyt."—Dama zezwoliła na to chętnie. — "Pojutrze," rzekła do mnie, "jest piątek, przyjdźże więc do mnie po modlitwie popołudniowej. Mieszkam na ulicy Pobożnych. Spytaj się tylko o dom Abona Szammy, zwanego Berkutem, niegdyś naczelnika emirów; znajdziesz mnie tam niezawodnie."—Po tych słowach rozłączyliśmy się i dzień następujący w niecierpliwem przepędziłem oczekiwaniu.

W piątek wstałem bardzo rano, ubrałem się w najpiękniejsze, jakie tylko miałem szaty, wziąłem do kiesy pięćdziesiąt sztuk złota, i wsiadłszy na osła, pojechałem w towarzystwie jednego człowieka. — Przyjechawszy na ulicę Pobożnych, kazałem przewodnikowi spytać się o dom Abona Szammy, który mi zaraz pokazano. Zapłaciwszy towarzyszącemu mi człowiekowi należytość, prosiłem go, ażeby sobie dobrze naznaczył dom, w którym mię zostawia i nie omieszkał przybyć po mnie nazajutrz rano, aby mię odwieść do chanu.

Zapukałem do bramy i zaraz dwie małe niewolnice, białe jak śnieg i przystojnie ubrane, wyszły na moje spotkanie.

"Wnijdźcie, prosimy was panie," rzekły do mnie niewolnice. "Nasza pani czeka na was z wielką niecierpliwością. Dwa dni już jak nie przestaje o was mówić."

Wszedłem więc zaraz na dziedziniec i ujrzałem wielki pawilon, otoczony żelazną balustradą, oddzielającą go od ogrodu cudnej piękności. Oprócz drzew służących do ozdoby, znajdowało się tam mnóstwo innych, które się uginały pod wszelkiego rodzaju owocami. Śpiewanie wielkiej liczby ptasząt, które wdzięk głosu swego łączyły z szumem wysoko wytryskującej fontanny z pośrodka kwiecistego parteru, w tysiączne przyodzianego barwy, słodyczą mnie napełniało. — Nadto widok fontanny, którą zdobiły cztery złocone smoki, wyrzucające ze swoich paszcz wodę czystszą od kryształu na wszystkie cztery rogi cembrzyny, powiększał piękność tego miejsca rozkoszy. Dwie młode niewolnice wprowadziły mię do niezmiernie rozległej i wspaniale ubranej sali; i gdy jedna z nich wybiegła, aby dać znać swojej pani o mojem przyjściu, druga została przy mnie i pokazywała mi wszystkie piękności tego miejsca.

NOC 134.

"Nie długo czekałem w sali na ukochaną, damę gdyż weszła niebawem. Przybrana była w perły i dyamenty, lecz piękność oczu więcej jej dodawała ozdoby nad wszystkie te kosztowności. Kibić jej, teraz zupełnie odsłonięta, wydała mi się najkształtniejszą pod słońcem. Nie będę ci opisywał radości, z jaką przypatrywaliśmy się sobie, bo to wszelkie przechodzi wyobrażenie. Wystarczy, gdy ci tylko powiem, że po pierwszych oświadczeniach wzajemnej grzeczności, usiedliśmy na sofie, gdzie rozmawialiśmy ze sobą z niewymownem zadowoleniem. Zastawiono stół najdelikatniejszemi i najwyborniejszemi potrawami. Po uczcie zabawialiśmy się rozmową aż

do samego wieczora. Wtedy przyniesiono nam wybornego wina i owoców budzących pragnienie; piliśmy oboje przy odgłosie instrumentów, do których niewolnice łączyły swoje śpiewy. Dama nawet sama śpiewała, i swemi piosneczkami obudziła we mnie miłość najczulszego z kochanków. Krótko mówiąc, przepędziłem noc całą w niewypowiedzianych rozkoszach.

Nazajutrz rano, włożywszy jej cichaczem pod poduszkę kiesę zawierającą pięćdziesiąt sztuk złota, pożegnałem się z damą, która mnie zapytała, kiedy się z nią zobaczę. "Pani," odpowiedziałem jej, "przyrzekam ci, że dziś wieczorem do ciebie przyjdę." Odpowiedź moję przyjęła z uradowaniem, odprowadziła mię aż do bramy, i gdyśmy się rozłączali, zaklęła mię, ażebym się uiścił z danego słowa.

Ten sam człowiek, który mię przywiózł był, czekał na mnie przed domem; wsiadłem przeto na osła i powróciłem do chanu Mezrura. Odprawiając oślarza, oświadczyłem, że mu dla tego nie płacę, ażeby po mnie przyjechał po obiedzie o godzinie, którą mu naznaczyłem.

Zaledwie wszedłem do swego pokoju, najpierwszem mojem staraniem było kazać kupić pięknego baranka i różnego rodzaju ciast, które zaraz posłałem damie. Potem zająłem się swojemi pieniężnemi sprawami, aż do przybycia zamówionego oślarza. Wtenczas nie tracąc ani chwili, pojechałem do swojej kochanki, która mię z tąż samą radością jak wczoraj przyjęła i tak wspaniałą jak i pierwsza ucztę sprawiła.

Rozłączając się z nią nazajutrz, zostawiłem powtórnie kiesę z pięćdziesięciu sztukami złota i powróciłem do chanu."

NOC 135.

"Kupiec chrześcianin, mówiąc wciąż do sułtana Kasgaru o młodzieńcu z Bagdadu, tak dalej opowiadał jego przygody: "Codzień," rzecze, "bywałem u tej kobiety i za każdą bytnością zostawiłem jej pięćdziesiąt sztuk złota. Trwało to póty, póki kupcy mając moje towary, od których co tydzień dwa razy odbierałem pieniądze, nie wypłacili mi się do reszty. Nakoniec zostałem bez denora, bez nadziei dostania skąd pieniędzy.

W tym tak rozpaczliwym stanie wyszedłem z chanu, nie wiedząc sam, co miałem czynić; poszedłem ku zamkowi, do którego wielki tłum ludu zgromadził się ze wszystkich stron dla widzenia igrzyska, które dawał sułtan egipski. Przybywszy na miejsce, gdzie zgromadzony lud się znajdował, wmieszałem się pomiędzy tłumy i stanąłem przypadkiem blisko jakiegoś jeźdzca siedzącego na dzielnym koniu, przystojnie przybranego, z zawieszonym na kulbace workiem skórzanym w pół prawie otwartym, z którego wychodziły kutasy z zielonego jedwabiu. Dotknąwszy się ręką worka poznałem, że kutasy te były od kiesy w nim zawartej. Podczas gdy czyniłem sobie ten domysł, z drugiej strony jeźdzca przechodził drążnik, który niósł drwa tak blisko, że jeździec przymuszony był obrócić się ku niemu z obawy, ażeby mu drwami nie rozdarł sukni.

Wtenczas chyba sam szatan mię skusił: wziąłem za kutas jedną ręką, a drugą rozszerzywszy worek, tak zręcznie wyciągnąłem kiesę, że nikt mię nie spostrzegł; a że dosyć była ciężka miałem tedy nadzieję, że się w niej złoto lub srebro znajdowało.

Ale wtem, kiedy już drążnik przeszedł, jeździec, zmiarkowawszy co się stało, ściągnął rękę do swego worka, a spostrzegłszy że w nim nie było kiesy, tak mię silnie ugodził w twarz swoją halabardą, że upadłem na ziemię.

Ludzie obecni temu niezwykłemu wypadkowi ulitowali się nademną, a niektórzy, wziąwszy za cugle konia, zatrzymali jeźdzca, pytając go, za co mię uderzył, i czyli się to godziło tak srodze ukrzywdzić mu-

zułmanina. "To do was nie należy," odrzekł im z gniewem.

"Sprawiedliwie to uczyniłem, bo on jest złodziejem!" Na te słowa podniosłem się, a moją powierzchownością złudzeni, jeszcze bardziej zaczęli wołać i ujmować się za mną, twierdząc, że jeździec jest kłamcą, i że niepodobną jest rzeczą, ażeby taki jak ja młodzieniec mógł popełnić niegodziwy występek, jaki mi przypisywał.

Słowem, wszyscy obecni twierdzili, żem był niewinny; lecz w tem gdy przytrzymali go z koniem dla dania mi czasu do ucieczki, jakby na nieszczęście moje, urzędnik policyjny przejeżdżał ze swymi ludźmi przez to miejsce, i widząc tak wielu skupionych około mnie i jeźdzca, zbliżywszy się, zapytał zgromadzonych, co się stało?

Wszyscy jednomyślnie poczęli oskarżać jeźdzca, że mię niesprawiedliwie uderzył pod pozorem, że go okradłem.

Urzędnik nie dał się tem zaspokoić,co mu mówiono, lecz zapytał jeźdzca, czy niema na kogo innego podejrzenia o tę kradzież? Jeździec odpowiedział mu, że nie, i przytoczył okoliczności powodujące go do mniemania, że jest zupełnie pewnym swych podejrzeń.

Urzędnik, wysłuchawszy go pilnie, kazał swym ludziom zatrzymać mię i zrewidować. Ci niezwłocznie to wykonali, i jeden z nich, odebrawszy odemnie kiesę, pokazał ją publicznie. Nie mogąc znieść tej hańby, zemdlałem, a urzędnik kazał sobie dać kiesę...

NOC 136.

"Gdy rozkazowi urzędnika zadosyć uczyniono, natenczas zapytał on jeźdzca, czy jest jego własnością ta kiesa i wiele w niej znajduje się pieniędzy?—Jeździec przyznał się do kiesy i na dowód oświadczył, że w niej było dwieście cekinów. Sędzia otworzył kiesę, i znalazłszy w niej rzeczywiście taką ilość pieniędzy, oddał mu ją natychmiast, a mnie kazał przyprowadzić do siebie.

"Młodzieńcze," rzekł z surowością, "przyznaj się sam, azali ty wziąłeś kiesę temu jeźdzcowi?—Nie czekaj, aż cię do tego zmuszę torturą."—Wtenczas, spuściwszy oczy, pomyślałem sam w sobie: "Chociaż się nie przyznam, kiesa, którą przy mnie znaleziono, sama przez się dowiedzie, że jestem kłamcą."—Dla uniknięcia przeto dwojakiej kary, podniósłszy głowę, wyznałem, że jestem sprawcą tej kradzieży. Ledwie co uczyniłem to wyznanie, urzędnik, przybrawszy świadków, rozkazał mi uciąć rękę. Wyrok ten został natychmiast dopełniony, co we wszystkich wielką wzbudziło litość; nawet z twarzy jeźdzca można było wyczytać, że nie mniej żałował jak drudzy. Urzędnik mi jeszcze rozkazał uciąć nogę; lecz ja zacząłem błagać ze łzami wzruszonego jeźdzca, żeby mię od tego wyprosił, co on chętnie uczynił i otrzymał dla mnie tę łaskę.

Po odejściu sędziego, jeździec zbliżył się do mnie i rzekł oddając mi kiesę:—"Widzę ja to dobrze, że cię potrzeba zmusiła do popełnienia tej niegodziwej czynności, hańbiącej tak zacnego młodzieńca, jakim ty jesteś!

"Weź sobie tę nieszczęsną kiesę, daruję ci ją i bardzo mi jest przykro, że ci z mojej przyczyny tak wielkie przytrafiło się nieszczęście."—Po tych słowach oddalił się; mnie zaś, osłabionego upływem krwi, wzięli litościwi ludzie do siebie, dali mi się napić dobrego wina, i opatrzywszy troskliwie moją ranę, uciętą rękę włożyli w chustkę, którą zabrałem ze sobą, przywiązawszy ją do pasa.

Gdybym się był wrócił do chanu Mezrura w tym tak okropnym stanie, nie znalazłbym tam przyzwoitej pomocy; również niebezpieczną byłoby rzeczą pokazać się w nim młodej damie.—"Może ona mnie już nie

zechce widzieć więcej," pomyślałem sobie, "gdy się dowie o mojej hańbie. Jakkolwiek bądź postanowiłem jednakże to uczynić; i umyślnie, aby lud za mną nie szedł, krążyłem po różnych ulicach, tak, że dostałem się nakoniec do mieszkania tej damy, tak słaby i znużony, że od razu rzuciłem się na sofę, zakrywszy sobie ramię szatą, z obawy, ażeby tego nie dostrzegła.

Atoli piękna dama uprzedzona o mojem przyjściu i bardzo cierpiącym stanie, w którym się znajdowałem, przybiegła z wielką troskliwością i, ujrzawszy mnie wybladłym i osłabionym, zapytała: "O! mój najmilszy, cóż to się z tobą stało?" — "Pani," odpowiedziałem jej, chcąc zataić swoją przygodę—"ból głowy bardzo mi dolega." — Wyznanie to niezmiernie ją zmartwiło.

"Ach! usiądźże," rzekła do mnie dama, "powiedz mi, proszę, co tego przyczyną? Przecież tak byłeś zdrów, gdy cię ostatnim razem miałam przyjemność widzieć? Nie, nie, tu coś innego zachodzi, i po cóż przedemną to ukrywasz? Powiedz mi prawdę!...." Lecz widząc, że zamiast odpowiedzi twarz moja zalała się łzami:

"Nie pojmuję," zawołała wtedy, "co cię tak trapi? Miałażbym ja mimowolnie być przyczyną jakiego nieszczęścia dla ciebie? — Przychodzisz-że oznajmić mi, że mię już więcej nie kochasz?"—"Ach! nie to jest przyczyną tak okropnego stanu," odpowiedziałem z ciężkiem westchnieniem; "tak niesłuszne twe podejrzenie pomnaża tylko bardziej boleść moją."

Bo też nie w mojej mocy było odważyć się na wyznanie jej prawdziwego powodu mojej słabości. Gdy za nadejściem nocy zastawiono wieczerzę, prosiła mię, ażebym jadł; lecz ja, nie mogąc użyć prawej ręki, wymawiałem się, że nie mam żadnego apetytu.—"Przyjdzie ci apetyt," odpowiedziała, "gdy mi odkryjesz to, co przedemną tak uporczywie chcesz zataić. Twój brak apetytu bez wątpienia stąd pochodzi, że na to nie możesz się odważyć."—"Ach pani!"—odpowiedziałem, "podobnoć zanosi się już na to, że będę przymuszony odważyć się."—Zaledwie wymówiłem te słowa, nalała mi wina do czary i rzekła z dobrocią: "Napij się, napij, to ci doda odwagi." — "Wyciągnąłem więc lewą rękę i wziąłem czarę..."

NOC 137.

"Gdym trzymał napełnioną czarę," mówił dalej młodzieniec, "łkania i wzdychania moje powiększyły się jeszcze bardziej.—"Dlaczegóż więc tak ciężko wzdychasz i gorzkie łzy wylewasz,"—rzekła mi naówczas dama — "i dlaczego lewą a nie prawą ręką przyjąłeś odemnie czarę?"

"Ach pani!" odpowiedziałem zmieszany, "racz mnie mieć za wymówionego, zaklinam cię; nie dlaczego innego to czynię, tylko że na prawej ręce zrobił mi się ogromny i bardzo bolesny wrzód."—"Pokaż mi go, nie bój się, ja ci go zaraz przekolę."— Wymawiałam się od tego jak mogłem, twierdząc, że nie można jeszcze przekłuwać tego wrzodu i wypiłem pełną czarę, która była dosyć wielka. Tęgość wina, niezmierne osłabienie i smutek mój sprawiły, że zasnąłem. Spałem aż do dnia następnego.

Dama, chcąc się wtenczas dowiedzieć, co mi było istotnie w prawą rękę, podniosła szatę, która ją przykrywała, i przekonała się ze zdziwieniem, że rękę mam uciętą.

Widok ten przeraźliwy otworzył jej dopiero oczy, dla czego to na tyle próśb nie chciałem pokazać jej ręki;—i całą noc przepędziła na okropnem strapieniu, bolejąc nad mojem nieszczęściem; nie powątpiewała albowiem, żem to cierpiał dla jej miłości.

Przebudziwszy się, spostrzegłem na jej twarzy, iż do żywego przejęta była żalem. Nie chcąc jednak odnawiać mego strapienia, nic mi już nie mówiła. Kaza-

ła mi dać polewkę z najdelikatniejszych ptasząt, która umyślnie dla mnie była przygotowaną, i prosiła, abym jadł i pił, twierdząc, że to miało mi dodać sił, których tyle potrzebowałem do zniesienia swoich boleści; a gdy następnie chciałem się z nią pożegnać: "Nie pozwolę na to," zawołała, "abyś miał stąd odchodzić. Lubo nic mi nie chcesz powiedzieć, jestem jednak najmocniej przekonana, że ja stałam się przyczyną dolegliwości, którą na siebie ściągnąłeś. Żal, który mnie z tego powodu uciska, nie dozwoli mi żyć długo...

"Lecz zanim przyjdzie mi umrzeć, muszę dokonać zamiaru, który przedsiębiorę jedynie dla twego dobra."

Po tych słowach, przywołała sędziego ze świadkami i uczyniła mię spadkobiercą wszystkich swoich majątków.

Gdy już sędzia i świadkowie wszyscy odeszli, otworzyła wielką skrzynię, w której były wszystkie owe kiesy z pieniędzmi, które za każdą swoją bytnością zostawiałem jej w upominku:—"Żadna z nich," rzecze, "nie jest naruszona; weź przeto klucze od tej skrzyni, jesteś odtąd jej panem."—Podziękowałem jej ze łzami za tę wspaniałomyślność. — "Za nic mam wszystko," odpowiedziała z dobrocią, "cokolwiek dla ciebie uczyniłam; i dopóty nie będę zupełnie zadowoloną, dopóki ci nie dowiodę, jak cię serdecznie i bardzo kocham."

Zaklinałem ją na wszystko co tylko miłość ma w sobie najświętszego, ażeby zaniechała tak zgubnego zamiaru, lecz nie mogłem tego dokazać. Smutny widok mego kalectwa ściągnął na nią kilkotygodniową chorobę i śmierć, która mię napełniła niezmierną boleścią.

Niepocieszonym byłem po jej śmierci, a pamięć o niej pozostanie mi na zawsze.

Zacna ta niewiasta zapisała mi cały swój majątek. Dzięki jej wspaniałomyślności jestem dziś dosyć bogatym, choć już dużo z otrzymanego majątku roztrwoniłem..."

NOC 138.

"Gdy młodzieniec bez ręki skończył swoje opowiadanie," mówił dalej kupiec chrześcianin, "z wdzięczności za trudy, jakie dla niego podjąłem, ofiarował mi sumę, którą mu jeszcze zostałem dłużnym, i wyraził życzenie, abym mu towarzyszył w dalszej podróży, na co się chętnie zgodziłem.

Naznaczyliśmy sobie tedy dzień wyjazdu, za którego nadejściem puściliśmy się w drogę. Przejechaliśmy przez Syryę i przez Mezopotamię, zwiedziliśmy całą Persyę i w końcu przybyliśmy, najjaśniejszy panie, do twojej stolicy. Po niejakim czasie, gdy ten zacny młodzieniec oświadczył mi chęć powrócenia do Persyi, gdzie życzył sobie osiąść na zawsze, podzieliliśmy nasz zarobek i rozłączyliśmy się, szczerze będąc ze siebie zadowoleni. Jakoż niebawem odjechał, a ja, najjaśniejszy panie, zostałem w tutejszem mieście i mam zaszczyt być na usługach waszej sułtańskiej mości. I to jest ta historya, którą pragnąłem opowiedzieć. Nie uznajeszże wasza sułtańska mość, że jest równie ciekawą jak historya garbuska?"

Sułtan kasgarski zawołał z gniewem na kupca chrześcianina: "Za nadto jesteś śmiały! że sobie pozwoliłeś opowiadać mi historyę tak mało godną mojej uwagi i równać ją z przygodami garbuska!... Mógłżeś przypuszczać, że płaskie przygody młodego rozpustnika więcej są warte podziwienia, niż przypadek mojego błazna? Otóż każę was wszystkich powiesić dla pomszczenia jego niezasłużonej śmierci."

Biedny szafarz, przerażony tak straszliwą pogróżką, rzucił się do nóg sułtana:—"Najjaśniejszy panie," rzekł, "upraszam waszej sułtańskiej mości, ażebyś gniew swój wstrzymawszy, raczył mię jeszcze posłuchać; a jeżeli historyę, którą mam opowiedzieć, uzna

wasza sułtańska mość za ciekawszą od historyi garbuska, to proszę, abyś nam wszystkim czterem w łaskawości swej darował życie." — "Wyświadczę ci tę łaskę, o którą mię prosisz.— Mów!" — Wtedy szafarz zaczął opowiadać, jak następuje:

34. HISTORYA SZAFARZA

O KUPCU BAGDADZKIM, KTÓRY UTRACIŁ WIELKIE PALCE U RĄK I NÓG ZA JEDZENIE POTRAWY Z CZOSNKIEM, NIE UMYWSZY NASTĘPNIE RĄK; A NAD KTÓRYM ŻONA JEGO ZNĘCAŁA SIĘ W OKRUTNY SPOSÓB, LECZ NASTĘPNIE SZCZĘŚCIEM GO OBDARZYŁA

"Pewna znakomita osoba zaprosiła mię na wesele swej córki. Nie omieszkałem skorzystać z tego zaproszenia i w domu jej znalazłem się w towarzystwie doktorów, urzędników i innych tego miasta obywateli. Po obrzędach ślubnych dano wspaniałą ucztę. Zasiedliśmy do stołu i każdy jadł to, co mu przypadło do smaku.

Między innemi potrawami znajdowała się jedna bardzo wyśmienita, przyprawna czosnkiem, o którą każdy prosił. Lecz był jeden gość, który jej jeść nie chciał.

Gdyśmy go do jedzenia zachęcali, rzekł: "Darujcie mi, ale potrawy z czosnkiem jeść nie będę, bo pamiętam, co wycierpiałem, gdym raz czosnku skosztował."

Prosiliśmy go zatem, aby nam opowiedział, co mu było po zjedzeniu czosnku. — Lecz gospodarz, nie dawszy mu czasu na odpowiedź, zawołał: "Takiż to czynisz zaszczyt mej uczcie?... Potrawa ta jest wy-

śmienitą; musisz ją jeść koniecznie."—"Panie," odpowiedział mu ów gość, "posłuszny będę twej woli, skoro koniecznie tego żądasz, lecz pod warunkiem, abym po skosztowaniu tej potrawy mógł sobie czterdzieści razy obmyć ręce rośliną kali,[1] czterdzieści razy popiołem z niej i tyleż razy mydłem. Nie będzieszże się gniewał, gdy to uczynię?—w przeciwnym bowiem razie zgwałciłbym przysięgę, którą uczyniłem, a mianowicie, że potrawy z czosnkiem będę jadł tylko pod tym jednym warunkiem."

NOC 139.

"Gospodarz," mówił dalej szafarz do sułtana Kasgaru, "zgodził się na warunek dziwnego gościa i kazał służącym przynieść miednicę i wodę z rośliną kali, z popiołem z niej i z mydłem. Potem zwrócił się do gościa, który był kupcem bagdadzkim, i rzekł: "A teraz, proszę cię, jedz z nami potrawę z czosnkiem."

Kupiec, jakby z przymusu, wziął na talerz kawałek potrawy i z takim zjadł go wstrętem, żeśmy się wszyscy zdumieli. Gdy jadł tę potrawę zauważyliśmy że u prawej ręki miał tylko cztery palce. Widząc to dawca uczty, rzekł do niego: "Jak widzę nie masz wielkiego palca; w jaki sposób go utraciłeś?—"Panie," odpowiedział gość, "nie tylko u prawej ręki nie mam palca, ale także i u lewej." — Na dowód pokazał nam lewą rękę, u której podobnie jak u prawej nie miał wielkiego palca. — "Nie mam również," dodał, "wielkich palców i u nóg. Utraciłem te palce wskutek niesłychanego wypadku, który chętnie wam opowiem. Nieszczęście moje wywoła w was zdziwienie i pobudzi do litości. Pierwej jednak muszę sobie umyć ręce." —Poczem wstał od stołu i obmył sobie ręce sto dwadzieścia razy, a następnie powrócił na swoje miejsce i począł nam opowiadać następującą historyę:

1. Roślina nadmorska, z której popiołów wydobywają sodę.

"Winienem was uprzedzić, że za panowania kalifa Haruna Alraszyda ojciec mój żył w Bagdadzie, gdzie uważany był za najbogatszego kupca w całem mieście.

Był on człowiekiem kochającym się w rozkoszach i zbytkach i mało dbał o własne sprawy, przeto zamiast wielkiego majątku zostawił mi po swej śmierci ogromne długi, które jednak oszczędnością i pracą umorzyłem. Po spłaceniu tych długów przyszedłem wkrótce do znacznego majątku.

Pewnego poranku, gdy otworzyłem sklep, jakaś dama, za którą postępował rzezaniec i dwaj niewolnicy, zatrzymała się przed moim domem. Zsiadłszy z muła, wsparła się na rzezańcu, który podając jej rękę rzekł: "Nie omyliłem się, gdym powiedział, że pani za wcześnie wyjechała, bo oto nawet nie ma jeszcze ludzi w bezestanie."—Dama obejrzała się na wszystkie strony i widząc, że sklepy oprócz mego były jeszcze zamknięte, zbliżyła się ku mnie z prośbą, abym jej pozwolił odpocząć w moim sklepie, dopóki inni kupcy nie pootwierają. W odpowiedzi na jej prośbę oświadczyłem jej, że będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli do mnie wstąpi."

NOC 140.

"Weszła więc do mego sklepu i widząc, że nie było nikogo w całym bezestanie, oprócz mnie i jej rzezańca, odkryła twarz dla ochłodzenia się. Nic w świecie nie widziałem dotąd piękniejszego: ujrzeć ją i pokochać nad życie, było to dla mnie wypadkiem jednej chwili. Nie spuszczałem z niej oczu, czego jednak nie brała mi za złe, jak zauważyłem. Przez cały czas pozwalała mi podziwiać swoje wdzięki i wtenczas dopiero spuściła obsłonkę, gdy się poczęła obawiać, aby jej kto nie zobaczył.

Gdy się zasłoniła, powiedziała mi, że ma kupować różne drogie materye. Wymieniwszy mi je, zapytała, czy ich nie mam u siebie na składzie. — "Pani," odpowiedziałem, "kupiectwem zajmuję się od niedawna, więc dopiero zaczynam sprowadzać towary. Nie jestem jeszcze na tyle bogaty, abym mógł handlować cennemi materyami.— Bardzo mi przykro, że nie mogę pani służyć takiemi materyami, jakich pani sobie życzy."

Potem wyraziłem gotowość zaprowadzenia jej do sklepu, w którymby mogła załatwić swoje sprawunki. Chętnie na to przystała.—Miałem sposobność rozmawiać z nią bardzo długo, gdyż potrafiłem w nią wmówić, że kupcy którzy mają takie materye, jakich szukała, jeszcze nie pootwierali swoich sklepów.

Dowcip jej równie zachwycał me serce jak wdzięki jej ślicznej twarzy. Lecz musiałem nakoniec odmówić sobie rozkoszy dłuższego z nią bawienia. Pobiegłem i wyszukałem materyj, które mieć pragnęła, i gdy wybrała z nich te, co jej nad inne przypadały do gustu, naliczyliśmy za nie sumę pięć tysięcy drachm srebrnych.

Zapakowawszy towary, wręczyłem je rzezańcowi, który je przy sobie zatrzymał. Dama, pożegnawszy się ze mną, odjechała.—Odprowadziłem ją oczyma aż do bramy bezestanu.

Gdy zniknęła mi z oczu, zauważyłem, że moje uniesienia miłosne stały się przyczyną wielkiej nierozwagi z mej strony; tak mię albowiem pomieszała, że nie spostrzegłem, iż odjeżdżając nie zapłaciła mi za swe kupno i żem się jej nawet nie spytał, kto jest i gdzie mieszka. Dopiero wteczas spostrzegłem, że znaczną sumę zadłużyłem się kupcom, którzy mi nie zechcą może na nią poczekać. Poszedłem przeto do nich i wymawiałem się jak tylko mogłem, zapewniając, że znam tę damę. Nakoniec powróciłem do siebie równie pełen uniesień miłosnych jak zmartwienia, że w tak ogromny dług wplątałem się nierozważnie..."

NOC 141.

"Uprosiłem jednak wierzycieli," mówił dalej szafarz, "ażeby przynajmniej tydzień poczekali na należne im pieniądze. Po upływie tygodnia zaczęli się odemnie domagać swej należytości. Prosiłem ich powtórnie, aby mi poczekali jeszcze jeden tydzień. Zgodzili się na to. Nazajutrz, po otrzymaniu powtórnej zwłoki, przybyła do mnie owa dama z wielkim orszakiem.

Gdy wchodziła do mojego sklepu, rzekła: "Długo czekałeś na mnie, lecz przynoszę ci pieniądze za materye, które wzięłam."—Wręczywszy mi pieniądze, rozmawiała potem ze mną bardzo długo. Lubo rozmawialiśmy tylko o rzeczach zwyczajnych, taki jednak umiała im nadać obrót, że tem więcej zostałem przekonany, iż nie omyliłem się w mojem zdaniu, gdy zaraz po pierwszej rozmowie pomyślałem sobie że jest obdarzoną rzadkimi przymiotami umysłu.

Gdy kupcy pootwierali swoje sklepy, odniosłem im pieniądze i bez trudności powierzyli mi zaraz inne materye, o które mię dama prosiła. Nabrałem ich za tysiąc sztuk złota, a dama wzięła te wszystkie towary, nie zapłaciwszy znowu jak wprzódy, nie powiedziawszy nic, i nie dawszy mi się nawet poznać. Mocno mnie to jednak zastanowiło, że żadnej mi nie dała rękojmi na przypadek, gdybym jej więcej nie zobaczył.— Wypłaciła mi sumę dosyć znaczną, to prawda, pomyślałem, lecz zaciągnęła znowu daleko znaczniejszą; czy ona tylko nie jest jaką oszustką...? Może być, że umyślnie wypłaciła mi mniejszą sumę, ażeby mię na większej mogła zarwać!... Kupcy, nie znając jej, u mnie dopominać się będą swoich pieniędzy.

Miłość moja nie była jeszcze tak silną, ażebym zastanawiając się, nie doznawał strapienia. Niespokojność moja pomnażała się z każdym dniem przez cały miesiąc, który upłynął, a ja żadnej o damie nie

mogłem powziąść wiadomości. Wreszcie, gdy wszystko już chciałem sprzedać na zapłacenie naprzykrzających się kupców, ujrzałem ją nadjeżdżającą pewnego rana o tym samym czasie i z tąż samą co dawniej okazałością.

"Gdzie masz twoje wagi?" zapytała mnie, "ażebyś mógł zaraz zważyć złoto, które ci odnoszę." Te słowa rozproszyły bojaźń i pomnożyły miłość moją. Zanim odliczyła złoto, czyniła mi różne pytania, między innemi zaś, czy nie jestem jeszcze żonaty. Odpowiedziałem jej, że dotąd nie miałem żony. Natenczas, oddając złoto rzezańcowi, rzekła mu: "Zatrudnijże się teraz ułatwieniem tej czynności. — Rzezaniec uśmiechnął się, i wziąwszy mię na stronę, kazał mi ważyć złoto i podczas gdy to wykonywałem, szepnął mi do ucha: "Widzę ja dobrze, iż ty zakochany jesteś w mej pani i bardzo mnie to zadziwia, że dotąd się nie ośmielasz oświadczyć z twoją ku niej miłością. Bądź pewnym, że ona cię jeszcze bardziej kocha, niż ty ją. Nie sądź, że ona potrzebuje na co twoich towarów; ona dlatego tylko tu uczęszcza, że gwałtowną ku tobie goreje miłością; i dlatego pytała cię czy masz żonę. Powiedz tylko słowo, a od ciebie zależeć będzie ożenić się z nią, jeżeli tego pragniesz." — "Prawda jest," odpowiedziałem, "że od pierwszego poznania, uczułem w mojem sercu namiętną ku niej miłość. Lecz nie śmiałem pomyśleć nawet o szczęściu pozyskania jej względów. Zaręczam ci, że cały do niej należę, i nie omieszkam odwdzięczyć ci się za tę przysługę, którą mi w tej mierze uczynić możesz."

Zważyłem nareszcie złoto, i podczas gdy je chowałem do worka, rzezaniec podszedłszy ku damie, opowiedział jej wszystko, dodając na głos: "Jest zupełnie zadowolony."—Było to umówione pomiędzy niemi hasło.—Dama, usłyszawszy te słowa, natychmiast odeszła, powiedziawszy mi tylko, że nadeśle do mnie rzezańca i że mam uczynić to wszystko, cokolwiek mi przez niego poleci.

Pełen słodkich marzeń po jej odjeździe, spłaciłem wszystkich kupców i czekałem z wielką niecierpliwością kilka dni na przybycie rzezańca. Naostatek ujrzałem go..."

NOC 142.

"Tak pożądanego posłannika przyjąłem bardzo mile," mówił dalej kupiec, "zapytując go najprzód o zdrowie mojej damy?" — "Najszczęśliwszym jesteś z kochanków, panie," odpowiedział rzezaniec.—"Choruje ona na nieuleczalną ku tobie miłość. Nikt nie może czuć nad nią większej żądzy widzenia się z tobą; i gdyby jej było wolno, przyszłaby tu do ciebie i przepędzałaby chętnie z tobą wszystkie chwile swojego życia."— "Z postaci i szlachetnego obejścia," rzekłem do rzezańca, "wnoszę, że to musi być dama znakomitego stanu."

"Nie mylisz się," odpowiedział mi wtedy rzezaniec. "Jest to powiernica Zobeidy, żony kalifa, która ją bardzo kocha i we wszystkich sprawach na niej polega. Kochanka twoja oświadczyła się już przed żoną rządcy wiernych, że sobie życzy pójść za mąż i oznajmiwszy jej, że ciebie ukochała, prosiła o pozwolenie. Zobeida chętnie na to zezwala. Chcę cię też widzieć, aby poznać jej wybór, co gdy jej się spodoba, ma wam sprawić wesele swoim kosztem. Łatwo więc z tego wnieść możesz, że szczęście twoje jest pewne. Jeżeli bowiem podobałeś się powiernicy, ani wątpić, że się spodobasz i jej pani, która lubi dogadzać jej we wszystkiem i w niczem nie sprzeciwia się jej skłonnościom. Należy więc, abyś natychmiast udał się ze mną do pałacu i po to właśnie tu przyszedłem."— "Gotów jestem," odpowiedziałem mu, "pójść za tobą, dokądkolwiek zechcesz mię poprowadzić."—"Dobrze," rzecze rzezaniec, "lecz wiesz zapewne, że mężczyznom nie wolno wchodzić do pokojów dam dworskich i że nie można inaczej wprowadzić cię do mojej pani, chy-

ba sposobem wymagającym wielkiej tajemnicy. Pani moja wynalazła do tego stosowne środki. Z twojej strony czyń wszystko, co tylko będziesz mógł, a szczególniej bądź ostrożny, bo tu idzie o twoje życie."

Zapewniłem rzezańca, że wykonam pilnie to wszystko, cokolwiekby mi zalecił.—"Potrzeba więc," mówił dalej, "ażebyś przed nocą poszedł do meczetu, który Zobeida, żona kalifa, rozkazała wystawić nad brzegiem rzeki Tygr, i żebyś tam czekał aż po ciebie kto z nas przyjdzie."—Przyrzekłem wszystko to uczynić i czekałem na schyłek dnia z wielką niecierpliwością. Gdy się zaczęło zmierzchać, poszedłem na oznaczone miejsce.

Wkrótce spostrzegłem zbliżającą się łódź, na której wiosłowali sami rzezańcy. Przybiwszy do lądu, znieśli do meczetu kilkanaście dużych skrzyń, poczem oddalili się. Jeden z nich tylko pozostał:—był to ten sam posłannik miłosny który mnie na tę schadzkę namówił. Ujrzałem także swoją damę i natychmiast wyszedłem na jej spotkanie, oświadczając, że jestem gotów na wszystkie jej rozkazy.—"Nie mamy czasu do stracenia," odpowiedziała mi piękna, i po tych słowach otworzyła jednę skrzynię, do której kazała mi się położyć.— "Potrzeba tego wymaga nieodzownie," rzekła, "dla twego i mego bezpieczeństwa. Nie bój się niczego i zupełnie polegaj na mnie." — Zbyt już daleko zapędziłem się, ażeby teraz chcieć myśleć o odwrocie; uczyniłem więc wszystko, czego odemnie żądała. Niebawem zamknęła mnie do skrzyni i klucz wzięła ze sobą. Wtedy rzezaniec, jej powiernik, zawołał innych i kazał skrzynię, w której byłem, zanieść na łódź. Następnie dama wsiadła na statek i zaczęto wiosłować.

W ciągu tej niezbyt przyjemnej żeglugi tysiączne myśli trwożliwe zaczęły mi się snuć po głowie, i zważywszy niebezpieczeństwo, na które mnie lekkomyślność moja naraziła, zacząłem żałować swego kroku.

Statek przybył do brzegu pod sam pałac kalifa. Poznoszono skrzynie i wszystkie rzeczy do izby przełożonego rzezańców, który miał klucz od pokojów dam dworskich. Ten miał sobie powierzoną rewizyę wszystkiego, co do tych pokojów było przeznaczone. Gdyśmy przybyli do pałacu, urzędnik ten spał i trzeba go było obudzić..."

NOC 143.

"Zbudzony przeciw swemu życzeniu, rozgniewał się o to na fawory tkę Zobeidy, moją damę, i zaczął na nią powstawać, że tak późno wracała.—"Nie tak się łatwo stąd wywiniesz," rzekł do niej, "jak sobie ułożyłaś; żadnej skrzyni stąd nie wypuszczę, dopóki jej dokładnie nie zrewiduję." — Jakoż rozkazał natychmiast rzezańcom poznosić do siebie skrzynie i jednę po drugiej otwierać. Zaczęli właśnie od tej, w której ja byłem zamknięty, i wnieśli ją do wskazanej izby. Natenczas taki mię strach opanował, że tego wypowiedzieć nie zdołam. Myślałem, że już będzie koniec z mojem życiem.

Faworytka, mając klucz od tej skrzyni, oświadczyła najuroczyściej, że nie pozwoli na to, ażeby tę skrzynię otwierano. — "Wiesz dobrze," rzekła, "że ja tu nic takiego nie sprowadzam, coby nie było do użycia Zobeidy, twojej i mojej pani. Ta osobliwie skrzynia jest napełniona drogiemi towarami, które mi powierzyli kupcy świeżo przybyli z obcych krajów. Nadewszystko, jest w niej kilka butelek wody, którą przysłano z Mekki, ze świętego źródła Zemzem. Gdyby się która stłukła, zniszczyłaby towary i tybyś za to odpowiadał. Małżonka rządcy wiernych potrafiłaby się zemścić dowolnie za tę twoją bezczelną zuchwałość."

Wreszcie z takim do niego przemówiła rozjątrzeniem i stałością umysłu, że nie śmiał jej się sprzeciwić, i nie tylko tej skrzyni, w której ja zostawałem, lecz żadnej innej nie poważył się otwierać." — "Idźże sobie więc z twojemi tam skrzyniami" — rzekł z gnie-

wem; — i natychmiast zniesiono skrzynie do pokojów ...am dworu.

Lecz zaledwie stanęły na miejscu przeznaczonem, usłyszałem znagła głos wołający: "Kalif, kalif tu idzie!"—Słowa te takim przejęły mię strachem, że nie wiem jakim sposobem potrafiłem to przeżyć.—W istocie był to kalif. — "Cóż to macie w tych skrzyniach?" —spytał się faworytki. — "Rządco wiernych," odpowiedziała, "są to materye, niedawno przywiezione, które dostojna małżonka wasza chciała widzieć."— "Pootwieraj zaraz te skrzynie," rzekł kalif, "ja także chcę je zobaczyć."—Nadaremnie usiłowała od tego się wymówić, przedstawiając mu, że materye te samym tylko służyły damom, i że tym sposobem pozbawiłaby Zobeidę przyjemności, gdyby jej odjął pierwszeństwo ich widzenia. "Otwórz, rozkazuję ci," rzekł powtórnie kalif, "taka jest moja wola." — Napróżno mu jeszcze przekładała, że przymuszając ją, żeby sprzeniewierzyła się swej pani, wystawiał ją na jej gniew i niełaskę.— "Nie bój się," odpowiedział kalif, "biorę to na siebie, że ci się nic nie stanie, otwieraj tylko prędzej, nie nudź mię."

Oczywiście wypadało koniecznie zadosyćuczynić jego woli. Wtenczas tak wielka opanowała mię bojaźń, że dotychczas drżeć muszę, gdy sobie to przypomnę!—Kalif usiadł, a powiernica rozkazała przynosić i stawiać skrzynie, jednę po drugiej, i otwierała je. Dla zwłoki czasu opisywała mu osobliwość każdej z osobna materyi:—tym sposobem chciała go znudzić powoli, żeby zaniechał przeglądania wszystkich skrzyń. "Spieszmy się spieszmy," rzekł kalif, "żebym mógł przejrzeć wszystkie skrzynie..."

NOC 144.

"Faworytka Zobeidy widząc," mówił dalej kupiec bagdadzki, "że kalif chciał koniecznie, aby mu otworzyć skrzynię, w której ja w śmiertelnych potach leżałem, rzekła: "Racz wasza kalifowska mość wyświadczyć mi przynajmniej tę jednę łaskę, ażebym teraz nie pokazywała mu rzeczy, które się znajdują w tej skrzyni. Otworze ją najchętniej, ale tylko w obecności waszej dostojnej małżonki." — "Dobrze," odpowiedział kalif, "zgadzam się na to. Każ, niech wyniosą stąd kufry." — Uradowana faworytka kazała je natychmiast poznosić do swojego pokoju, a ja wtenczas dopiero odetchnąłem.

Jak tylko odeszli rzezańcy, którzy je przenosili, otworzyła czemprędzej skrzynię, w której byłem zamknięty: "Wychodź," rzekła do mnie, i pokazując drzwi do schodów, prowadzących na wyższe piętro, dodała: "idź po tych schodach, i czekaj mię w pokoju, do którego one cię zaprowadzą."—Ledwie co zdążyła drzwi za mną przymknąć, a już znowu wszedł kalif i usiadł na skrzyni, z której dopiero co wyszedłem. Przyczyną tego niespodzianego powrotu była ciekawość wcale mnie nie dotycząca. Monarcha chciał się od niej dowiedzieć, czy nie słyszała lub nie widziała w mieście co nowego? Rozmawiali ze sobą dość długo, wreszcie zostawił ją i odszedł do swoich pokojów.

Ujrzawszy się już bezpieczną, przybiegła do pokoju, w którym na nią czekałem, przepraszając z lubym uśmiechem, że mię na tak wielkie narażała niebezpieczeństwo. — "Nie mniejszą od ciebie," rzekła, "miotana byłam trwogą; wiem, że o tem nie wątpisz, bo musiałam się lękać nie tylko o twoje życie tak drogie sercu memu, ale i swoje własne. Inna na mojem miejscu nie miałaby tyle odwagi i przebiegłości do zaradzenia sobie w tak przykrem położeniu. W tym wypadku tylko nadzwyczajna śmiałość i przytomność umysłu, albo raczej miłość bez granic, którą oddycham ku tobie, mogły mnie jeszcze ratować.— Lecz uspokój się, niebezpieczeństwo już minęło."— Pomówiwszy ze mną przez chwilę, w której ponowiliśmy sobie nawzajem wyznanie najczulszej miłości, kochanka moja odchodząc, rzekła: "Czas już, ażebyś wypoczął; połóż

się; nie omieszkam cię stawić jutro przed Zobeidą, moją panią. Będę mogła to uczynić o którejkolwiek godzinie, bo kalif tylko w nocy zwykł odwiedzać Zobeidę. Po takiem zapewnieniu spałem dosyć spokojnie; a jeżeli jaka inna przyczyna sen mój przerwała, to ją owszem słodko witałem, bo ją sprawiała miła nadzieja prędkiego połączenia się z damą tak piękną i przyjemną.

Nazajutrz faworytka Zobeidy, zanim mię przedstawiła swojej pani, dała mi pierwej wskazówki, jak mam się zachować w jej obecności; o wszystkich prawie uprzedziła mnie pytaniach, które mi monarchini miała zadawać i nauczyła odpowiedzi, jakie jej czynić należało; poczem zaprowadziła mię do wspaniałej sali. Zaledwie do niej wszedłem,zaraz dwadzieścia dam, niewolnic, w wieku już trochę podeszłym, przystrojonych bogato i jednakowo, wyszło z gabinetu Zobeidy i stanęło przy tronie we dwa rzędy z wielką skromnością. Za niemi wystąpiło drugie dwadzieścia młodych panien, równie jak pierwsze przystrojonych, z tą tylko różnicą, że ich szaty wykwintniej były zrobione. W pośrodku tych panien szła Zobeida o postaci majestatycznej, i tak obciążona dyamentami i różnego rodzaju klejnotami, że ledwie iść mogła. Usiadła zaraz na tronie. W jej towarzystwie znajdowała się dama faworytka, która stanęła po prawej stronie, podczas gdy inne damy uszykowały się w pewnem oddaleniu po obu stronach tronu.

Jak tylko Zobeida usiadła na swoim tronie, niewolnice, które weszły najpierwsze, dały mi znak, żebym się zbliżył. Postępowałem więc zwolna pomiędzy dwoma rzędami dam i prawie upadłem na twarz na kobiercu, rozpostartym pod nogami monarchini. Dawszy mi znak, abym się podniósł, zapytała mię o imię, o moją rodzinę i majątek. Pytaniom tym zadosyć uczyniłem ku jej zupełnemu zadowoleniu, bo wyczytałem to nietylko z jej oblicza, ale równie i z kilku słów, które raczyła z dobroci swojej do mnie przemówić.—

"Cieszę się bardzo," rzekła do mnie, "że córka moja (tak zwała swą faworytkę) przez wzgląd na wychowanie, jakie jej dałam, obrała sobie tak godnego małżonka. Potwierdzam jej wybór i pozwalam, abyście się pobrali. Każę poczynić przygotowania do wesela: lecz potrzebną mi jest jeszcze córka moja przez dziesięć dni. W ciągu tego czasu rozmówię się z kalifem i otrzymam na to od niego zezwolenie, a ty zostaniesz tu i na niczem ci zbywać nie będzie."

NOC 145.

"Tym sposobem przez dziesięć dni przebywałem w pokojach dam kalifa," mówił dalej kupiec bagdadzki.—"Przez cały ten przeciąg czasu nie miałem rozkoszy oglądania mej damy. Lecz tak wielkie o mnie z jej rozkazu miano staranie, że ten pobyt był mi bardzo przyjemny.

Zobeida oświadczyła kalifowi, że sobie życzy wydać za mąż swą faworytkę:—na co monarcha chętnie zezwolił i wyznaczył znaczną sumę ze swojej strony, chcąc się przyczynić do ustalenia jej losu. Po upływie dziesięciu dni Zobeida kazała spisać umowę ślubną, którą jej natychmiast dokładnie sporządzono. — Gdy już i przygotowania weselne poczynione zostały, zwołano tancerzów i tancerki i przez całe dziewięć dni w pałacu odbywały się weselne gody. Gdy nadszedł dziesiąty dzień który był naznaczony na obrząd ślubu, damę-faworytkę zaprowadzono do jednej, a mnie do drugiej łaźni. Wieczorem zasiadłem do stołu zastawionego wszelkiego rodzaju potrawami, między któremi była jedna z czosnkiem. Potrawa ta tak mi smakowała, że na inne ani spojrzeć nie chciałem. Lecz jakby na nieszczęście, wstawszy od stołu, nie umyłem rąk, tylko wytarłem je na sucho.

Z nadejściem nocy zastąpiono jasność dnia wspaniałem oświetleniem pokojów dam. Naraz zabrzmiały melodye rozmaitych instrumentów, tańczono i zaba-

wiano się w różne gry; po całym pałacu wesołe rozlegały się okrzyki. Następnie wprowadzono mnie z oblubienicą do wielkiej sali, w której zasiedliśmy na dwóch tronach. Damy przebierały ją kilkakrotnie w odmienne szaty, malowały jej twarz rozmaitymi odcieniami, według zwyczaju przyjętego na weselach, i za każdą odmianą szat przyprowadzano ją przedemnie.

Wszystkie te obrzędy skończyły się nareszcie i zaprowadzono nas do łożnicy.—Jak tylko zostaliśmy sami w pokoju, zbliżyłem się do mojej żony, ażeby ją z całem wylaniem miłością rozpalonego serca uściskać. Lecz zamiast tak upragnionej wzajemności odepchnęła mię gwałtownie i zaczęła wydawać przeraźliwy krzyk, co natychmiast ściągnęło wszystkie damy znajdujące się na pokojach, które trwożliwie zaczęły się wypytywać o przyczynę tego wołania?" — Co do mnie, pogrążony w głębokiem zdumieniu, stanąłem jak wryty, nie mogąc pojąć, co to wszystko ma znaczyć? — "Kochana siostro," zapytały się jej kobiety, "cóż ci się stało w tym tak krótkim przeciągu czasu od chwili rozstania się z nami? — Powiedz, żądaszże w czem pomocy?"—"Odprowadźcie," zawołała, "weźcie mi z oczu tego obrzydliwego człowieka!"—"O pani!"—zawołałem, "czemże ja nieszczęśliwy zasłużyłem sobie na twój gniew?"

"Bezecny jesteś człowiek," odpowiedziała ze wzgardą. — "Jadłeś czosnek, a nie umyłeś sobie rąk. Czyż myślałeś, że ja to ścierpię, ażeby podobny obrzydliwiec mógł zbliżyć się do mnie i zarażać mię swoim oddechem?— Połóżcie go zaraz na ziemi," rozkazała damom, "i przynieście mi bykowca."— Rozkaz jej natychmiast wykonano; i gdy jedne damy trzymały mnie za ręce a drugie za nogi, żona moja zaczęła mię niemiłosiernie katować, póki jej tylko sił stawało. Nakoniec rzekła do dam: "Weźcie go; niech będzie zaprowadzony do urzędnika policyi, ażeby mu kazał uciąć rękę, którą jadł potrawę z czosnkiem."

"O Boże sprawiedliwy!"—krzyknąłem z rozpaczą, "nie dość, że potargano ciało moje plagami, jeszcze każą mi uciąć rękę! I za jakąż to zbrodnię? Oto, żem jadł potrawę z czosnkiem i zapomniałem rąk umyć. O przeklęta potrawa z czosnkiem!—Przeklęty warzelniku, który ją gotowałeś, przeklęty bądź służalcze, któryś mi ją podał!..."

NOC 146.

"Damy," mówił dalej kupiec bagdacki, "obecne przy katowaniu mię przez żonę moją, ulitowały się nademną, usłyszawszy, że mi chce kazać uciąć rękę. "Droga siostro, łaskawa damo nasza," mówiły do faworytki, "za daleko posuwasz swą zapalczywość! Prawda, że to jest człowiek nie znający przyzwoitości, nie umiejący szanować twojej osoby; — lecz błagamy cię pani przebacz mu to uchybienie mimowolne!"— "Nie, nie!" odpowiedziała, "ja muszę go nauczyć, jak ma żyć, i żeby miał już na zawsze znaki swojego niechędóstwa, któreby mu przypominały jak obrzydliwą jest rzeczą jeść potrawę z czosnkiem i potem rąk nie obmyć." — Niezrażone tem odmówieniem, rzuciły się wszystkie do jej nóg, i całując jej ręce, zaczęły ją powtórnie błagać: "Dobra, kochana damo nasza, zaklinamy cię, upamiętaj się w gniewie twoim." — Nie odpowiedziała im nic na to.— Wstała i, wyzionąwszy na mnie tysiączne złorzeczenia, wyszła z pokoju. Wszystkie damy pobiegły za nią i zostawiły mię samego w śmiertelnym niepokoju.

Całe dziesięć dni przebyłem tak samotnie, nie widząc nikogo, prócz starej niewolnicy, która mi przynosiła jedzenie. Pytałem się jej codzień o moją oblubienicę? — "Chora jest," odpowiadała mi, "otrułeś ją zapachem czosnku.—Jakże też ty mogłeś zaniedbać umycia rąk po zjedzeniu tej przeklętej potrawy?"— "Jestże to podobna," pomyślałem sobie wtenczas, "ażeby drażliwość tych dam do tego stopnia dochodziła,

i żeby były przy tem tak mściwe za małe uchybienie?" Kochałem jednak swoją żonę mimo jej okrucieństwa i nie przestawałem jej żałować.

Pewnego dnia rzekła do mnie niewolnica: "Żona twoja już jest zdrowa, poszła do łaźni, i powiedziała mi, że jutro do ciebie przyjdzie; bądź więc spokojny i staraj się ułagodzić jej cierpki humor. Jest to zresztą osoba bardzo rozsądna, mądra i kochana przez wszystkie damy, które są na usługach Zobeidy, naszej czcigodnej pani."

W istocie żona moja przyszła do mnie nazajutrz i rzekła zaraz przy wejściu: "Zanadto dobra jestem, że do ciebie przychodzę, doznawszy tak wielkiej obrazy. Lecz nie mogę przenieść na sobie, ażebym się z tobą pojednała, nie ukarawszy cię pierwej tak, jak zasłużyłeś za to, że po jedzeniu potrawy z czosnkiem nie umyłeś rąk twoich!" — Po wyrzeczeniu tych słów zawołała damy, które wypełniając jej rozkaz, związały mnie, rozciągnęły na ziemi, a żona moja wzięła brzytwę, i tyle była okrutną, że mi poucinała wszystkie cztery wielkie palce u rąk i nóg. Jedna z dam przykładała mi do zranionych miejsc jakieś ziele dla zatrzymania krwi;—lecz pomimo tego wszystkiego, zemdlałem ze zbytniego ujścia krwi i z bólu.

Gdy do siebie nieco przyszedłem, dla odzyskania sił dano mi się napić wina. "Ach pani!"—rzekłem wtenczas do mojej żony, "jeżeliby mi się kiedy jeszcze trafiło jeść potrawę z czosnkiem, nie tylko raz, ale sto dwadzieścia razy umyję sobie ręce."— "Dobrze więc," rzekła moja żona, "pod tym warunkiem zapomnę o tem, coś uczynił, i będę z tobą żyć jak z mężem."

NOC 147.

"Leczeniem ran moich," mówił dalej kupiec bagdadzki, "zajęły się damy Zobeidy. Przykładały mi na nie jakieś zioła dla powściągania upływu krwi, a nawet zalały mi je balsamem z Mekki, o którego prawdziwości nie można było wątpić ani na chwilę, ponieważ wzięty był z domowej apteki kalifa. — Wkrótce zostałem wyleczony i żyłem z żoną swoją w takiej jedności i miłości, jakbym nigdy nie jadł potrawy z czosnkiem. Lecz przyzwyczajony byłem do swobodnego życia, tęskno mi przeto było siedzieć jak na uwięzi w pałacu kalifa. Nie śmiałem jednak powiedzieć tego swojej żonie.—Domyśliła się tego sama i nie mniej jak ja pragnęła wyrwać się z tego zamknięcia. Wdzięczność tylko ku Zobeidzie utrzymywała ją jeszcze. Umiała atoli zręcznie przedstawić to swej pani i opisać jej smutny stan duszy mojej z tego powodu, że mi nie wolno żyć w mieście z ludźmi sobie równymi, tak, iż dobra monarchini zgodziła na wyprowadzenie się nasze z pałacu.

Wkrótce kupiliśmy sobie w mieście, za pieniądze otrzymane od Zobeidy, śliczny dom, który urządziwszy wspaniale, zajęliśmy niezwłocznie. Nabywszy przyzwoitą liczbę obojej płci niewolników, zaczęliśmy żyć okazale, i w najczulszej ze sobą miłości:—lecz niestety! uszczęśliwienie moje krótko trwało. Z końcem roku żona moja umarła.

Nic łatwiejszego dla mnie być nie mogło, jak ożenić się powtórnie i żyć uczciwie w Bagdadzie. Lecz chęć przejrzenia świat nowe mi otwarła przedsięwzięcia. Sprzedałem zatem swój dom i, nakupiwszy różnego rodzaju towarów, przyłączyłem się do pewnej karawany, przeznaczonej do Persyi. Stamtąd udałem się do Samarkandy,[1] skąd przybywszy do waszego pięknego miasta, postanowiłem tu osiąść."

"Oto jest, najjaśniejszy panie," mówił szafarz do sułtana Kasgaru, "cała osnowa historyi kupca bagdadzkiego, którą nam wczoraj podczas biesiady opowiedział."—"Historya ta," rzekł sułtan, "ma w sobie cokolwiek osobliwości, lecz z historyą o moim biednym garbusku nie może iść w porównanie." — Wtedy wy-

1. Samarkanda, starożytne i wielkie miasto w Azyi, stolica królestwa tegoż imienia

stąpił lekarz izraelita i, przybliżywszy się do tronu, padł na twarz przed monarchą. Na dany znak powstał i rzekł: "Najjaśniejszy panie, jeżeli wasza sułtańska mość łaskawie raczysz posłuchać, mam nadzieję, że historya, którą ja opowiem, bardziej mu się spodoba." — "Dobrze, mów," rzecze sułtan;—"lecz jeżeli nie będzie piękniejszą od historyi o garbusku, nie spodziewaj się, ażebym cię uwolnił od powieszenia."

NOC 148.

Żyd lekarz, widząc, że sułtan Kasgaru gotów był go słuchać, zaczął opowiadać, co następuje:

35. HISTORYA LEKARZA ŻYDA

O CHORYM MŁODZIEŃCU, KTÓRY UTRACIŁ PRAWĄ RĘKĘ W DZIWNYCH PRZYGODACH Z PIĘKNYMI DAMAMI, CÓRKAMI RZĄDCY DAMASZKU; LECZ W KOŃCU ZOSTAŁ WYNAGRODZONY ZA SWE CIERPIENIA.

"Najjaśniejszy panie!—Kiedy jeszcze byłem uczniem sztuki lekarskiej, przyszedł do mnie jeden niewolnik z prośbą, ażebym udał się do chorego, który był u rządcy miasta.

Poszedłem natychmiast i znalazłem tam młodzieńca przecudnej urody, lecz wyniszczonego chorobą, która go nawiedziła. Pozdrowiwszy go, usiadłem przy nim.

Na moje pozdrowienie nic mi nie odpowiedział. lecz dał mi do zrozumienia swem wejrzeniem, że oczekiwał na mnie i był mi bardzo wdzięczny za przyjście.

"Panie," rzekłem doń, "proszę mi pozwolić swoją rękę dla zbadania pulsu."—Mój chory zamiast prawej, podał mi lewą rękę.—"Otóż to ciemnota," pomyślałem.

"Nie wie nawet tego, że lekarzowi podaję się prawą a nie lewą rękę."—Rozpoznałem atoli stan pulsu i, napisawszy receptę, odszedłem.

Przez dziewięć dni odwiedzałem stale swego pacyenta, który zawsze do zbadania pulsu podawał mi lewą rękę. Dziesiątego dnia znalazłem go w dobrem zdrowiu, przeto mu oświadczyłem, że już nic więcej nie potrzebuje, jak tylko udania się do łaźni. Obecny przy tem rządca Damaszku, wyrażając mi swe zadowolenie, rozkazał mię w obecności swojej przyodziać w bogatą szatę i zamianował mię lekarzem szpitala miejskiego i całej swojej rodziny. Młodzieniec zaś oświadczył mi swą przyjaźń i prosił mnie, abym mu towarzyszył do łaźni. Poszliśmy tedy razem i—gdy kazał rozebrać się swoim ludziom, spostrzegłem, że nie miał prawej ręki. Uderzyło mię to niezmiernie i zarazem zasmuciło. On to zauważył i rzekł: "Nie dziw się, zacny lekarzu, że mnie widzisz z uciętą ręką. Opowiem ci przy sposobności przyczynę tego, która jak mniemam, zainteresuje cię niezmiernie."

Gdy się wykąpał, zasiedliśmy do stołu i rozmawialiśmy ze sobą dosyć długo. Nakoniec zapytał mię, czyby nie mógł bez szkody dla swego zdrowia, przejść się po ogrodzie rządcy za miasto. Odpowiedziałem, że nie tylko mógł to uczynić, ale nawet koniecznie potrzebował, aby się wzmocnić świeżem powietrzem. "Skoro tak sądzisz," rzekł do mnie, "zechciej przeto towarzyszyć mi, a ja ci za przybyciem do ogrodu opowiem swoją historyę." — Chętnie się na to zgodziłem. Wtedy niezwłocznie rozkazał swoim ludziom, aby w ogrodzie przygotowali podwieczorek. Wkrótce potem udaliśmy się obaj do ogrodu. Obeszliśmy dwa lub trzy razy wszystkie ulice, i usiadłszy na kobiercu, który nam rozesłali w cieniu drzew jego słudzy, młodzieniec tak mi opowiadać zaczął swoją historyę.

"Jestem rodem z Musulu i pochodzę z jednej z najznakomitszych rodzin tego miasta. Ojciec mój był najstarszym ze wszystkich dziewięciu synów, których mój dziad, umierając, zostawił. Atoli z tak licznej braci, jeden tylko mój ojciec miał potomstwo, i to mnie, jedynaka.

O wychowanie moje starał się bardzo troskliwie i kazał mnie wszystkiego uczyć, cokolwiek było potrzebne człowiekowi dobrego urodzenia..."

NOC 149.

"Podrósłszy już cokolwiek, zacząłem brać udział w towarzystwach.—Pewnego razu, gdy z ojcem swoim i stryjami poszedłem na modlitwę popołudniową do wielkiego musulskiego meczetu i gdy po modlitwie wszyscy ludzie rozeszli się, ojciec mój i moi stryjowie, zostawszy tam, usiedli na kobiercu, który rozesłany był w meczecie. Zaczęli rozmawiać o podróżach Wychwalali piękność i osobliwość królestw i miast przedniejszych. Wtedy jeden ze stryjów moich odezwał się:

"Jeżeli można dać wiarę opowiadaniom wszystkich podróżnych, nie ma nad Egipt i Nil nic piękniejszego na świecie." Jakoż wszystko to, cokolwiek o tem powiedział, tak mi się podobało, że od tej zaraz chwili powziąłem niepowściągnioną chęć zwiedzenia tego kraju.

Wszystko to, cokolwiek stryjowie moi powiedzieli na pochwałę Bagdadu, nazywając go prawdziwą stolicą religii muzułmańskiej i stolicą całego świata, nie sprawiło na mnie podobnego wrażenia. Mój ojciec przyłączył się do zdania tego brata, który mówił z pochwałą o Egipcie, co niewymownie mnie ucieszyło. — "Niech kto co chce mówi," zawołał, "kto nie widział Egiptu, i ten najpiękniejszej najosobliwszej ozdoby świata nie poznał. — Ziemia tamtejsza cała jest tak żyzna, że bogactwami obsypuje swoich mieszkańców. Wszystkie tamtejsze kobiety zachwycają i porywają za serce. Jeżeli zaś chcemy zwrócić uwagę na Nil,—możeż być rzeka nad tę cudowniejsza? I któraż woda była kiedy lepsza i rozkoszniejsza?

Nawet muł, który ona zostawia po swoim wylewie, czyż nie użyźnia pól tak, iż tysiąc razy większe wydają plony, niżeli inne role, chociażby z największą uprawiano je starannością? Posłuchajcie, co jeden poeta, przymuszony opuścić Egipt, powiedział Egipcyanom:

“Piękny i błogi Nil zbogaca was codziennie dostatkami; dla was on to jedynie z tak odległych krain przypływa. Niestety! oddalając się od was, łzy z oczu moich równym płynąć będą potokiem, jak dobroczynne wody Nilu! Jakże wy szczęśliwi jesteście, że jego przyjemności będą i nadal waszym udziałem! Ja muszę się z nimi pożegnać na zawsze!...”

“Jeżeli zwrócicie waszą uwagę,” mówił dalej mój ojciec, “na wyspę, utworzoną przez dwie największe odnogi Nilu;—co za czarująca zieloność! co za rozliczność wszelkiego rodzaju kwiatów! co za niezmierna mnogość miast, wsi, kanałów i tysiącznych innych miłych przedmiotów! Jeżeli rzucimy okiem w drugą stronę ku Etyopii, ileż tu nowych, podziwienia godnych widoków! Nie jestże największem, najludniejszem i najbogatszem na całym świecie miasto Kair?—O jak wiele tam widzieć można wspaniałych gmachów! Jeżeli posuniecie się aż do pyramid, zachwyceni podziwem, osłupieni zostaniecie widokiem tych mas kamieni o niezmiernej wielkości, wznoszących się aż pod obłoki, i zmuszeni będziecie wyznać, że faraonowie egipscy, którzy na ich wystawienie tyle poświęcili bogactw i pracę milionów ludzi, przewyższyli swą wspaniałością wszystkich późniejszych monarchów, jacy nie tylko w Egipcie, ale na całym świecie panowali. Pomniki te są tak dawne, że nawet mędrcy nie mogą się ze sobą pogodzić co do czasu, w którym mogły być wystawione. Pomijam nadmorskie miasta Egiptu, jakiemi są Damietta, Rozetta, Alexandrya, do których niezliczone narody przybywają, aby się zaopatrzyć w rozmaite korzenie, ziarna, tkaniny, płótna i w tysiączne inne przedmioty. Mówię to wam z własnego doświadczenia. Zabawiałem ja w tych miastach przez kilka lat w mojej młodości, które to lata, póki żyć będę, poczytam za najmilsze z dni moich!...”

NOC 150.

“Stryjowie moi nie mogli nic odpowiedzieć na to mojemu ojcu,” mówił dalej młodzieniec, “i przyznali mu we wszystkiem słuszność, cokolwiek powiedział o Nilu, o Kairze i o całym Egipcie. — Co do mnie, tak mi to głowę zawróciło, że przez całą noc spać nie mogłem. Wkrótce potem stryjowie oświadczyli, że słowa mojego ojca wielkie na nich uczyniły wrażenie, i wynurzyli chęć wspólnego udania się do Egiptu. Przyjął to chętnie mój ojciec, a że byli bogatymi kupcami, umyślili przeto wziąć ze sobą towary, któreby spieniężyć mogli. Dowiedziawszy się, że nawet już czynili przygotowania do wyjazdu, poszedłem do ojca i prosiłem go ze łzami, ażeby mi pozwolił jechać ze sobą i dał mi część towarów na mój własny zarobek.—“Zanadto jeszcze jesteś młody,” odpowiedział, “na przedsięwzięcie podróży do Egiptu; wymaga ona wielkich trudów, a co większa, że niemal przekonany jestem, iżbyś ty ich nie przeżył.” — Słowa te nie ostudziły we mnie wcale żądzy podróżowania. Uciekłem się więc do wpływu stryjów, którzy w końcu wyrobili mi u ojca to, że obiecał wziąć mnie ze sobą, lecz tylko do Damaszku, w którem to mieście mieli mię pozostawić, a sami puścić się do Egiptu. — “Miasto Damaszek,” rzekł mój ojciec, “ma także swoje piękności; niechaj więc na tem poprzestanie.”—Jakkolwiek mocno pragnąłem widzieć Egipt, tak wiele o nim nasłuchawszy się zajmujących rzeczy, musiałem wszakże woli ojca mojego być posłusznym.

Puściliśmy się przeto z Musułu: ja, mój ojciec i stryjowie, w tę zamierzoną podróż. Przebywszy Mezo-

potamię, przeprawiliśmy się przez Eufrat, zajechaliśmy do Alepu—skąd, po kilkodniowem zabawieniu, udaliśmy się do Damaszku, którego widokiem byłem zachwycony. Stanęliśmy gospodą razem w jednym chanie, i poznałem, że miasto było wielkie, ludne i dobrze obwarowane. — Kilka dni czasu strawiliśmy na przechadzkach po rozkosznych ogrodach, które je otaczają, i przyznaliśmy słuszność tym, którzy utrzymują, że Damaszek znajduje się w środku raju ziemskiego. Wreszcie stryjowie moi zaczęli myśleć o wyruszeniu w zamierzoną drogę. Pierwej jednak starali się spieniężyć moje towary, co z tak wielką wypełnili dla mnie korzyścią, że pięćset na stu zarobiłem.

Zostawiwszy mię z tym zarobkiem w Damaszku, ojciec mój i stryjowie puścili się w dalszą podróż. Po ich odjeździe, miałem to szczególniej na myśli, żeby swoich pieniędzy nie roztrwonić. Pomimo tego wynająłem wspaniałe mieszkanie, które było wewnątrz wykładane marmurem i przyozdobione malowaniami w złote i lazurowe kwiaty. Do tego mieszkania należał ogród z pięknymi wydotryskami. Miałem znaczną liczbę służących, dawałem częste obiady dla osób, z któremi się zapoznałem, i składałem im wizyty.

Pewnego dnia, gdym siedział we drzwiach swojego domu, przystąpiła do mnie piękna i bogato ubrana dama z zapytaniem, czy nie mam do sprzedania jakich kosztownych materyj?—Poczem, nie czekając na odpowiedź, weszła do mojego mieszkania..."

NOC 151.

"Widząc to," mówił dalej młodzieniec musulski, "wstałem, zamknąłem drzwi i wprowadziłem ją do sali, prosząc, żeby raczyła usiąść. —"Pani," rzekłem do niej, "miałem materye godne twych pięknych oczu,—ale ich teraz już nie mam, co mi jest bardzo przykro."

Nieznajoma zdjęła obsłonki, zakrywające jej twarz, i ujrzałem tak cudną piękność, że poczułem w sobie wzruszenie, jakiego dotąd nie znałem. "Nie potrzebuję materyi," odpowiedziała mi.— "Przyszłam tu jedynie dlatego, ażeby z tobą przepędzić mile ten wieczór. Jeżeli ci się to podobać będzie, o maleńką tylko prosiłabym cię wieczerzę."

Ucieszony tak niespodzianem szczęściem, rozkazałem moim służącym zastawić stół różnego rodzaju owocami i kilku butelkami wina. Zleceniu temu w okamgnieniu stało się zadość, i zaraz, jakbyśmy się już dawno znali, jedliśmy, piliśmy i weseliliśmy się aż do północy.

Krótko mówiąc, żadnej jeszcze nocy nie przepędziłem tak rozkosznie, tak szczęśliwie. Nazajutrz rano chciałem ofiarować damie dziesięć szeryfów, lecz ona cofnęła rękę z gniewem:— "Nie dla wziątku, mój panie, przyszłam do ciebie," rzekła, "wiedz, że przez to wielkie mi czynisz ubliżenie. Nie przyjmę od ciebie pieniędzy, lecz chcę, ażebyś ty je wziął odemnie; inaczej nigdy mię więcej nie zobaczysz." Natychmiast wyjęła dziesięć szeryfów z kiesy i przymusiła mię, abym je przyjął.—"Czekaj mię tu za trzy dni," rzecze do mnie, "po zachodzie słońca."—Po tych słowach pożegnała się ze mną, a ja uczułem, że odchodząc, unosiła ze sobą me serce.

Trzeciego dnia przyszła o naznaczonej godzinie, a ja nie omieszkałem przyjąć jej z taką radością, z jaką tylko człowiek z utęsknieniem oczekiwaną osobę przyjąć może. Przepędziliśmy wieczór i noc podobnie jak pierwej,—a nazajutrz, odchodząc odemnie, obiecała jeszcze przyjść do mnie za trzy dni; nie wyszła jednak pierwej, dopóki znowu nie przyjąłem od niej dziesięć szeryfów.

Za trzecią jej bytnością, gdyśmy już oboje byli dobrze winem rozgrzani, rzekła do mnie: "Mój drogi, powiedz mi też, co o mnie myślisz? Nie jestemże piękną i wesołą?"— "Pani," odpowiedziałem, "pyta-

nie to zdaje się być wcale niepotrzebne. Miłość moja powinna cię przekonać, że cię kocham nad wszelkie wyobrażenie, że jesteś moją królową, moją sułtanką i jedyną życia mego rozkoszą."—"Ach, pewna jestem," rzekła do mnie, że inaczejbyś mówił, gdybyś zobaczył pewną damę, jedną z moich przyjaciółek, która jest młodszą i piękniejszą odemnie, i taki zawsze dobry ma humor, że i najwięksi melancholicy muszą przy niej być wesołymi. Pragnę ją koniecznie z tobą poznać i przyprowadzę ją tu za dwa dni. Właśnie mówiłam z nią o tobie i pochwały, których ci przed nią nie szczędziłam, obudziła w niej wielką chęć poznania cię jak najprędzej, i usilnie nalegała na mnie, ażebym jej uczyniła tę przyjemność. Lecz nie śmiałam zezwolić na to przed porozumieniem się z tobą." — "Pani," odpowiedziałem, "uczyń jak ci się podoba.—Lecz cokolwiekbyś powiedzieć mogła na pochwałę twej przyjaciółki, pewny jestem, że wszystkie jej powaby nie potrafią odmienić stałości mego serca, które całkowicie opanowałaś." — "Pamiętajże na twoje słowa," odpowiedziała dama. "Ostrzegam cię, że chcę w szczególny sposób doświadczyć twojej ku mnie miłości."

Nazajutrz, odchodząc odemnie, zamiast dziesięciu szeryfów dała mi ich piętnaście, które musiałem przyjąć bez wymówki. — "Pamiętaj sobie," rzekła, "że za dwa dni przyprowadzę ze sobą przyjaciółkę. Postaraj się, żebyś ją mógł należycie przyjąć. Przyjdziemy o godzinie zwyczajnej po zachodzie słońca." — Kazałem więc przyozdobić salę i dobrą przygotować wieczerzę na dzień ich przybycia...

NOC 152.

"Z wielką niecierpliwością," mówił dalej młodzieniec, "oczekiwałem moich dam;—jakoż wkrótce po zachodzie słońca nadeszły. Odsłoniły się obie, i jeżeli

mnie piękność pierwszej w zachwyt wprawiła, widok jej przyjaciółki do reszty mnie zaślepił. Rysy twarzy nieporównanie piękniejsze, lica śnieżnej białości, oczy pełne ognia, których blask promienisty na wylot mię przenikał. Dziękowałem jej za uczyniony mi zaszczyt, prosząc, aby mi wybaczyła jeżeli jej nie umiem tak przyjąć, jak jej godność wymaga. "Porzućmy te grzeczności," odpowiedziała mi, "jabym raczej powinna ci dziękować, żeś pozwolił mej przyjaciółce przyprowadzić mnie z sobą. Lecz kiedy mi rad jesteś—porzućmy więc wszelkie obrzędy, i o tem tylko myślmy, ażebyśmy się przyjemnie zabawili."

Ponieważ kazałem wcześniej przygotować wieczerzę, więc jak tylko damy przybyły, zasiedliśmy niebawem do stołu. Zająłem miejsce naprzeciw przyjaciółki mej damy, która wciąż na mnie spoglądała z pełnym przymilenia uśmiechem, tak że nie byłem w stanie oprzeć się jej zwyciężającym wejrzeniom i wnet stała się panią mego serca.— Lecz rozniecając we mnie miłość, rozetliła ją także w swojem sercu, i niczem się nie krępując, dosyć żywych do wyrażenia swoich uczuć zaczęła używać wyrażeń.

Druga dama, patrząc na to wszystko, z początku śmiała się tylko, mówiąc: "Alboż nie powiedziałam naprzód, że ci moja przyjaciółka bardzo przypadnie do smaku?—I widzę teraz dobrze, że już sprzeniewierzasz się danej mi przysiędze zostania na zawsze wiernym?..."

"Pani," odrzekłem jej, uśmiechając się podobnież, "zasługiwałbym na twój gniew, gdybym nie zachował przyzwoitego szacunku dla damy, z którą do mnie przybyć raczyłaś i którą kochasz."

Tymczasem spełniliśmy puhary, lecz im bardziej wino nas rozgrzewało, tem śmielej zaczynałem bez żadnej ostrożności z damą nowoprzybyłą oddawać się poufałości, do tego stopnia, że przyjaciółka jej wielką stąd powzięła zazdrość, której dała nam wkrótce okropny dowód. Zerwawszy się nagle z miejsca, wyszła z

pokoju, mówiąc, że wkrótce powróci. Lecz w kilka chwil po jej oddaleniu się, dama pozostała ze mną zaczęła się mienić na twarzy, cierpieć wielkie konwulsye, i wreszcie w objęciach moich skonała.—Wybiegłem natychmiast, aby się dowiedzieć o drugą damę. Domownicy moi powiedzieli mi, że wyszła na ulicę. Natenczas zacząłem się dorozumiewać, że ta mściwa zazdrośnica wlała ukradkiem gwałtownej trucizny do puhara swej przyjaciółce i tym sposobem pozbawiła ją życia.

Przypadek ten strapił mię niewymownie. — "Cóż teraz pocznę," zawołałem, "i co się ze mną stanie?"— Widząc, że niema czasu do stracenia, kazałem swoim ludziom przy świetle księżyca, korzystając z ciszy nocnej, podnieść wielką płytę marmuru, którym był wyłożony dziedziniec przy moim domu, i wykopać głęboki dół, do którego ciało otrutej spuszczono. Gdy następnie płytę marmurową położono na swojem miejscu, wziąwszy na się podróżną suknię, i zabrawszy wszystkie swoje pieniądze, pozamykałem pokoje i bramę domu, którą zapieczętowałem swoim herbem. Następnie udałem się do właściciela domu i zapłaciłem mu wszelką należytość, tudzież całoroczny czynsz z góry, prosząc go, aby mego mieszkania nikomu nie wynajmował.—"Pilna sprawa handlowa," powiedziałem mu, "zmusza mię do opuszczenia tego miasta na pewien czas. Wyjeżdżam do Kairu, aby się zobaczyć ze swoimi stryjami." — Pożegnawszy się z nim nakoniec, dosiadłem mego rumaka i puściłem się w drogę ze swoimi ludźmi, którzy na mnie czekali..."

NOC 153.

"Podróż moja była dosyć szczęśliwą," mówił dalej młodzieniec musulski. — "Dostałem się do Kairu bez żadnego przypadku. Zastałem tam moich stryjów,

których przybycie moje zdziwiło. Powiedziałem im, że bez nich było mi bardzo tęskno. Przyjęli mię dosyć mile i zaraz wzięli na siebie obowiązek nakłonić mojego ojca, iżby się na mnie nie gniewał, że bez pozwolenia jego opuściłem Damaszek. Stanąłem gospodą razem z nimi i zwiedziłem wszystko, cokolwiek było godnem poznania w Kairze.

Gdy już wyprzedali resztę swoich towarów, zaczęli myśleć o powrocie do domu i przygotowywać się do wyjazdu. Wówczas ja, który jeszcze nie widziałem wszystkich ciekawości Egiptu, odłączywszy się od stryjów, nająłem sobie mieszkanie w części miasta bardzo oddalonej od ich chanu i nie wyszedłem już z domu, póki nie odjechali. Szukali mię długo po całem mieście, a nie mogąc nigdzie znaleść, myśleli, że z obawy przed gniewem ojcowskim, powróciłem do Damaszku. W tem przekonaniu opuścili Kair, spodziewając się, że mię znajdą w tamtem mieście i zabiorą ze sobą.

Zostałem więc w Kairze po ich wyjeździe i mieszkałem w nim trzy lata dla zupełnego nasycenia mej ciekawości, która mnie ciągle podniecała do widzenia wszystkich cudów Egiptu. W ciągu mego pobytu w tem wielkiem mieście, corocznie odsyłałem czynsz klejnotnikowi w Damaszku, prosząc go, aby dla mnie dom swój miał zawsze w pogotowiu, bo miałem stałą chęć powrócenia jeszcze do tego miasta i zabawienia tam lat kilka. Przez cały czas nic takiego nie przytrafiło mi się w Kairze, coby godnem było opowiedzenia.

Po powrocie do Damaszku, udałem się prosto do klejnotnika, który, przyjąwszy mię z wielką radością, sam do mego domu zaprowadził mnie, dla pokazania mi, że nikt w nim przez cały czas mej niebytności nie postał.

Jakoż w samej rzeczy pieczęć na zamku była nienaruszona: wszedłem więc i znalazłem wszystko zupełnie w takim samym porządku, w jakim było, gdym wyjeżdżał do Kairu.

Zamiatając i oczyszczając salę, w której przed trzema laty biesiadowałem z damami, jeden z moich służących znalazł naszyjnik złoty, wysadzany wielkiemi perłami. Przyniósł mi go i zaraz poznałem, żem go widział podówczas na szyi młodej damy otrutej. Dorozumiałem się, że musiał przypadkiem oderwać się w chwili jej konwulsyjnej śmierci i upaść na posadzkę. Nie mogłem się wstrzymać od łez, przypomniawszy sobie tę nieszczęśliwą istotę, na której okropną śmierć własnemi patrzyłem oczyma.

Przez kilka dni odpoczywałem po trudach podróży, a następnie zacząłem odwiedzać rozmaite osoby, z któremi pierwej nawiązałem znajomości.

Wizyty te, jak również rozmaite rozrywki, którym się oddawałem, wymagały dużo pieniędzy: — wkrótce też zostałem bez centa. Aby się ratować w przykrem położeniu, postanowiłem sprzedać naszyjnik otrutej damy. W tym celu udałem się do bezestanu, gdzie wziąłem na stronę jednego ze stręczycielów handlowych i, pokazawszy mu naszyjnik, powiedziałem, że chcę go sprzedać.

Stręczyciel odszedł mnie na chwilę, rozmówił się z kilku kupcami, poczem powiedział mi, że za naszyjnik mogę dostać tylko 50 szeryfów:—"Więcej nikt nie da," mówił, "bo perły są fałszywe." — "Wierząc jego słowom, a potrzebując pieniędzy koniecznie, rzekłem: "Idź, i przynieś mi pieniądze."

Stręczyciel natychmiast po otrzymaniu odemnie odpowiedzi poszedł z jednym z jubilerów do naczelnika policyi, któremu jubiler pokazał naszyjnik i rzekł: "Panie, oto jest naszyjnik, który mi ukradziono. Złodziej znajduje się obecnie w bezestanie, gdzie chciał ten naszyjnik sprzedać za pięćdziesiąt szeryfów, cnoć on wart najmniej dwa tysiące. Nie można przeto większego mieć dowodu, że jest złodziejem..." Urzędnik rozkazał mię natychmiast przytrzymać, a gdy przed nim stanąłem, zapytał mię: czy naszyjnik, który miał w ręku, był ten sam, który dałem do sprzedania w bezestanie?—Odpowiedziałem mu, że tak jest. — "Prawdaż to," zapytał wówczas, "że chciałeś go sprzedać za pięćdziesiąt szeryfów?" — "Prawda," odpowiedziałem. Wtedy, naśmiewając się ze mnie, zawołał: "Dobrze, kiedy tak!—Dajcieno mu kilkadziesiąt kijów, to on się nam tu zaraz przyzna, że mimo tej pięknej szaty kupieckiej, którą ma na sobie, jest rzeczywistym złodziejem. Niech go biją póty, póki nie powie prawdy."—Boleść od zadanych mi razów uczyniła mię kłamcą: przyznałem się wbrew prawdzie, żem ukradł rzeczony naszyjnik, i natychmiast sędzia rozkazał mi uciąć rękę.

Wkrótce w całym bezestanie wiedziano o tym wypadku. —Gdym powrócił do siebie, wszedł do mnie właściciel domu:—"Synu mój," rzekł do mnie, "zdajesz mi się być młodzieńcem rozumnym i bardzo dobrze wychowanym. — Czyż to prawda, że się odważyłeś popełnić tak niegodziwy występek, o którym doszła mnie wiadomość?—Mówiłeś mi o twoim znacznym majątku, i wierzę ci, żeś mi powiadał prawdę. Czemuż raczej mnie nie prosiłeś o pieniądze: — byłbym ci ich chętnie pożyczył. Lecz teraz, po tem co zaszło, nie mogę już dozwolić, ażebyś dłużej mieszkał w moim domu; — radź więc sobie, jak możesz i szukaj innego mieszkania." — "Słowa te niewypowiedzianie mnie zmartwiły. Prosiłem z płaczem klejnotnika, ażeby mi dał przynajmniej trzy dni czasu,—na co on wreszcie zezwolił."

NOC 154.

"W trzy dni po tem mojem nieszczęściu," mówił dalej młodzieniec musulski, "przybył do mnie oddział sług policyjnych z właścicielem domu i z kupcem, który mię fałszywie oskarżył, że mu skradłem naszyjnik perłowy. Zapytani czego żądają?—zamiast dania od-

powiedzi, związali mię i miotali na mnie przekleństwa, powiadając, że ów nieszczęsny naszyjnik był własnością rządcy Damaszku; że mu już od trzech lat zginął, i że w tym samym czasie jedna z córek jego nie wiedzieć gdzie się podziała. Łatwo sobie wystawić możesz, jak okropnem stało się moje położenie, gdy taką usłyszałem wiadomość!... Lecz postanowiłem o wszystkiem opowiedzieć rządcy.

Gdy mie więc przyprowadzono do niego, spostrzegłem, że z wielkiem politowaniem patrzał na mnie, co mię trochę ożywiło nadzieją. Rozkazał ze mnie zdjąć więzy, i obróciwszy się do klejnotnika, mojego oskarżyciela, i posiadacza domu, w którym mieszkałem, zapytał ich: "Tenże to jest człowiek, który wystawił na sprzedaż naszyjnik z pereł?" — Ledwie co mu odpowiedzieli, że tak jest, zawołał.—"Ręczę, że on nie ukradł tej kosztowności, i bardzo go żałuję, że tak wielką uczyniono mu krzywdę." — Ośmielony taką przemową rządcy, rzekłem: "Poprzysięgam ci, panie, że jestem w rzeczy samej niewinny; najmocniej nawet jestem przekonany, że ten naszyjnik nie należał do mego oskarżyciela, którego nigdy w życiu nie widziałem i którego niegodziwość stała się powodem, że ze mną tak niesprawiedliwie i niemiłosiernie postąpiono. Prawda, że się przyznałem do kradzieży, lecz wyznanie to, trapiony katuszami, wbrew mojemu sumieniu i dla pewnej ważnej przyczyny uczyniłem, którą jeżeli raczysz wysłuchać mnie, gotów ci jestem, panie, wyjawić." — "Dosyć mi to już wiadome," rzekł rządca, "i ażebym ci był w stanie natychmiast przynajmniej w części wyrządzić sprawiedliwość: niechaj stąd zaraz wyprowadzą"—zawołał z oburzeniem—"tego oskarżyciela i niech odbierze też samą karę, jaką odniósł ten młodzieniec, którego niewinność dobrze mi jest znaną."

Rozkaz rządcy w okamgnieniu spełniono: niegodziwy klejnotnik odebrał zasłużoną karę, poczem rządca, kazawszy ustąpić wszystkim, rzekł do mnie:

"Synu mój, opowiedz mi bez najmniejszej obawy, jakim sposobem ten naszyjnik dostał się w twoje ręce? Nie ukrywaj nic przedemną, jestem ojcem i mam serce ludzkie."—Natenczas wszystko opowiedziałem mu szczerze i wyznałem, że wolałem być mianym za złodzieja, niż wyjawić tak okropne zdarzenie. — "O Boże sprawiedliwy!" zawołał rozżalony rządca po wysłuchaniu mego zeznania, "jakie są niedościgłe wyroki Twoje!... powinniśmy się poddawać im bez szemrania!... — Przyjmuję więc z pokorą z miłosiernej Twej ręki, Panie, ten straszny cios, który na mnie zesłałeś." Potem, zwróciwszy się do mnie, rzekł: "Synu mój, ponieważ dowiedziałem się przyczyny twego nieszczęścia, nad którem szczerze ubolewam, opowiem ci teraz moje strapienie. Dowiedz się, że jestem nieszczęsnym ojcem tych dwóch kobiet, o których co dopiero mówiłeś..."

NOC 155.

"Dowiedz się zatem, synu mój, że pierwsza z tych dwóch kobiet, która do tego stopnia była bezwstydną, iż sama jedna uczęszczała do twego domu, była najstarszą z moich córek. Wydałem ją za mąż do Kairu za jednego z jej krewnych, mego synowca. Po śmierci swojego męża wróciła do mnie, nawyknąwszy do różnych niegodziwości w Egipcie. Jej siostra, która została otrutą, była cnotliwą i rozsądną, i najmniejszego nie dawała mi powodu, ażebym się mógł uskarżać na jej postępowanie. Lecz starsza weszła z nią w ściśle związki i niezadługo tak ją potrafiła zepsuć, że się stała równie występną jak i ona. Nazajutrz po śmierci młodszej córki, gdy zapytałem o nią starszą—ta zaczęła gorzko płakać,—co mnie zaraz na straszne wprowadziło domysły. Użyłem wszelkich środków zmuszenia jej, ażeby mi o siostrze swojej jakiejkolwiek

udzieliła wiadomości, na co ona dopiero zawołała ze łkaniem: "Ojcze mój! nie mogę ci powiedzieć więcej nad to, że siostra moja wczorajszego wieczora, wziąwszy najpiękniejsze swe szaty i naszyjnik z najdroższych pereł, wyszła z domu, i odtąd nie oglądały jej me oczy."

Kazałem szukać tej nieszczęśliwej po całem mieście; żadnej nie mogłem powziąć wiadomości o smutnem jej przeznaczeniu. Tymczasem starsza jej siostra nie przestawała się trapić i ubolewać nad jej śmiercią. Nie chciała nawet przyjąć żadnego posiłku, i tym sposobem opłakane dni swoje zakończyła. Taki to jest los człowieka na świecie i takie są nieszczęścia, którym podlega.

"Lecz, synu mój," rzekł do mnie z boleścią, "ponieważ jesteśmy obaj równie godni pożałowania, opłakujmy razem naszą niedolę i nie rozłączajmy się już ze sobą. Dam ci trzecią córkę za żonę, którą jeszcze mam. Jest najmłodszą ze wszystkich sióstr i w obyczajach swoich bynajmniej do tamtych nie podobna: piękniejsza jest nawet od nich; i ręczę, że przymiotami swej duszy uszczęśliwić cię potrafi. Mój dom niech będzie zarazem i waszym; a po mej śmierci wszystko po mnie odziedziczycie."—"Ach, panie!" zawołałem, "zawstydzasz mnie twojemi dobrodziejstwy, potrafięż kiedy dosyć ci się za nie wywdzięczyć?!"—"Nie traćmy czasu," przerwał mi, "na próżnych oświadczeniach" —i po tych słowach kazał przywołać anielskiej urody swoją córkę, wezwać świadków, spisać umowę ślubną i niebawem ożeniłem się z jego córką bez żadnych dalszych obrzędów.

Rządca Damaszku nie poprzestał jeszcze na tem, że ukarał klejnotnika, mojego fałszywego oskarżyciela, lecz cały jego majątek, dosyć znaczny, kazał zabrać na moją korzyść. Słowem, od czasu, jak uczęszczam do pałacu jego, mogłem poznać, jak dalece mnie kocha i szacuje.—Więcej jeszcze powiem, że posłaniec wyprawiony do moich stryjów do Egiptu, w celu wyszukania mojej osoby, dowiedziawszy się w przejeździe, że się znajduję w tem mieście, oddał mi wczoraj list. Oznajmiają mi w tem piśmie stryjowie o śmierci ojca mego i zapraszają mnie, ażebym przybył do Musułu dla objęcia po nim spadku; lecz ponieważ spowinowacenie i przyjaźń z rządcą, tak ściśle przywiązały mię do niego i nie pozwalają mi oddalić się, odprawiłem więc posłańca z pełnomocnictwem, ażeby spadający na mnie majątek w imieniu mojem odebrano.

Wiedząc więc teraz o mojej przygodzie, spodziewam się, że mi darujesz mimowolną niegrzeczność podczas całej mojej choroby, żem ci podawał lewą rękę zamiast prawej."

"Oto jest, najjaśniejszy panie," rzekł lekarz żyd do sułtana kasgarskiego, "historya, którą mi opowiedział młodzieniec musulski; co do mnie, mieszkałem w Damaszku, dopóki żył ów szanowny rządca. Po jego śmierci, ponieważ byłem w kwiecie wieku, powziąłem chęć zwiedzenia obcych krajów. Przebiegłem całą Persyę, stamtąd udałem się do Indyj, a naostatek osiadłem tu w stolicy waszej sułtańskiej mości, w której mam zaszczyt zajmować się powołaniem mojem lekarskiem."

Powieść ta dosyć się podobała sułtanowi Kasgaru.—"Przyznać muszę," rzekł do izraelity, "że powieść twoja ma wiele w sobie nadzwyczajnych wydarzeń, lecz, prawdę powiedziawszy, przygoda mojego garbuska, daleko jest piękniejszą i ciekawszą: — przeto nie spodziewaj się, ażebym ci darował życie, równie jak twoim towarzyszom; — rozkażę was wszystkich czterech powiesić." — "Wstrzymaj się litościwie, najjaśniejszy panie," zawołał krawiec, rzucając się do nóg sułtana. — "Ponieważ wasza sułtańska mość lubisz słuchać pięknych powieści, spodziewam się, że ta, którą nakoniec opowiem, niewątpliwie Ci się spodoba."

—"Dobrze, wysłucham jeszcze i ciebie," odpowiedział sułtan. Lecz nie pochlebiaj sobie,ażebym cię udarował życiem, jeżeli mi nie opowiesz przygody ważniejszej od tych wszystkich,które słyszałem, i któraby zdołała osłodzić mi stratę garbuska." — Natenczas krawiec, tak jakby był pewnym nieomylnego skutku swojej historyi, zabrał głos z dobrą otuchą i zaczął opowiadać, co następuje:

36. HISTORYA KRAWCA

O KULAWYM MŁODZIEŃCU, KTÓRY SIĘ SZALENIE ZAKOCHAŁ W CÓRCE KADIEGO, I O NATRĘTNYM I GADATLIWYM BALWIERZU, KTÓRY PRZYCZYNIŁ SIĘ DO WIELU NIESZCZĘŚĆ.

"Najjaśniejszy panie! Pewien obywatel tego miasta zaprosił mnie przed dwoma dniami na ucztę, którą wyprawiał dla swych przyjaciół. Udałem się do niego wcześniej i zastałem już blisko dwadzieścia osób.

Czekaliśmy tylko jeszcze na samego gospodarza, który wyszedł dla jakiejś czynności. Wkrótce jednak wrócił w towarzystwie młodego cudzoziemca, wcale przystojnie ubranego i urodziwego, ale kulawego. Powstaliśmy wszyscy i prosiliśmy młodzieńca, ażeby usiadł z nami na sofie. Już tylko co miał usiąść, gdy spostrzegłszy balwierza znajdującego się w naszem gronie, odskoczył nagle ku drzwiom i zabierał się do wyjścia.

Gospodarz, zdumiony jego dzikim postępkiem, przytrzymał go.—"Dokądże idziesz," rzekł, "przyprowadziłem cię, ażebyś twą obecnością zaszczycił moją ucztę, którą daję dla moich przyjaciół, a ty zaledwie wszedłeś, chcesz odchodzić?"—"Panie," odpowiedział młodzieniec, "na Boga proszę cię, ażebyś mię nie za-

trzymywał i pozwolił mi odejść. Nie mogę bez obrazy patrzeć na tego obrzydłego balwierza, który tu się znajduje między wami. Chociaż on się urodził w kraju, gdzie wszyscy ludzie są biali, przecież tak jest czarny jak murzyn, a dusza jego czarniejsza i szpetniejsza jeszcze od ciała..."

NOC 156.

"Słowa te wywarły na nas wszystkich silne wrażenie," mówił dalej krawiec, "i jednomyślnie prawie daliśmy wszyscy do poznania, że z podobnym człowiekiem nie możemy współbiesiadować:—gospodarz więc prosił cudzoziemca, ażeby opowiedział przyczynę swojej ku balwierzowi nienawiści?

"Wiedzcie, zacni panowie," rzekł naówczas młodzieniec, "że ten przeklęty balwierz jest przyczyną mego kalectwa i najdotkliwszej przygody, jaką tylko wystawić sobie można; dlatego poprzysiągłem uchodzić zawsze z tych miejsc, w którychby on się znajdował, i dlatego to oddaliłem się z Bagdadu, gdzie właśnie go zostawiłem, i daleką odbyłem podróż chcąc osiąść w tutejszem mieście, będącem w środku wielkiej Tartaryi, w nadziei, że go tu nigdy nie zobaczę. Gdy atoli, nad wszelkie spodziewanie i tu go nawet znajduję, przymuszony jestem wyrzec się przyjemności zabawienia się z wami. Dziś jeszcze odjeżdżam z waszego pięknego miasta, żeby się schronić przed nim w takie miejsce, do którego nie będzie mógł nigdy trafić za mną."

Po tem oświadczeniu zbierał się już do odejścia, lecz gospodarz zatrzymał go jeszcze, prosząc, ażeby pozostał z nami i objawił nam tę tajemniczą historyę. Połączyliśmy prośby nasze z prośbami gospodarza i przecież dokazaliśmy tyle, że czyniąc zadosyć naszym życzeniom, usiadł na sofie i, obróciwszy się plecami do balwierza, który siedział milczący jak posąg, tak zaczął opowiadać:

"Ojciec mój posiadał w Bagdadzie godność dającą mu pierwszeństwo do najwyższych urzędów, lecz przekładał zawsze życie spokojne nad zaszczyty. Mnie tylko jednego miał syna—i w chwili zgonu jego byłem już przy dojrzałym rozumie i wieku zdolnym do rządzenia znacznym majątkiem, który mi pozostawił.

Dochodów, jakie mi ten majątek przynosił, nie trwoniłem lekkomyślnie: owszem, rozsądne ich użycie powszechny jednało mi szacunek.

Namiętność nie była mi jeszcze znaną, a daleki od uczuć miłosnych ledwie nie ze wstydem wyznaję, że troskliwie unikałem stosunków z kobietami. Pewnego dnia, idąc przez ulicę, spostrzegłem liczne grono dam naprzeciwko mnie idących. Aby się z niemi nie spotkać, wszedłem w poboczną uliczkę i usiadłem na ławce przed czyjmś domem, naprzeciw okna, w którem stało naczynie ślicznymi napełnione kwiatami; i wtem, gdy im się z upodobaniem przypatrywać zacząłem, nagle otworzyło się okno i cudnej piękności dama, stanąwszy w niem, zachwyciła mnie do żywego. Z początku rzuciła na mnie okiem, jakby od niechcenia, lecz polewając kwiaty w naczyniu spojrzała z tak miłym uśmiechem, że ten we mnie od razu wzniecił tak silną miłość, iż cały mój dawny wstręt do kobiet zniweczył. Skończywszy polewanie kwiatów, z pełnem wdzięku wejrzeniem zamknęła okno i zostawiła mię w pomieszaniu i tęsknocie, której dotąd nie znałem.

Byłbym dłużej pozostał na tem miejscu, gdyby nie hałas usłyszany na ulicy, który mi przerwał moje marzenia. Wstając nareszcie z miejsca, spostrzegłem, że pierwszy kadi tego miasta jechał na mulicy, mając za sobą pięciu lub sześciu ludzi, wysiadł przy tym domu, w którym ona polewała kwiaty, i wszedł do niego, —co dało mi do zrozumienia, iż był jej ojcem.

Za powrotem do siebie, rzuciłem się na łóżko w gorączce, która, zwiększając się coraz bardziej, mocno zatrwożyła mojego służącego. Krewni moi, przerażeni

tak nagłą moją chorobą, pośpieszyli odwiedzić mię i mocno nalegali, ażeby im choroby mojej opowiedzieć przyczynę,– czego ja właśnie wystrzegałem się najbardziej. Milczenie moje nabawiło ich niespokojności, której lekarze nie byli w stanie rozproszyć, bo nie mogli odgadnąć mej słabości, i zamiast ją złagodzić, jeszcze gorzej jątrzyli lekarstwami. — Wszyscy zaczynali już powątpiewać o mojem życiu, gdy pewna w podeszłym wieku dama, mająca z nimi znajomość, uwiadomiona o mojej chorobie, przyszła nazajutrz odwiedzić mnie wraz z niemi. Wpatrywała się we mnie z wielką uwagą, i dobrze mi się przypatrzywszy, sam nie wiem jakim trafem, poznała przyczynę mojej choroby. Wziąwszy więc krewnych na stronę, prosiła ich, ażeby jej pozwolili zostać ze mną sam na sam.

Gdy więc chętnie na to przystali i ustąpili z pokoju, usiadłszy w głowach mojego łóżka, rzecze do mnie: "Synu mój, widzę, że uporczywie ukrywasz dotąd przed wszystkimi przyczynę twojej słabości, lecz ja nie potrzebuję, ażebyś mi ją opowiadał: aż nadto mam doświadczenia na odgadnienie podobnej tajemnicy. Jesteś zakochany, i to cały powód gorączki.— Lecz ja mogę postarać się dla ciebie o skuteczne lekarstwo, bylebyś mi powiedział, która jest ta szczęśliwa dama, co potrafiła nakłonić tak niedostępne dla miłości serce, jak twoje."

NOC 157.

"Przybyła dama," mówił dalej młody cudzoziemiec, "powiedziawszy te słowa, zatrzymała się, czekając mojej odpowiedzi. Jakkolwiek wielkie na mnie uczyniła wrażenie, nie śmiałem jeszcze wyjawić jej skrytości mego serca. Obróciłem się tylko ku niej, nie odpowiadając.—"Wyznaj mi, proszę," rzecze do mnie, "czy przez wstyd nic nie chcesz do mnie mówić, czyli dlatego, że mi nie dowierzasz? Miałżebyś wątpić o skutku mej obietnicy? — Mogłabym ci tu przywieść niezmierną liczbę młodzieńców, których sam znasz: co w tej samej będąc niedoli, wszyscy jednakże mojej pomocy żądali."—Krótko mówiąc, tyle mi jeszcze rzeczy powiedziała, że nakoniec zwyciężyła moje milczenie. Odkryłem jej moje cierpienia, opisałem mieszkanie ukochanej osoby, dla której miłość wtrąciła mię w gorączkę, i wszystkie okoliczności mojej przygody wiernie opowiedziałem.—"Jeżeli tego dokażesz," rzekłem dalej, "i wyjednasz mi szczęście widzenia się z tą piękną, żebym jej mógł wynurzyć miłość, którą ku niej pałam, możesz być pewną mej wdzięczności."— "Synu mój," odpowiedziała mi dama, "znam dobrze osobę, o której ze mną mówisz: jest to, jak sam trafnie odgadłeś, córka pierwszego kadiego. Nie dziwię się wcale, że ją tak namiętnie pokochałeś, bo też jest najpiękniejszą i najgodniejszą miłości dziewicą w całym Bagdadzie. Lecz to mię tylko martwi, że jest nader wyniosłą i nieprzystępną. Wiesz dobrze, jak nasi sądowi urzędnicy nieubłagani są w przymuszaniu płci pięknej do strzeżenia nieznośnych praw skromności, które je w ustawicznem trzymają uwięzieniu.— Lecz większą jeszcze zwracają na to uwagę, ażeby też prawa ściśle były przestrzegane w ich rodzinach: — w czem właśnie kadi, widziany już przez ciebie, wszystkich innych przewyższa. Że zaś wciąż prawią swym córkom, że to jest wielki występek dać się widzieć mężczyźnie, takiem więc po większej części słabe te istoty złudzone są uprzedzeniem, że idąc przez ulicę oczy mają wciąż spuszczone ku ziemi, z bojaźni, aby źle nie stąpiły, gdy potrzeba przymusi je do wyjścia z domu. —Nie mówię ja, ażeby córka pierwszego kadiego koniecznie do takich należała, lecz to nie uwalnia mię od bojaźni natrafienia na wielkie do przełamania trudności tak ze strony jej samej, jako i ze strony ojca. Żałuję mocno, że się raczej nie zakochałeś w innej damie, nie miałabym tyle do pokonania przeszkód. Użyję atoli wszystkich swoich zdolności:—lecz do wykonania takiego przedsięwzięcia niemało potrze-

ba czasu. Pomimo wszystkiego bądź dobrej myśli i miej we mnie zupełną ufność."

Dama skończyła na tych słowach i odeszła,—a ja, wystawiając sobie w myśli wszystkie te trudności i trapiąc się obawą, że celu swoich życzeń może nigdy nie dopnę, w większą jeszcze zapadłem słabość. —Powróciła nazajutrz, lecz zaraz wyczytałem z jej twarzy, że mi nic pomyślnego nie przyniosła.—Jakoż powiedziała mi na wnijściu te słowa: "Synu mój, domysły moje były słuszne — większą mam trudność ze strony samejże córki, niż ojca. Pokochałeś istotę nieczułą, lubiącą tylko dręczyć nieodwzajemnianiem miłości wszystkich tych, którzykolwiek dadzą się ułudzić jej wdziękom. Słuchała mię z zadowoleniem, dopóki mówiłam jej o twej słabości, której stała się przyczyną, — lecz jak tylko otworzyłam usta dla nakłonienia jej, ażeby ci pozwoliła widzieć się z nią i rozmówić, spojrzawszy na mnie zagniewanem okiem, rzekła: "Bardzo jesteś śmiała, że sobie pozwoliłaś uczynić mi to oświadczenie; i zabraniam ci widywania się ze mną, jeżeli masz podobnemi zabawiać mnie rozmowami."

"Lecz niech cię to nie trapi," mówiła dalej staruszka, "nie jestem ja tak łatwa do odstąpienia mojego przedsięwzięcia, byleś tylko chciał być cierpliwy, a spodziewam się, że dopnę mego zamiaru." — Krótko mówiąc, gorliwa ta moja posłanka różnych jeszcze w mej sprawie bezskutecznych używała zabiegów na przełamanie zakamieniałości serca dumnej nieprzyjaciółki mojego szczęścia.— Smutek, który mnie stąd opanował, tak powiększył moją chorobę, że mię odstąpili wszyscy lekarze. Byłem już uważany za kandydata śmierci,—gdy naraz przyjście staruszki przywróciło mnie do życia.

Nie chcąc być przez nikogo słyszaną, szepnęła mi do ucha: "Pomyślno teraz o dobrej dla mnie nagrodzie, bo dziś radosną przynoszę ci nowinę."— Słowa te cudowny wywarły na mnie wpływ. Podniósłszy się, usiadłem na łóżku i odpowiedziałem z uradowaniem:

"Nagroda cię nie minie,—mów prędko, co mi przynosisz?" — "Kochany, drogi mój panie," odpowiedziała, "nie umrzesz już z tej choroby: wkrótce będę miała przyjemność oglądać cię zdrowym i bardzo zadowolonym ze mnie. Wczoraj poszłam znowu do damy, którą kochasz, i znalazłam ją w wesołym humorze. Pokazałam jej zaraz twarz smutną, zaczęłam wydawać częste i głębokie westchnienia i uroniłam nawet kilka łez.—"Dobra matko," rzekła do mnie, "cóż ci to jest? Czemu, zdajesz się być tak strapioną?" — "Niestety! kochana i zacna damo," odpowiedziałam, "wracam właśnie od owego młodzieńca, o którym niedawno z tobą mówiłam:—już po nim, już umiera z miłości ku tobie... nielitościwa!... Zaręczam ci, że to jest wielka szkoda, iż byłaś do tego stopnia niemiłosierną i okrutną?"—"Nie pojmuję," odpowiedziała mi, "dlaczego chcesz koniecznie, ażebym ja była przyczyną śmierci? Jakimże sposobem, zważ sama, miałabym się do niej przyczynić?"—"Jakim sposobem?—pytasz pani," odpowiedziałam jej. — "Nie oświadczyłażem ci niedawno, że siedział naprzeciw twego okna, gdyś je otwierała, aby polać kwiaty w naczyniu? — że ujrzał w tobie ten cud piękności, te wdzięki i powaby, którym sama codziennie przyglądasz się w zwierciadle? —Od tej chwili usycha ku tobie z miłości i słabość jego tak się teraz wzmogła, że już do ostatniego zbliża się kresu..."

NOC 158.

"Pamiętasz dobrze pani," mówiła dalej staruszka do córki kadiego,—toż samo słowo w słowo opowiadając młodzieńcowi, "jak nieludzko odparłaś mnie ostatnim razem, gdym z tobą mówić chciała o jego ciężkiej słabości, i przełożyć ci środki wyrwania biednego młodzieńca z tego niebezpieczeństwa, które mu śmiercią zagrażało?... Wyszedłszy od ciebie poszłam prosto do niego. Jak tylko wyczytał z mojej twarzy, że

mu nie przynoszę pomyślnej odpowiedzi,—natychmiast słabość jego gwałtownie się wzmagać zaczęła i odtąd prawie już jest konającym, że teraz nawet już wątpię, czy byłabyś w stanie uzdrowić go, chociażbyś stała się dlań wzajemną!"

"Otóż to wszystko jest, co usłyszała odemnie twoja okrutna kochanka. Obawa stania się sprawczynią twojej śmierci przeraziła ją i na pogodne jej lica rzuciła posępną bladość.—"Jestże to wszystko prawdą?" zapytała mnie.—Miałażby istotnie miłość ku mojej osobie wtrącić go w tak niebezpieczną chorobę?"—"Ach pani!" odpowiedziałam, "nie masz nic nad to prawdziwszego: dałby Bóg! ażeby to było zmyśleniem." — "Sądzisz więc," rzekła do mnie powtórnie, "że nadzieja mówienia ze mną mogłaby go wyprowadzić z niebezpieczeństwa, w którem zostaje?" — "Być to może," odpowiedziałam;—jeżeli mi rozkażesz, użyję tego środka."—"Dobrze więc," rzekła wzdychając; "powiedz mu że mię będzie mógł zobaczyć. Ale niech sobie nic więcej nie obiecuje, wyjąwszy, gdyby się ze mną chciał ożenić i gdyby mój ojciec zezwolił na to małżeństwo." — "Pani," zawołałam z radością, "jesteś aniołem dobroci! Idę natychmiast do młodzieńca, aby mu oznajmić, że będzie miał rozkosz mówienia z tobą." —"Nie widzę dogodniejszej chwili na wyświadczenie mu tej łaski," rzekła, "jako w następujący piątek, podczas modlitwy popołudniowej.—Niech uważa, kiedy mój ojciec uda się na modlitwę, i niech wtenczas przyjdzie przed moje okna, jeżeli do tego stopnia będzie mu lepiej, że już wyjść zdoła na ulicę; — zobaczę go więc przez okno i sama zejdę na dół, aby mu otworzyć. Będziemy z sobą rozmawiali przez cały czas modlitwy i rozejdziemy się przed powrotem mojego ojca."

"Dziś mamy dopiero środę," zauważyła staruszka, "możesz więc do piątku nabrać sił i być zdolnym do odwiedzenia twej damy." — Gdym tego słuchał, czułem, że choroba we mnie zmniejszała się stopniami,—a raczej słowa staruszki uzdrowiły mię od razu. "Weź

tę skromną nagrodę," rzekłem, dając jej kiesę pełną złota, "tobie samej winien jestem odzyskanie zdrowia mojego; słusznie więc należą ci się te pieniądze i tych mi tylko dzisiaj żal, które wydałem na lekarzy, którzy mnie tak bez żadnego skutku w ciągu mojej słabości dręczyli."—Po odejściu tej posłanki miłosnej, uczułem w sobie dość siły do wstania z łóżka. Krewni, ucieszeni z mojego wyzdrowienia, uściskali mnie i odeszli.

W piątek rano staruszka nadeszła do mnie w chwili, gdy się zacząłem ubierać. — "Nie pytam się już," rzekła, "o twoje zdrowie, bo widzę po zatrudnieniu, że się masz dobrze; lecz czy nie pójdziesz pierwej do łaźni, zanim udasz się do córki pierwszego kadiego." — "Toby mi zabrało wiele czasu," odpowiedziałem, "wystarczy, gdy każę sprowadzić balwierza, żeby mi zgolił głowę i brodę." — Jakoż jednemu z moich niewolników kazałem przyprowadzić sobie zręcznego golibrodę.

Nieszczęsny posłaniec mój sprowadził tego oto przeklętego człowieka, którego tu widzicie. Potwór ten, przywitawszy mnie, rzekł: "Panie, wyczytuję z twej twarzy, że się masz nienajlepiej." — Odpowiedziałem mu, że dopiero co wyszedłem z choroby. — "Życzę ci," mówił dalej, "ażeby cię Bóg, uwolniwszy od wszystkich słabości i złych przygód, miał zawsze w swojej opiece." — "Mam ufność w nim," odpowiedziałem, "że wysłucha twego życzenia, za które ci wielce jestem obowiązany." — "Ponieważ wychodzisz z choroby twojej panie," dodał balwierz, "proszę więc Boga, ażeby cię przy najczerstwiejszem zachował zdrowiu. Racz mi teraz wskazać moją powinność; przyniosłem brzytwy i lancety. Chceszże, żebym ci krew puścił, lub żebym cię ogolił?" — "Dopiero usłyszałeś z ust moich," odpowiedziałem, "że wychodzę z choroby. Możesz się przeto dorozumieć, że cię dla tego tylko kazałem przywołać, ażebyś mię ogolił; nie traćmy przeto czasu na niepotrzebnej rozmowie, zwłaszcza, że muszę się śpieszyć."

NOC 159.

"Balwierz," mówił dalej młodzieniec, "zmarnował zaraz dużo czasu na dobywaniu i ostrzeniu brzytew: zamiast wlania wody na miednicę, wyjął ze swego pokrowca piękny astrolab, i wyszedłszy z pokoju, poszedł powolnym krokiem na środek dziedzińca dla zmiarkowania wysokości słońca, i z tąż samą powracając flegmatycznością, na wnijściu rzekł: — "Wiedz o tem, łaskawy panie, że dziś mamy piątek, dzień ośmnasty księżyca safar roku 653 od ucieczki naszego wielkiego proroku z Mekki do Medyny, a rok 7320 od epoki wielkiego Iskendera o dwóch rogach, i że złączenie Marsa z Merkuryuszem pokazuje, iż nie możesz obrać lepszego dnia do ogolenia się:—lecz z drugiej strony, toż samo złączenie, nienajlepszą dla ciebie zwiastuje wieszczbę. Naucza mnie albowiem, że dziś będziesz w wielkiem niebezpieczeństwie: nie utracenia wprawdzie życia, lecz zarwania kalectwa, które będziesz musiał ponosić przez całe życie. Powinieneś mi tedy być wdzięcznym za przestrogę, abyś się miał na baczności; inaczej bardzobym cię żałował, gdyby cię nieszczęście jakie spotkać miało."

Łatwo sobie wystawicie, moi panowie, jak wielką miałem nieprzyjemność z dostania się w ręce tak nieznośnego gaduły i dziwaka balwierza: co za zmartwienie dla kochanka, wybierającego się śpiesznie na umówione "czekam cię."—Ledwie mi się co dziwnego nie stało.—"Szydzę," rzekłem z gniewem, "z twoich przestróg i przepowiedni; nie po to cię zawołałem, abyś mi udzielał twoich rad jako astrolog: przyszedłeś tu dla ogolenia mnie, więc albo gól, albo idź sobie precz, ażebym mógł innego przywołać golibrodę."

"Panie"—odpowiedział mi z tak zimną krwią, że mi już nie stawało cierpliwości—"cóż to za przyczyna do gniewu? Wieszże o tem, że żaden z balwierzów nie może równać się ze mną, i że chociażbyś przeszukał całe miasto, co mówię, całą Azyę i Afrykę, nie znajdziesz takiego jak ja znakomitego męża: bo musisz wiedzieć, że jestem seniorem golarzy, a to jest wysoka u nas godność. Potrzebowałeś tylko prostego golibrody, a tu w mojej osobie znajdujesz najdoskonalszego balwierza bagdadzkiego, doświadczonego lekarza, głównego chemika, nie mylącego się nigdy w swoich spostrzeżeniach astrologicznych, gruntownego gramatyka, szczytnego mówcę, arcysubtelnego logika, męża biegłego w geometryi, w arytmetyce, astronomii i we wszystkich subtelnościach algebry; historyka, który na palcach zna dzieje wszystkich królestw świata! Prócz tego obznajomiony jestem ze wszystkiemi filozofiami, obejmuję moją pamięcią wszystkie nasze prawa i podania; jestem dzielny poeta i architekt: bo czemżebym ja nie był? Nie masz nic przedemną ukrytego w całej przyrodzie.—Świętej pamięci twój ojciec, któremu z łez moich składam cześć, ile razy na niego wspomnę, aż nadto dobrze znał moje wysokie zdolności, kochał mię bardzo, cieszył się mną ustawicznie i wspominał mnie we wszystkich towarzystwach, w których się tylko znajdował, jako najzacniejszego w świecie człowieka: zatem przez wdzięczność i przyjaźń ku jego osobie, pragnę ściśle przywiązać się do ciebie, wziąść cię pod moją opiekę i strzedz od wszelkich przeciwności, któremiby ci kiedy gwiazdy zagrażać miały."

Na tak niedorzeczne gadaniny, pomimo całego swego gniewu, nie byłem w stanie wstrzymać się od śmiechu.—"Skończyszże prędko, gadatliwy natręcie," zawołałem, "i będzieszże mię ty dziś golił?"

NOC 160.

"Panie," odpowiedział mi balwierz, "krzywdę mi czynisz, nazywając mię gadatliwym, kiedy wszyscy przeciwnie utrzymują, że jestem czcigodnym i małomównym uczonym: a pewnie ci wiadomo, iż pospolicie ta kasta ludzi wymarłaby w jednej godzinie, gdyby

jej gadać zakazano!... Miałem ja wprawdzie sześciu braci, których słusznie mógłbyś był nazwać bajarzami; i żebyś ich przynajmniej z imienia poznał, wyliczę ci tu wszystkich:—najstarszy nazywał się Bakbuk, drugi Bakbarah, trzeci Bakhak, czwarty Alkuz, piąty Alnaszar, a szósty Szakabak. Ci to dopiero lubili dużo gadać i dokuczać każdemu do żywego swojem natrętnością. Lecz ja, który jestem z nich najmłodszy, używam w wyrażeniach swoich powagi i krótkości."

"Teraz, zacni panowie, postawcie się na mojem miejscu! Cóż tu miałem przedsięwziąść, widząc się tak niemiłosiernie gadulstwem tego człowieka zatrzymanym?"—"Daj mu trzy sztuki złota," zawołałem na mego niewolnika, "utrzymującego wydatek domowy, niech sobie idzie z Bogiem; nie chcę się już dziś golić." —"Panie," rzekł natenczas balwierz, "co chcesz rozumieć przez te słowa? Wszakże nie ja ciebie szukałem, aleś ty mnie sam tu przywołał; a gdy tak jest oczywiście, poprzysięgam więc na uczciwość muzułmana, że nie wyjdę od ciebie, dopóki cię nie ogolę; jeżeli nie znasz się na mojej wartości, to nie moja w tem wina. Świętej pamięci twój ojciec wyżej mię szacować umiał. Ile razy mię sprowadzał do krwi puszczania pozwalał mi przy sobie usiąść. Wtenczas to było mię posłuchać, kiedy mu zacząłem rozprawiać o wielkości mojej nauki! Z uwielbieniem wpatrywał się we mnie i zachwycał się każdem mojem słowem. A gdy przestałem już mówić, pełen zachwytu, zawołał nieraz: "Ach! człowieku, ty jesteś niewyczerpanem źródłem umiejętności! Nikt na świecie nie może z tobą iść w porównanie." — "Drogi mój dobroczyńco," odpowiadałem mu, "większy nad zasługę moją czynisz mi zaszczyt. Jeżelim co pięknego powiedział, winien to tylko jestem tobie, żeś mi twojej łaskawej nie odmówił uwagi: twoja to ku mnie życzliwość podaje mi szczytne myśli, które mają szczęście trafiać do twego przekonania. Pewnego dnia, w którym się przedziwnie zadowolił logiką moich rozumowań, rzekł: "Niech mu dadzą sto sztuk złota i niech włożą na niego jednę z najbogatszych moich szat!"—"Przyjąłem ten dar i tejże chwili postanowiłem mu horoskop. Przekonałeś się, że był najszczęśliwszym z ludzi. Dalej nawet posunąłem ku niemu wdzięczność swoją, wyciągałem mu bowiem krew bańkami."

Nie skończył na tem nudny, zabijający mnie gadulstwem swojem balwierz. Zaczął znowu rozprawiać o innej materyj, o której mówił przynajmniej dobre pół godziny. Znużony już będąc słuchaniem, i niespokojny o to, że mi czas nadaremnie upływa, nie wiedziałem już, co sobie dalej z nim począć. — "Ach! to być nie może," zawołałem, "ażeby się na świecie znalazł drugi podobny człowiek, któryby miał większe niż ty upodobanie w zabijaniu ludzi swem gadulstwem."

NOC 161.

"Już chciałem porwać go za kark i wyrzucić za drzwi, lecz w nadziei, że więcej z nim dokażę łagodnością, rzekłem: "Na Boga zaklinam cię, porzuć twoją piękną wymowę, a bierz się do brzytwy i do mydła czemprędzej. Muszę wkrótce wyjść z domu koniecznie." —Lecz na te słowa śmiać się zaczął. — "Bardzoby to chwalebną było rzeczą," odpowiedział, "gdyby nasz rozum zawsze w jednem znajdował się położeniu i gdybyśmy byli zawsze mądrzy i roztropni. Rozumiem jednak, że jeżeliś się na mnie gniewał, słabość to, nie co innego, była przyczyną tej drażliwości umysłowej. Muszę ci przeto udzielić niektórych przestróg w tej mierze, i nie możesz lepiej sobie postąpić, jak kiedy pójdziesz za przykładem twojego świętej pamięci ojca i dziada. Przychodzili oni często radzić się mnie we wszystkich swoich czynnościach i mogę bez chełpienia się powiedzieć, że zawsze z moich uwag bardzo byli zadowoleni. Zastanów się więc, panie, że nikt przedsiewzięcia swego wykonać należycie nie zdoła, kto nie zasięgnie rady u ludzi oświeconych? Nikt nie

stanie się biegłym, mówi przysłowie, jeżeli się nie poradzi biegłego! Ja cały poświęcam się na twe usługi. Rozkaż mi tylko, a wiernie służyć ci będę."

"Nie mogęż więc uprosić cię," przerwałem mu, "ażebyś natychmiast porzucił wszystkie te gadaniny, które do niczego nie doprowadzą i mogą stać się tylko przyczyną, że nie zdążę przybyć na czas dla widzenia się z osobą, na której mi wszystko zależy. Gól mię, albo idź precz," krzyknąłem, wstając i uderzając nogą w posadzkę.

Widząc, że się na prawdę rozgniewałem, rzekł do mnie: "Panie! racz się uspokoić, natychmiast cię ogolę."

Jakoż obmył mi głowę i zaczął golić. Lecz zaledwie trzy lub cztery razy pociągnął brzytwą, zatrzymawszy się znowu, rzekł: "Panie, jesteś bardzo porywczy. Powinieneś wstrzymywać się ile możności od gniewu, gdyż wszelki gniew pochodzi od czarta. Prócz tego sądzę, że zasługuję na to, ażebyś mię szanował, tak dla mojego wieku i głębokich umiejętności, jako też dla świetnych cnót, któremi się odznaczam..."

"Gól mię," zawołałem powtórnie, "nie trać czasu na próżnej gadaninie." — "To się znaczy, że musisz mieć coś bardzo pilnego. Założyłbym się, że tak jest." — "Wszakże już dwie godziny upływa, jak ci to mówię; powinienbyś był mię do tego czasu ogolić."— "Miarkuj się w twoim zapale," odpowiedział. — "Być może, żeś się jeszcze nawet dobrze nie zastanowił nad tem, co masz zamiar uczynić. A kto działa rzeczy z prędkością, zazwyczaj tego żałuje. Radbym, ażebyś mi objawił, co cię tak przynagla do wyjścia. Powiedziałbym ci moje zdanie; zresztą, masz jeszcze dosyć czasu, ponieważ czekają cię dopiero na południe, a do tej pory zostaje nam jeszcze trzy godziny." — "Ja nie zwykłem na to uważać. Ludzie zacni, dotrzymujący słowa, uprzedzają czas naznaczony. Lecz oto właśnie nie zastanowiłem się nad tem, że rozmawiając z tobą,

staję się podobnym tobie gadułą. Kończno prędzej twoją robotę."

Im bardziej nagliłem go, tem mniej był mi posłusznym. Dopiero położył brzytwę i wziął się do astrolabu, to znowu rzucił astrolab i brał napowrót brzytwę...

NOC 162.

"Natrętny golarz," mówił dalej młodzieniec, "porzucił jeszcze raz brzytwę, wziął znowu do ręki swój astrolab i, zostawiwszy mię w pół ogolonego, poszedł zobaczyć, która była godzina, a po powrocie rzekł do mnie: "Widzisz panie, że się nie omyliłem, całe trzy godziny mamy jeszcze do południa; o tem tak mocno jestem przekonany, że chybaby wszystkie prawidła astronomii musiały być fałszywe, gdyby inaczej wypadło."—"O mój Boże!" zawołałem, "ten człowiek chce mnie reszty pozbawić cierpliwości; — już dłużej nie wytrzymam! Przeklęty balwierzu, golibrodo z piekła zesłany! nie jątrz mnie do ostatka, żebym ci karku nie nadkręcił..."—"Ależ nie tak nagle, mój dobry panie,— z zimną krwią" — odpowiedział, nie zważając bynajmniej na mój gniew.—"Nie lękaszże się wpaść w chorobę?—Tylko troszeczkę cierpliwości, a niebawem cię ogolę."—Kończąc te słowa, schował swój astrolab do pokrowca, wziął brzytwę, przeciągnął z flegmą po rzemieniu, który miał u pasa i zaczął mię powtórnie golić. Lecz przy tem nie mógł się powstrzymać od gadania. — "Gdybyś mi tylko chciał powiedzieć, panie," mówił dalej, "co masz za sprawę do wykonania w południe, podałbym ci jaką może bardzo korzystną radę, z której byłbyś zadowolony." — Chcąc ciekawość jego zaspokoić, powiedziałem, że moi przyjaciele oczekują mię na południe z ucztą, którą mi ofiarowali na cześć mojego wyzdrowienia.

Zaledwie tylko balwierz usłyszał ten wyraz uczta: "A niechże cię Bóg błogosławi, panie! dziś i po wszystkie czasy!"—zawołał. Przypomniałeś mi właśnie, że

wczoraj zaprosiłem czterech, czy też pięciu, przyjaciół na dzień dzisiejszy na obiad. Na śmierć zapomniałem o tem, a tem samem żadnego w tym celu nie zrobiłem przygotowania." — "Jeżeli ci o to idzie! możesz być spokojny," rzekłem. — "Lubo ja nie obiaduję dziś w domu, spiżarnia moja zawsze jest dobrze opatrzona. Dam ci wszystkiego, cokolwiek się w niej znajdować może; rozkażę ci nawet dać wina tyle, ile sam zechcesz; mam albowiem arcy-wyśmienite w mojej piwnicy. Ale musisz ogolić mnie jak najprędzej. Pomnij sobie na to, że jeżeli mój ojciec obdarzał cię dlatego, że lubił słuchać twoich wielkich rozumowań, to ja przeciwnie—chcę cię obdarzyć za to, ażebyś do mnie nie gadał."

Oświadczenie moje nie przypadło do smaku balwierzowi.—"Niech ci Bóg nagrodzi to dobrodziejstwo," rzekł, "które mi chcesz uczynić. Lecz pozwól mi zobaczyć wprzód te zapasy, abym mógł się przekonać, czy będę mógł uraczyć nimi przyzwoicie swoich przyjaciół, gdyż mam chęć zadowolnić ich zupełnie swoją ucztą." — "Mogę ci ofiarować," odpowiedziałem, "baranka, sześć kapłonów, dwanaście kurcząt i wszystko to, co wystarczyć powinno na cztery dania." —Powiedziawszy to, kazałem niewolnikowi, ażeby to wszystko, oraz cztery dzbany dobrego wina przyniósł natychmiast do pokoju.—"Dobrze to jest," rzekł balwierz, "ale ja potrzebuję jeszcze owoców i różnych przypraw do mięsiwa." — Wszystko, czego tylko zażądał, zaraz mu przyniesiono na mój rozkaz;—on też, zamiast kończyć golenie, położył znowu brzytwę i jedno po drugiem biorąc do ręki, zaczął się przypatrywać, co gdy trwało prawie całą godzinę, gniewałem się i kląłem. Lecz to nic nie pomogło: tyran bynajmniej o to nie dbał. Wziął przecie brzytwę do ręki i golił mię przez kilka chwil, potem, zatrzymawszy się nagle, rzekł: Nigdybym nie uwierzył, że jesteś panie tak wspaniałomyślnym. Teraz dopiero zaczynam poznawać, że świętej pamięci twój ojciec ożył w tobie. Zaiste nie zasłużyłem na tyle uprzejmości z twojej strony; upewniam cię atoli, że ci za nie wieczną zachowam wdzięczność;—bo wierzaj mi panie, że ja nic nie mam okrom tego, co dostaję od ludzi. Podobny jestem przez to do Zantuta, który trze i obmywa ludzi w łaźni; do Salego, który sprzedaje po ulicach groch pieczony; do Salutego, co obnosi bób gotowany, do Akerszy, który sprzedaje zioła; do Abu Mekara, który skrapia ulice wodą w czasie upału i posuchy. — Wszyscy ci zacni ludzie nie wiedzą, co to jest melancholia, albo gniew, albo kłótnia. Więcej oni są zadowoleni swoim losem, niż kalif na łonie całego swojego dworu. Zawsze są dobrej myśli, gotowi śpiewać lub tańczyć, chociaż im bieda do żywego dokucza: — i każdy z nich ma swoją szczególną piosnkę lub taniec, któremi rozweselają cały Bagdad. Lecz co najbardziej w nich oceniam, jest właśnie to, że nie lubią wiele mówić, równie jak ja, twój najwierniejszy sługa. Oto, posłuchaj mnie łaskawie, zaśpiewam ci właśnie piosenkę i przetańczę parę skoków Zantuta, obcieracza i omywacza łazienkowego.—Uważaj, czy go też potrafię naśladować?"

NOC 163.

"Tu, jakby przez czarta na mnie nasadzony, obrzydły balwierz zaczął śpiewać i tańczyć na wzór swego Zantuta, i lubo go najusilniej prosiłem, ażeby zaprzestał tych błazeństw, on póty się nie uspokoił dopóki nie wymałpował tych wszystkich śpiewaków i tancerzy ulicznych, których mi nazwiska wymienił. Potem, zwróciwszy się do mnie, rzekł: "Wiesz co, panie, oto ja zaproszę do siebie wszystkich tych nieoszacowanych ludzi. Jeżeli mi dobrze życzysz, przyłączysz się do naszej zabawy, porzucając swoich przyjaciół, którzy zapewne są wielkimi bajarzami i napewno tak cię zanudzą swojemi rozwlekłemi gadaninami, że

zapadniesz w chorobę niebezpieczniejszą od tej, z której dopiero wyszedłeś; u mnie zaś ubawisz się i naśmiejesz do woli."

Jakkolwiek już krew warzyła się we mnie od gniewu, musiałem rozśmiać się na te głupstwa. "Gdybym nie miał ważnej przyczyny wyjścia," rzekłem na to, "chętniebym uczynił, czego odemnie żądasz, całem sercem zabawiłbym się z wami. Lecz proszę cię, uwolnij mnie na ten raz; dziś tego uczynić nie mogę; zostawmy to czasowi, a teraz uwiń się z goleniem i śpiesz do twoich przyjaciół. Może już na ciebie czekają w twoim domu?" — "Panie," odpowiedział ten łajdak, "nie odmawiaj mi łaski, o którą cię tak proszę: pójdź ze mną i zabaw się w wybornem towarzystwie, które będę miał u siebie. Gdybyś raz tylko poznał się z tymi ludźmi, takby cię zadowolili, że dla nich odstąpiłbyś bez namysłu wszystkich twoich przyjaciół." — "Nie mówmy już więcej o tem," przerwałem mu, "powiadam raz, że nie mogę znajdować się na twojej uczcie."

Ale moja powolność na nic mi się nie zdała.— "Ponieważ nie chcesz być u mnie," rzekł balwierz, "musisz mi pozwolić, ażebym poszedł z tobą. Zaniosę do siebie wszystko, co mi podarowałeś; przyjaciele moi mogą sobie jeść, jeżeli im się podoba, a ja powrócę tu natychmiast. Wszakże popełniłbym wielką niegrzeczność, gdybym cię puścił samego.—Zasługujesz, panie, ażebym to dla ciebie uczynił."—"O nieba," zawołałem, "nie będęż dziś w stanie uwolnić się od tak natrętnego człowieka! Zaklinam cię na Boga, zaprzestań tych uprzykrzonych gadanin; idź sobie do twych przyjaciół, pij i używaj z nimi, ciesz się, a zostaw mię panem mej woli. Sam tylko chcę iść, nie potrzebuję niczyjego towarzystwa, zwłaszcza że ci się przyznać muszę, że tam, gdzie idę, ty znajdować się nie możesz i ja tylko sam jestem proszony."—"Żartujesz sobie ze mnie, dobry panie," odparł balwierz, "bo skoro cię twoi przyjaciele zaprosili na ucztę, któż zabronić może, gdy mnie weźmiesz ze sobą? Owszem wielce ich ucieszysz, przyprowadzając człowieka takiego jak ja, który ma na zawołanie tysiączne żarciki i powiastki, zdolne rozśmieszyć i rozweselić największe zebranie gości. Zresztą, mów co chcesz, ale ja muszę pójść z tobą."

Słowa te wprawiły mnie w niemały kłopot! Jakże się tu teraz pozbyć tego przeklętego balwierza? pomyślałem. — "Jeżeli mu się będę sprzeciwiać, to z nim do końca nie trafię. Nadto usłyszałem już pierwsze wołanie na modlitwę południową, a przeto był czas wychodzić. Postanowiłem więc nie mówić już do niego ani słówka i udawać, jakobym zgadzał się na jego towarzystwo. Natenczas ogolił mię do reszty, a ja rzekłem: Weź moich ludzi, ażeby ci zanieśli te zapasy żywności do twego domu, a następnie powracaj. Będę czekał i nie pójdę bez ciebie.

Nakoniec poszedł przecie; ja też czemprędzej zacząłem się ubierać, a gdym usłyszał ostatnie zwoływanie na modlitwę, wyszedłem. Balwierz, który przeniknął mój zamiar, pokazawszy moim sługom swoje mieszkanie i dopilnowawszy ich, żeby tam weszli,— sam zaczaił się na rogu ulicy, aby wyśledzić mnie, dokąd pójdę, i udać się za mną. Jakoż, przyszedłszy do bramy kadiego, spostrzegłem, jak na mnie czychał,—i to mię bardzo zmartwiło.

Drzwi domu kadiego były tylko trochę przymknięte. Wszedłszy, spotkałem staruszkę, która wskazała mi pokoje młodej damy, mojego ideału. Gdym tam wszedł, zamknęła za mną drzwi i odeszła... Zaledwie, zacząłem rozmawiać ze swoją Psyche, gdy nagle na ulicy dał się słyszeć wielki krzyk. Dama wyjrzała i zobaczyła, że kadi, jej ojciec, powracał z modlitwy, a ja spostrzegłem balwierza siedzącego naprzeciw tegoż okna, w którem pierwszy raz ujrzałem piękną damę.

Dwie miałem wtenczas słuszne przyczyny obawy: powrót kadiego i obecność balwierza. Dama usunęła pierwszą, twierdząc, że jej ojciec bardzo rzadko odwiedza ją i że miała sposoby wypuszczenia mię bezpiecznie w razie potrzeby. Lecz natrętność przeklęte-

go balwierza wielką mi sprawiała niespokojność. Jakoż przekonacie cię zaraz, że bojaźń ta nie była bez przyczyny.

Kady za wnijściem do siebie, kazał dać kije swemu niewolnikowi za jakieś wykroczenie; niewolnik oczywiście krzyczał tak, że aż na ulicy się rozlegało. Balwierz myśląc, że to mnie tak chłostano, zaczął wołać na gwałt, rozdzierać na sobie szaty, potrząsać głowę prochem i wzywać na ratunek wszystkich sąsiadów, którzy się zbiegli natychmiast!... Zapytany, co mu jest i jakiej żąda pomocy, zawołał: "Niestety! oto w tym domu zabijają mojego pana, mojego dobroczyńcę i opiekuna."—I więcej już nie powiedziawszy, biegnie do mego domu, powtarzając te same krzyki, i niebawem powraca z moimi ludźmi uzbrojonymi w kije, którzy z niepojętą zapalczywością tłuką się do drzwi domu kadiego; ten wysyła do nich swojego niewolnika z zapytaniem, co to ma znaczyć, i odbiera wiadomość, że przeszło dziesięć tysięcy ludzi chce wejść gwałtem do domu i już drzwi wysadzają!"

Na te słowa kadi schodzi na dół i z najzimniejszą krwią otwiera drzwi swego domu i pyta wrzeszczących uliczników, czego od niego żądają?—Lecz nawet jego szanowna postać niemogła już powściągnąć zapału moich ludzi, którzy z niewymowną zuchwałością wołać zaczęli: "Przeklęty kadi, ty psie niegodziwy! co masz za prawo naszego pana katować? Cóż on ci złego uczynił?" — "Dobrzy ludzie," odpowiedział kadi, "nie biłem waszego pana, którego nie znam i który mnie nie obraził?... Oto dom mój otwarty, wnijdźcie i szukajcie go:" — "Biłeś go niemiłosiernie kijem," rzekł balwierz; "słyszałem płacz jego przed chwilą!" —"Ależ, przez Boga," rzecze powtórnie kadi, "cóż mi pan wasz mógł takiego zawinić, ażebym go tak niegodziwie miał karać? Niemasz go tu w moim domu, bo którędyżby tu wszedł i ktoby go wprowadził?"— "Nie potrafisz mię złudzić tą twoją siwą brodą, niepoczciwy człowiecze," odparł balwierz. — "Wiem ja dobrze, co mówię. Córka twoja kocha naszego pana i kazała mu przyjść podczas modlitwy południowej; pewnie ci o tem kto dał znać. — Powróciłeś, zastałeś go u niej i kazałeś go zbić kijami swoim służalcom. Lecz ten nikczemny twój postępek nie ujdzie ci bezkarnie: dowie się o tem kalif i nie odmówi nam sprawiedliwości! Wypuść go natychmiast i oddaj nam, albo wnijdziemy sami i wyrwiemy ci go z twoich drapieżnych szponów z wielkiem twem poniżeniem!..." — "Niepotrzebnie czynisz tyle hałasu," przerwał kadi. — "Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, możesz wejść i szukać go,—pozwalam na to chętnie."— Zaledwie kadi wyrzekł te słowa, balwierz i moi słudzy wpadli natychmiast jak szaleni do domu i poczęli mię wszędzie szukać..."

NOC 164.

"Gdym wysłuchał rozmowy balwierza z kadim," mówił dalej młodzieniec, "zacząłem szukać miejsca, w którembym się mógł ukryć. Nie znalazłem innego nad jedną wielką próżną skrzynię, do której wlazłem i zamknąłem się. Balwierz, obiegłszy wszystkie miejsca, przyszedł naostatek i do pokoju, w którym byłem ukryty. Zbliżywszy się do skrzyni, otworzył ją i, zobaczywszy mię, wziął ze skrzynią razem na głowę i wyniósł.—Zeszedł ze schodów dość wysokich na dziedziniec i śpiesznie uciekał ze mną na ulicę. Ale nieszczęściem skrzynia mu się otwarła, a wtenczas ja nie mogąc znieść wstydu, że mnie wystawił na pośmiewisko krzyczącego pospólstwa, wyskoczyłem na ziemię z tak nieostrożną szybkością, że sobie zraniłem nogę. Z początku nie uczułem prawie żadnego bólu i, podniósłszy się, śpiesznie uciekałem dla uniknienia szyderstwa ludu. Rzucałem nawet motłochowi garściami pieniądze w złocie i srebrze, któremi napełnioną miałem kiesę, i gdy się zabawiał ich zbieraniem, uchodziłem z ulicy na ulicę. Lecz niegodziwy balwierz, korzystając z wybiegu, którego użyłem dla uwolnienia się od

gminu, pędził za mną, nie spuszczając mnie z oczu i wołając na cały głos: "Zaczekaj panie, zaczekaj; pocóż tak prędko uciekasz?—Gdybyś wiedział, jak wielce byłem zmartwiony, że cię ten niepoczciwy kadi tak niemiłosiernie chłostać kazał, ciebie panie, który jesteś tak wspaniałego serca i któremu z przyjaciółmi mojemi tyle winien jestem wdzięczności. Alboż ci nie przepowiedziałem, żeś na niebezpieczeństwo podawał życie, zabraniając mi uporczywie, ażebym szedł z tobą? Sam sobie narobiłeś tej biedy, i gdybym ja nie uparł się iść za tobą, zważ sam, panie, coby się z tobą stało? Zatrzymaj się więc, błagam cię."

Tak mniej więcej przeklęty balwierz wołał za mną na cały głos. Niedość, że mnie osławił na ulicy, na której mieszkał kadi, chciał jeszcze otrąbić mnie po całem mieście. Oburzony do najwyższego stopnia, chciałem już zatrzymać się i dać po karku podłemu natrętowi. Lecz tym sposobem wystawiłbym się był na gorsze jeszcze skutki. Wziąłem się więc na inny sposób:—widząc, że jego wrzaskliwość wystawia mnie na pośmiewisko niezliczonej liczby osób, wbiegłem do chanu, którego zawiadowca był moim znajomym i naówczas stał we drzwiach. — "Na Boga zaklinam cię," zawołałem, "nie puszczaj za mną tego szalonego człowieka." — Przyrzekł to chętnie uczynić i dotrzymał słowa. Lecz nie mało w tej mierze miał do zwalczenia trudności, bo natrętny i uporczywy golarz chciał się wedrzeć koniecznie pomimo jego oporu i póty nie ustąpił, dopóki na niego tysiącznych obelg nie wyzionął. Potem, idąc środkiem ulicy, opowiadał każdemu, z kim się spotkał, jak wielką uczynił mi przysługę!

Tym sposobem, panowie, uwolniłem się przecież od tego nieznośnego człowieka. Co do mnie, musiałem poczciwemu zawiadowcy chanu opowiedzieć o całej swojej przygodzie, prosząc go zarazem o wynajęcie mi jakiego pokoiku, żebym się mógł w niem wyleczyć z potłuczenia.—"Panie," rzekł do mnie ten dobry człowiek, "czyżby ci nie wygodniej było w domu własnym?" — "Nie chcę tam dziś powracać," zawołałem; "szatański balwierz nie omieszkałby przyjść do mnie, by mię męczyć swojem nudzącem gadaniem i przyszłoby mi wreszcie umrzeć z obrzydzenia, jakieby mi sprawiał widok tego potwora. Nadto, po tem, co mnie dziś spotkało, nie mógłbym dłużej bawić w tem mieście. Postanowiłem wyjechać z tego miasta na los szczęścia." — Jakoż, skoro tylko zostałem wyleczony, wziąłem tyle pieniędzy, ile mogłem potrzebować na podróż i dalsze utrzymanie, a resztę krewnym moim rozdarowałem.

Opuściwszy Bagdad, szczęśliwie przybyłem do waszego miasta, w nadziei, że w tak odległym kraju od ojczyzny, nie zobaczę już więcej obrzydliwego balwierza, aż oto znajduję go pomiędzy wami. Niech was przeto nie dziwi, że się chcę wyrwać z grona waszego. Sami możecie stąd wnosić, jak nieznośną dla mnie jest plagą ten człowiek, który stał się przyczyną mojego kalectwa i oddalenia od krewnych, przyjaciół i ojczyzny i tułania po obcych krajach."

Skończywszy swoje opowiadanie, kulawy młodzieniec skłonił się wszystkim i wyszedł. Gospodarz odprowadził go aż do drzwi, oświadczając żal swój, że mimo woli stał się przyczyną tak przykrego dlań wypadku.

Po odejściu młodzieńca, dziwiliśmy się nad jego przygodą i zaczęliśmy wyrzucać balwierzowi, iż wielką niegodziwość popełnił, jeżeli to wszystko, cośmy słyszeli, było prawdą. — "Panowie!" rzekł, wznosząc do góry oczy, które dotychczas miał spuszczone.— "Milczenie moje przez cały czas opowiadania młodzieńca powinno was było już przekonać, że nic takiego nie wyrzekł, czego sam nie byłbym gotów potwierdzić. Jednakże zawsze utrzymywać będę, że powinienem był wszystko to uczynić, cokolwiek wtedy uczyniłem. Zdaję się na wasz własny sąd. — Powiedzcie: czyż on nie był w wielkiem niebezpieczeństwie

i czy bez mojej pomocy potrafiłby z niego tak wybrnąć? Niech raczej dziękuje niebu, że tylko na małem kalectwie nogi wszystko się skończyło. Czyż nie na większe sam wystawiłem się niebezpieczeństwo, dla wyrwania go z domu, w którym mniemałem, że go niegodziwie chłostano? Może on sprawiedliwie uskarżać się na mnie i tak niegodne wyrządzać mi obelgi? Otóż to są takie korzyści, uczynić niewdzięcznemu jaką przysługę! Nazywa mię gadułą, lecz to jest czysta potwarz. Ze siedmiu braci, gdyż nas tyle było, ja jestem najrozumniejszy i najskromniejszy w mówieniu. Dla przekonania was o tej prawdzie, opowiem wam moje własne i braci moich przygody. Raczcie mnie łaskawie posłuchać:

37. HISTORYA BALWIERZA

O DZIESIĘCIU ROZBÓJNIKACH, KTÓRZY DOPUSZCZALI SIĘ STRASZNYCH OKRUCIEŃSTW NA DROGACH PUBLICZNYCH, ZA CO IM GŁOWY POUCINANO.

"Za panowania kalifa Montasser Billah,"[1] mówił balwierz, "monarchy bardzo sławnego dla wspaniałości swojej i czułości na los biednego,—dziesięciu rozbójników zalegało drogi publiczne w okolicach Bagdadu, dopuszczając się przez długi czas najzuchwalszych rozbojów i niesłychanych okrucieństw. Kalif, dowiedziawszy się o tak wielkiej niegodziwości, kazał przywołać sędziego policyi na kilka dni przed świętem wielkiego bajramu i polecił mu pod utratą życia, ażeby wszystkich tych dziesięciu zbrodniarzy mu dostawił..."

NOC 165.

"Zagrożony tak strasznem postanowieniem, urzędnik ten tyle dołożył starania i tyle rozesłał ludzi zbrojnych i sprawnych na gościńce, że dziesięciu o

[1] Kalif Montasser Billah był wyniesiony na tę godność r. 623, to jest r. od narodzenia Chrystus 1226. Był 36ym kalifem z rodziny Abbasydów.

wych rozbójników schwytali razem w sam dzień bajramu.

Przechodziłem wtenczas ponad brzegiem Tygru i spostrzegłem dziesięciu ludzi dosyć bogato przybranych, którzy siadali do statku przewozowego. Poznałbym był ich od razu, że to są rozbójnicy, gdybym był zwrócił uwagę na straż ich otaczającą. Lecz że im tylko samym przypatrywałem się i w mniemaniu, że to byli ludzie jacy zacni, jadący dla rozweselenia się i przepędzenia dni świątecznych na jakiej uczcie, nie powiedziawszy im słowa, wsiadłem na statek, w nadziei, że mnie przyjmą do swego towarzystwa.

Przepłynąwszy więc rzekę, przybiliśmy pod pałac kalifa.

W drodze miałem czas zastanowić się i poznać, że sam siebie oszukałem w swoim o tych ludziach mniemaniu.

Jak tylko wysiedliśmy ze statku, nowa nas otoczyła straż, powiązano nas wszystkich i zaprowadzono przed kalifa.

Dałem się wziąść razem z innymi, nic nie mówiąc, bo na cóżby mi się zdały tłomaczenia i opór?

Mógłbym tylko dać powód straży do złego obejścia się ze mną, zwłaszcza, że to są zazwyczaj gbury, żadnej nie słuchający wymówki; znaleźli mię pomiędzy złoczyńcami, to dosyć dla nich powodów do uznania mię za ich wspólnika.

Jak tylko stanęliśmy przed kalifem, ten rozkazał natychmiast, leżąc sobie na sofie i paląc fajkę, jednemu po drugim łby ucinać.

Usłużny kat ustawił nas rzędem, od prawej do lewej ręki, ażeby nas ściąć po porządku.

Szczęściem postawił mię na samym końcu.

Zacząwszy więc od najpierwszego, szybko uwinął się ze łbami dziesięciu zbójców, a gdy przyszła kolej na mnie, zatrzymał się.

Kalif, widząc, że mię kat nie ścina, zawołał z gniewem: "Nie dałżem ci rozkazu, abyś uciął głowy dziesięciu zbójom. Dlaczegoż-to ściąłeś tylko dziewięciu?"

"Rządco Wiernych," odpowiedział kat, "niech mię Bóg broni, ażebym nie miał chęci spełnić twoich rozkazów: oto jest dziesięć kadłubów i tyleż łbów uciętych pod nogami twojemi. Rozkaż je, najjaśniejszy panie, policzyć."

Gdy kalif przekonał się, że kat powiedział prawdę, zaczął mi się przypatrywać i, poznawszy z rysów mej twarzy, iż nie mogę do rozbójników należeć, rzekł do mnie:

"Powiedz mi, dobry człowieku, jakimże sposobem znajdujesz się między tymi łotrami, którzy przez niegodziwe swe życie na tysiąc stryczków zasłużyli?"

"Rządco Wiernych," rzekłem, "w kilku słowach usprawiedliwię się przed tobą,"—i natychmiast opowiedziałem mu co do słowa, jak się rzecz miała.

Kalif po wysłuchaniu mej powieści, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i wydziwić milczeniu, które umiałem zachować. Uwielbiał moją małomówność, nie tak jak ten młodzieniec, który mię nazywa gadatliwym!...

"Rządco Wiernych,"—rzekłem,—"niech cię to nie zadziwia, że milczałem chociaż w tak stanowczej chwili, gdzie nikt podobno nie mógłby się wstrzymać od mówienia. Za godło życia mego wziąłem sobie właśnie milczenie, w którem się oddawna ćwiczę, ażebym przez tę cnotę zarobił sobie na zaszczytne imię cichego. Tak mię bowiem powszechnie nazywają, dla rozróżnienia od innych sześciu moich braci. Jest-to główny pożytek, który z mej filozofii odniosłem; rzadki ten przymiot stanowi całą moją chwałę i szczęście."

"Cieszę się niewymownie," rzekł do mnie z uśmiechem kalif, "że ci dano tę nazwę, na którą sobie zasłużyłeś. Lecz opowiedz mi, co to za ludzie byli ci twoi bracia?—Byliż ci oni w czem podobni?"

"Wielce odemnie różnili się we wszystkiem," odpowiedziałem. "Pierwszy był garbus, drugi szczerbaty, trzeci jednooki, czwarty ślepy, piąty miał obcięte uszy, a szósty obwisłe wargi. Doznali oni różnych przygód w swem życiu, z których, miłościwy panie, charaktery ich ocenić potrafisz, jeżeli raczysz mnie uważnie posłuchać."

38. HISTORYA O BAKBUKU,

KTÓRY SZYŁ DARMO SUKNIE DLA ZALOTNEJ MŁYNARKI I KOSZULE DLA JEJ MĘŻA, A WRESZCIE ZOSTAŁ BATEM WYSMAGANY I MUSIAŁ MŁYŃSKIE KOŁO OBRACAĆ CAŁĄ NOC.

"Najstarszy mój brat," mówił balwierz, "był garbaty, miał na imię Bakbuk i trudnił się krawiectwem. Gdy się nauczył swojego rzemiosła, otworzył pracownię naprzeciw pewnego młyna. W początkach bardzo mało miał pracy i dlatego klepał biedę. Natomiast młynarz, jego sąsiad, był bogaty i bardzo piękną miał żonę. Pewnego dnia, brat mój pracując w swoim sklepiku, spojrzał przypadkiem na dom sąsiada i ujrzał w oknie młynarkę, która wyglądała na ulicę. Piękność jej od razu ujęła go za serce. Młynarka nie zauważyła tego bynajmniej; zamknęła okno i nie pokazała mu się więcej przez resztę dnia. Tymczasem biedny krawiec ustawicznie podnosił głowę i zwracał oczy ku młynowi. Kilka razy ukłół się nieborak w palce i niewiele w tym dniu zarobił. Wieczorem zamknął sklep i odszedł do swego domku, w którym noc bardzo niespokojnie przepędził. Nazajutrz wstał raniej niż zwykle i niecierpliwym będąc oglądania swej kochanki, pobiegł czemprędzej do sklepu. Szczęście mu jednak nie służyło. Przez cały dzień raz tylko pokazała się

młynarka w oknie. Dzień trzeci był pomyślniejszy. Młynarka przypadkowo rzuciła okiem, spostrzegła, że się w nią pilnie wpatrywał i wyczytała z twarzy, co się działo w jego rozkochanem sercu..."

NOC 166.

"Odgadnąwszy tym sposobem, chytra ta filutka, skłonność mojego brata, nietylko na niego się nie rozgniewała, ale nadto postanowiła sobie uczynić igraszkę. Spoglądała na niego z uśmiechającą się twarzą; mój brat spoglądał także na nią, lecz z tak śmiesznem czynił to przymileniem, że młynarka, bojąc się, ażeby głośnym nie wybuchnęła śmiechem, któryby mógł dać poznać mojemu bratu, że go miano za głupca godnego wyszydzenia, zamknęła czemprędzej okno.—Niewinny nasz Bakbuk tłomaczył sobie ten jej postępek na swą korzyść i pochlebiał sobie, że go nie bez współczucia uważa.

Młynarka więc przedsięwzięła wyraźnie wziąść sobie mojego brata za cel szyderczych drwinek. Miała ona sztukę pewnej materyi, z której dawno chciała sobie dać zrobić suknię. Zawinęła ją przeto w piękną chustkę jedwabną i posłała mu przez młodą niewolnicę, która dobrze będąc od pani swej nauczoną, przyszedłszy do sklepu krawca, rzekła: "Pani moja zasyła ukłony i prosi, ażebyś jej zrobił suknię z tej materyi podług wzoru, który ci przynoszę: ona lubi częste odmiany w stroju, co może z wielkim być pożytkiem dla ciebie." — Po takiem poselstwie, mój brat ani wątpił, że młynarka jest w nim na zabój rozkochana. Sądził bowiem, że nie dlaczego innego zaraz po widzeniu się z nim przysłała mu robotę, jak tylko dla pokazania mu, iż wyczytała w sercu jego ku sobie miłość i chce go tym sposobem zapewnić o swojej wzajemności. W tem dobrodusznem przekonaniu kazał niewolnicy odpowiedzieć swej pani, że dla niej wszystką inną rzuca robotę i że nazajutrz będzie miała gotową suknię. Jakoż tak usilnie pracował, iż na dzień naznaczony dzieło swoje wykończył.

Nazajutrz młoda niewolnica przyszła dowiedzieć się, czy suknia jest zrobiono. — Bakbuk, złożywszy ją starannie i oddając słudze, rzekł: "Wiele mi na tem zależy, ażebym pozyskał względy twojej pani; musiałem przeto uwinąć się z jej suknią. Pragnę moją pilnością zjednać sobie łaskawe jej zaufanie, ażeby odtąd mnie tylko powierzała robotę."— Młoda niewolnica, uczyniwszy wprzód kilka kroków do odejścia, potem powracając, rzekła cicho do mego brata: "O mało nie zapomniałam wykonać jednego jeszcze zlecenia mojej pani:—oto zasyła ci ukłony i pyta się, jak tę noc przepędziłeś? Co do niej, biedna niewiasta, tak w tobie rozkochana, że całą noc i oka nie zmrużyła."—"Oświadcz jej," odpowiedział mój brat z niewymowną radością, "że ją szalenie kocham i że przez cztery już nocy ani oka nie zmrużyłem." — Odebrawszy od młynarki to łudzące wyznanie, spodziewał się, że mu niedługo każe czekać na otrzymanie dalszych względów.

Jeszcze kwadrans nie upłynął od odejścia chytrej posłannicy, gdy brat mój ujrzał ją powracającą znowu ze sztuką atłasu. — "Pani moja," rzecze, "bardzo jest zadowolniona ze swej sukni; gładko na niej leży, lecz że jest niewypowiedzianie piękna i nie chce jej nosić bez nowych szarawarków, prosi cię zatem, ażebyś jej takowe zrobił jaknajprędzej z tego atłasu." — "Dobrze," odpowiedział Bakbuk, "nie wyjdę wprzód ze sklepu, aż te szarawarki uszyję. Możesz przyjść po nie wieczorem."—Młynarka pokazywała się często w oknie, hojnie wystawiając swe wdzięki, dla większego zachęcenia biednego głupca. On też nawzajem popisywał się ze swą igłą i szarawarki niebawem zostały wykończone. Niewolnica przyszła po nie wieczorem, lecz nie przyniosła pieniędzy ani za robotę ani za poniesione wydatki na różne drobne potrzeby. Tymczasem ten nieszczęśliwy kochanek, z którego sobie tak niemiłosiernie żartowano, nic nie jadł cały dzień i musiał po-

życzyć sobie kilku groszy, ażeby miał za co posilić się wieczorem. Nazajutrz jak tylko wszedł do swego sklepu, młoda niewolnica przybiegłszy, oświadczyła mu, że młynarz pragnie z nim się widzieć.— "Pani moja," dodała, "tak cię przed nim chwaliła, że powziął chęć proszenia cię, ażebyś i jemu zrobił ubranie. Uczyniła to umyślnie dlatego, ażeby przyjaźń,którą pragnie zawiązać pomiędzy swoim mężem a tobą, dopomogła wam do dostąpienia tego, czego oboje pragniecie."— Brat mój dał temu wiarę bez namysłu i poszedł do młyna z niewolnicą. Młynarz przyjął go bardzo mile i, dawszy mu sztukę płótna, rzekła: "Potrzebuję koszul, oto masz płótno; chciałbym, ażebyś mi ich zrobił ze dwadzieścia; resztę płótna zwrócisz mi..."

NOC 167.

"Tym sposobem," mówił dalej balwierz, "brat mój dostał na pięć lub sześć dni roboty, mając do uszycia dwadzieścia koszul dla młynarza, który dał mu potem i drugą sztukę płótna, ażeby mu z niej tyleż szarawarów narobił.—Bakbuk,gdy skończył tę robotę, odniósł ją młynarzowi, który go spytał, co mu się za to należy? — Brat mój odpowiedział, że przestaje na dwudziestu drachmach srebra. Młynarz zawołał natychmiast niewolnicy, rozkazując, ażeby przyniosła ważki dla sprawdzenia wagi pieniędzy. Niewolnica, dobrze wprzód namówiona, spojrzała na brata mego z gniewem, dając mu do zrozumienia, że wszystko popsuje, jeżeli przyjmie zapłatę. Usłuchał jej natychmiast i nie przyjął, chociaż był w wielkiej potrzebie i nawet zadłużył się za nici i inne drobiazgi, użyte do koszul i szarawarów. Wyszedłszy od młynarza, udał się do mnie o pożyczenie kilku groszy na życie, twierdząc, że mu jeszcze za robotę nie zapłacono. Dałem mu trochę pieniędzy miedzianych, które miałem przy sobie, z czego utrzymywał się kilka dni, samą tylko mleczną żyjąc polewką.

Pewnego dnia poszedł do młynarza i zastał go narządzającym swój młyn. W mniemaniu, że go chciał prosić o pieniądze, młynarz sięgnął do kiesy, lecz młoda niewolnica, która była przy tem obecną, dała mu na migi do zrozumienia, żeby nie brał pieniędzy i raczej powiedział, iż nie po pieniądze przychodzi, ale tylko dla dowiedzenia się o jego zdrowiu. Młynarz podziękował mu za to —i dał znów do zrobienia zwierzchnią szatę. Bakbuk przyniósł mu ją nazajutrz. Młynarz wyciągnął znów kiesę, lecz niewolnica młoda spojrzała tylko na mego brata, a on rzekł do młynarza: "Mój kochany sąsiedzie, nie ma w tem nic pilnego, zostawmy to czasowi."

Żona młynarza była kobietą łakomą i złośliwą; nie poprzestając bowiem na tem, że pozbawiła biedaka należytości za dostawioną robotę, podmówiła jeszcze swego męża, ażeby go ukarał za miłość, którą ku niej nierozsądnie zapałał. Młynarz tedy zaprosił Bakbuka na wieczerzę i po dosyć lichem przyjęciu rzekł do niego: "Bracie, już jest widzę zbyt późno, ażebyś miał wracać do siebie; zostań przeto i nocuj u mnie."—To wymówiwszy, zaprowadził go do komórki we młynie, w której dla niego było przygotowane łóżko i. powiedziawszy mu dobranoc, zostawił go, a sam z żoną odszedł do izby. O północy atoli, zbudziwszy mojego brata, rzekł: "Sąsiedzie, czy śpisz?—Wystaw sobie co za nieszczęście, mulica mi zachorowała, a tu trzeba koniecznie mleć zboże, czy nie byłbyś więc tak łaskaw dopomódz mi i poobracać trochę koła?..." Bakbuk, chcąc mu dać dowód swej przyjaźni, odpowiedział, że gotów był to uczynić, byle mu tylko pokazał, jak to koło trzeba obracać. — Wtedy młynarz zaprzągł go tak,jak zwykł był zaprzęgać mulicę do obracania młyńskiego koła, potem skropiwszy go harapem, rzekł: "Zwijaj się, bratku, zwijaj, bo ja nigdy dla mojej mulicy nie żałuję bykowca!"—"Ach! za cóż mię tak niemiłosiernie walisz!" zawołał biedny krawiec, "miej wzgląd na moje dobre chęci." — "No, no!

to tylko, widzisz, czyni się dla tem większego ożywienia się w tej pracy," odpowiedział młynarz; "inaczej bowiem mulica moja nie chodziłaby żwawo w kole." —Tak szkaradne obejście się niemało zdziwiło biednego Bakbuka; lecz nieborak nie śmiał nawet narzekać na gwałcenie praw gościnności. Obróciwszy się w kole ze sześć razy, chciał cokolwiek odpocząć, lecz młynarz, dawszy mu ze dwanaście ognistych plag, mówił do niego z dobrocią: "Obracaj się tylko żywo, sąsiedzie, nie zatrzymuj się nic, proszę cię — bądź ruchawszy, inaczej popsułbyś mi mąkę..."

NOC 168.

"Przez całą noc biedny mój brat obracać musiał młyńskie koło. Przededniem dopiero zdrajca młynarz, porzuciwszy go niewyprzężonym, odszedł do swojej żony. Bakbuk zostawał przez niejaki czas w tem nieprzyjemnem położeniu; nakoniec przyszła młoda niewolnica i ta go dopiero wyprzęgła. — "Ach! jakże cię serdecznie żałowałyśmy z moją panią," zawołała ta chytra liszka, "że ci tak niegodziwą mąż jej wyrządził psotę!" — "Lecz nie mogłyśmy ratować cię bez własnej zguby!" — Biedny Bakbuk prawie oniemiał, do tego stopnia był zmęczony i wysmagany bykowcem; wyniósł się też z młyna z mocnem postanowieniem nie myśleć więcej o młynarce.

"Opowiedzenie tej przygody," mówił dalej balwierz, "rozśmieszyło bardzo kalifa."— "Idź," rzekł do mnie, "wracaj to twego domu, odbierzesz odemnie mały upominek w nagrodę złego obejścia, którego niewinnie doznałeś."—"Rządco Wiernych," rzekłem, "upraszam Was, ażebyście raczyli zatrzymać wspaniałomyślności swej skutek, aż Wam opowiem przygody równie zabawne i ciekawe reszty moich braci."— Gdy kalif milczeniem dał mi poznać, że mię chętnie wysłucha, zacząłem więc opowiadać, co następuje:

39. HISTORYA O BAKBARAHU,

KTÓRY ZOSTAŁ ZWABIONY PODSTĘPEM DO PAŁACU PIĘKNYCH DAM, A TAM OGOLONY, PRZEBRANY, OBITY I NA ULICĘ WYPĘDZONY; WRESZCIE W SĄDZIE UKARANY.

"Drugi mój brat Bakbarah, zwany szczerbatym, idąc pewnego dnia przez miasto, spotkał na ustronnej ulicy starą kobietę, która go zaczepiła w te słowa: "Mam ci coś powiedzieć, zatrzymaj się trochę, proszę cię."— On też stanął, zapytując ją, czego żąda?—"Jeżeli masz czas pójść ze mną," rzecze, "zaprowadzę cię do wspaniałego pałacu, w którym będziesz miał przyjemność oglądać najpiękniejszą damę pod słońcem. Przyjmie cię bardzo mile, zaprosi na wieczerze i uczęstuje przedniem winem; więcej nie potrzebuję ci mówić." — "Lecz jestże to prawda, co mówisz?" spytał mój brat, niedowierzając jej trochę.—"Nie mam zwyczaju kłamać," odpowiedziała baba;— "nic ci takiego nie powiadam, coby nie było rzetelną prawdą. Ale posłuchaj nawzajem, czego ja od ciebie żądam: — oto musisz zachować się roztropnie, starać się mówić jaknajmniej i być nadzwyczajnie grzecznym." Gdy Bakbarah przystał na ten warunek, baba kazała mu pójść za sobą.—Przyszli do bramy wielkiego pałacu, w której zastali niezmierną liczbę dworzan i służalców.

Niektórzy z nich chcieli go zatrzymać, lecz na skinienie baby, dali mu wolne przejście. Gdy weszli do bramy, baba rzekła do mego brata: "Pamiętajże przynajmniej na to, że dama, do której cię prowadzę, lubi uprzejmość i umiarkowanie w mowie; gniewa się zaś bardzo, gdy jej się kto sprzeciwia. Jeżeli ją w tem zadowolisz, możesz być pewnym, że wszystko od niej otrzymasz, czego tylko zażądasz."—Bakbarah podziękował jej za tę przestrogę i obiecał z niej korzystać.

Wprowadziła go tedy do bardzo pięknego pawilonu. Był to wielki budynek w czworogran, nie ustępujący bynajmniej wspaniałości pałacu; wkoło otaczała go bardzo ładna galerya, w pośrodku zaś dawał się widzieć piękny ogród. Baba kazała mu usiąść na bogatej sofie i poczekać przez chwilę, ażeby mogła oznajmić młodej damie o jego przyjściu.

Brat mój, który nigdy nie widział tak przepysznego miejsca, przypatrywał się z pilnością wszystkim ozdobom i sprzętom, które się przedstawiały zagawronionym jego oczom. Wkrótce usłyszał wielki szelest, wzniecony przez niezliczoną liczbę przedziwnej urody niewolnic biegnących tłumem, które, przystąpiwszy do niego, zaczęły wydawać puste śmiechy. W pośrodku ich ujrzał młodą damę cudnej piękności, która że była ich panią, łatwo mógł poznać po uszanowaniu, jakie dla niej okazywały. Bakbarah, który w tem był przekonaniu, że miał z damą sam na sam mieć rozmowę, zdziwił się niezmiernie, gdy ją w tak licznem ujrzał gronie. Tymczasem niewolnice przybrały postawy poważne, a gdy młoda ich pani wstępowała na sofę, brat mój powstał, głęboki czyniąc jej ukłon. Zasiadłszy wyższe miejsce i prosząc go także, aby usiadł, rzekła do niego z uśmiechem: "Zachwycona jestem twoim widokiem i życzę ci wszelkich pomyślności, jakich tylko zapragnąć możesz." — "Pani," odpowiedział jej Bakbarah, "nie mogę sobie życzyć nic więcej nad to, że mam zaszczyt znajdować się przed tobą!"—"Zdaje mi się," rzecze dama, "że jesteś w dobrym humorze i że sobie zapewne życzysz, abyśmy wesoło ten czas przepędzili."

Potem kazała dać wieczerzę i natychmiast zastawiono na stole koszyki z owocami i cukrowemi przyprawami. Piękna dama zajęła miejsce u stołu ze swojemi niewolnicami i z moim bratem. Że zaś siedział naprzeciw niej, przeto gdy jedząc otwierał usta, spostrzegła, że był szczerbatym, i pokazała to swoim niewolnicom, które zaczęły śmiać się do rozpuku razem ze swoją panią. Bakbarah, który kiedy niekiedy wznosił głowę, dla przypatrzenia się damie, widząc ją śmiejącą się, mniemał, że to czyni z radości, iż go posiada w swym gronie i tuszył sobie, że wkrótce każe oddalić się niewolnicom, ażeby z nim sam na sam zostać mogła. Lecz przenikała ona tę myśl śmiesznego swego wielbiciela i mając sobie za uciechę utrzymać go w tak śmiesznym błędzie, mówiła do niego z największem przymileniem i podawała mu własną ręką najdelikatniejsze potrawy.

Po skończonej wieczerzy wstano od stołu i zaraz dziesięć niewolnic wzięły się do instrumentów, zaczęły grać i śpiewać, a inne tańczyły. Brat mój dla przypodobania się damie, toż samo uczynił—niebawem i ona sama wmieszała się między tańczących. Przetańczywszy kilka razy, pousiadano dla wypocznienia. Dama kazała sobie podać kieliszek wina, rzucając pełne wdzięku na mojego brata wejrzenie, żeby mu dać do zrozumienia, iż piła jego zdrowie... Podniósł się na równe nogi ze swego miejsca do reszty ogłupiony nieborak i stał z uszanowaniem, dopóki nie wypiła; poczem, zamiast oddania kieliszka, kazała go napełnić i podała mojemu bratu..."

NOC 169.

"Brat mój odebrał kieliszek i, pocałowawszy w rękę młodą damę, spełnił go stojący, wywdzięczając się za zaszczyt, który mu uczyniła. Potem kazała mu u-

siąść przy sobie i zaczęła mu się przymilać; jedną ręką objęła go za głowę, a drugą kiedy niekiedy dawała mu lekkie policzki. Zachwycony temi pieszczoty, miał się za najszczęśliwszego z ludzi; już go nawet zaczynała brać chętka pożartować nawzajem z tak wielce miłą osobą, lecz nie śmiał odważyć się na to w obecności tylu niewolnic, które nie spuszczały z niego oczu.

Młoda dama nie przestawała mu wciąż dawać lekkich policzków, lecz w końcu tak silnie go trzasnęła w twarz, że mu się w oczach zaiskrzyło. Zawstydzony odsunął się cokolwiek, chcąc uniknąć dalszych tego rodzaju pieszczot. Natenczas stara kobieta, która go przyprowadziła, rzuciła na niego wejrzenie, dające mu poznać, iż nie była zadowolona z jego postępku i że zapomniał o danej mu przestrodze, żeby się w niczem nie ważył sprzeciwiać damie. Jakoż zrozumiał ją od razu i uznał swoją winę; żeby ją przeto nagrodzić, zbliżył się powtórnie do młodej damy, udając, że się mimowolnie odsunął. Wzięła go więc za rękę, posadziła znowu przy sobie i wróciła do swoich uszczypliwych żarcików... Niewolnice chcąc się przypodobać swej pani, zaczęły jej pomagać w pieszczeniu mego brata: jedna z nich obsypywała biednego Bakbaraha ognistymi szczutkami w nos, który miał dosyć duży: druga targała go za uszy, ledwie mu ich nie odrywając; inne zaś takie mu wycinały policzki, że tego już niepodobna było brać za żart. Brat mój jednak znosił to wszystko z przedziwną cierpliwością, udawał nawet wesołość i, obróciwszy się do starej, która go przyprowadziła, rzekł z przymuszonym uśmiechem: "Dobrze mi powiedziałaś, że będę miał szczęście zabawić się tu z bardzo miłą, uprzejmą i śliczną damą. Jakże ci za to jestem wdzięczny!" — "Wszystko to jeszcze nic," odpowiedziała mu stara, "nie sprzeciwiaj się tylko w niczem, a dopiero zobaczysz tu coś więcej!"— Młoda dama zabrała natenczas głos i rzekła do mego brata:

"Jesteś wyborny człowiek, niezmiernie mię to cieszy, że cię znajduję tak cierpliwym i tak powolnym na te wszystkie drobne moje dziwactwa; — zdaje się, że twój humor zupełnie zgodny jest z moim."—"Pani," odpowiedział Bakbarah, pocieszony nieco tą mową, "cały już do ciebie należę, możesz rozporządzać mną według swego upodobania." — "Ach! jakże mnie zachwycasz uprzejmem poddaniem się mej woli; niezmiernie mię to cieszy i pragnę, ażebym ci się wzajemnie podobała.—Przynieście mu czemprędzej pachnideł i wody różanej." — Na te słowa dwie niewolnice pobiegły śpiesznie i powróciły niebam. Jedna przyniosła puszkę, w której było najwyborniejsze aloesowe drzewo, którem go natychmiast upachniła, a druga różaną wodę, którą pokropiła mu twarz i ręce. Brat mój prawie nie posiadał się z radości, że mu uczyniono tak wielki zaszczyt.

Po tym obrzędzie młoda dama kazała niewolnicom powtórnie grać i śpiewać, co natychmiast spełniły; i podczas gdy się to działo, dama, przywoławszy jednę ze swoich niewolnic, kazała jej wziąść ze sobą brata mego, mówiąc te słowa: "Uczyńże z nim to, co wiesz, i potem go tu przyprowadź!"—Bakbarah, usłyszawszy ten rozkaz, podniósł się i, przystąpiwszy do starej, która właśnie zabierała się do odejścia razem z nim i z niewolnicą, prosił jej, żeby mu powiedziała, co z nim chciano uczynić?—"Oto widzisz tak," szepnęła mu stara do ucha, jakby co najpomyślniejszego zwiastując, "pani nasza ciekawa jest zobaczyć cię przebranym za kobietę i niewolnica ta, co odebrała rozkaz wziąść cię ze sobą, umaluje-ci brwi, ogoli wąsy i ustroi cię w damskie szaty." — "Niech mnie malują jak chcą," odpowiedział mój brat, "chętnie na to pozwalam, bo mogę potem się obmyć; lecz co do ogolenia mi wąsów, oświadczam, iż tego nie ścierpię. Jakżebym się potem ludziom pokazał?" —"Niech cię Bóg broni, ażebyś się sprzeciwiał woli mej pani," zawołała stara dyablica,— "popsułbyś całą twoją tak świetną przyszłość, która

do ciebie tak widocznie się uśmiecha. Dama cię szalenie kocha i chce cię uczynić na całe życie szczęśliwym; i wartoż to, ażebyś dla głupich wąsów zrzekał się niewymownych rozkoszy?"—Bakbarah słuchał jej z wielkiem odurzeniem i, nie powiedziawszy już ani słowa, dał się zaprowadzić niewolnicy do osobnego pokoju, w którym umalowała mu brwi na różowo. Ogolono mu wąsy i chciano zacząć golić brodę, lecz tu już uległość mojego brata stała się twardszą do zgryzienia.—"Ach! co się tyczy brody, na to w żaden sposób nie pozwolę," zawołał, "ażeby mi ją zgolono." — Niewolnica przedstawiała mu, że na niby się nie przydało zgolenie wąsów bez ogolenia brody i że to ją mocno zadziwia, iż bliskim już będąc posiadania najzacniejszej i najpiękniejszej w całym Bagdadzie damy, jednej nic nieznaczącej brody nie chciał dla niej postradać."—Stara baba, przydała do takowych przedstawień niewolnicy nowe jeszcze pobudki. Pogroziła bratu mojemu gniewem damy; wreszcie tyle na nim wymogła, że pozwolił na wszystko.

Tak przebranego nakoniec zaprowadzono go przed młodą damę. Ta, ujrzawszy go, do tego stopnia opanowana została pustym śmiechem, że aż padła na sofę. Niewolnice toż samo uczyniły, klaszcząc w ręce z zadowolenia; brat mój, wyszydzony, wyśmiany, do reszty stracił głowę. Młoda dama, zerwawszy się ze sofy i nie przestając śmiać się do upadłego, — rzekła: "Po takiej uległości, jakiej mi dałeś dowody, byłabym niesprawiedliwą, gdybym cię nie kochała. Lecz musisz jeszcze jedną rzecz dla miłości mojej uczynić, to jest potańczyć trochę w tym ubiorze."—Uczynił to natychmiast, a piękna dama i niewolnice jej tańcowały z nim razem, śmiejąc się jak opętane. Potańczywszy niejaki czas, rzuciły się wszystkie na tego nieboraka i tyle mu zadały policzków, tyle kułaków pięściami i nogami, że prawie bez duszy padł na ziemię. Stara dopomogła mu się dźwignąć i nie dając mu czasu do narzekań na tak niegodziwe obeście, którem go uczczono, szepnę-

ła mu znowu do ucha: "Teraz się ciesz, za chwilę nastąpi koniec twego cierpienia, odbierzesz zasłużoną nagrodę..."

NOC 170.

"Jednę tylko rzecz jeszcze masz uczynić," mówiła wiedźma zbitemu na kwaśne jabłko Bakbarahowi, "a ta jest już małej wagi. Wiedz, że pani moja ma zwyczaj, kiedy się cokolwiek winem rozweseli, jak ją teraz widzisz, nie przypuszczać do siebie tych, których kocha, jeżeliby nie byli rozebrani aż do koszuli. Gdy się już rozbiorą, stanąwszy naprzód kilkanaście kroków, każe im się gonić i tak ścigana ucieka przed nimi po galeryi z pokoju do pokoju, dopóki jej nie dogonią.—To już jest ostatnie jej dziwactwo. Jest ona zgrabna i lekka, ale przy twej zwinności od razu ją pochwycisz. Rozbieraj się więc czemprędzej aż do koszuli, zrzuć suknię bez wszelkiego obrzędu."

Dobroduszny mój braciszek aż nadto już daleko zabrnął, ażeby się miał cofać. Rozebrał się poczciwy głupiec;—tymczasem też i młoda dama zrzuciła z siebie suknię i w samej tylko pozostała spodniczce, ażeby jej lżej było uciekać. Gdy już oboje stanęli w pogotowiu do rozpoczęcia gonitwy, młoda dama, oddaliwszy się od niego na dwadzieścia kroków, zaczęła uciekać z niewypowiedzianą szybkością. Brat mój pędził za nią z największem wysileniem, tak dalece, że wszystkie niewolnice wzbudził do śmiechu, które za nim klaskały w ręce. Młoda dama nietylko że nie dała dogonić się Bakbarahowi, lecz coraz dalej zostawiała go w tyle. Obiegła z nim trzykrotnie wszystkie galerye, a potem wpadła w ciemny korytarz i schroniła się przed nim w miejscu dobrze sobie znanem. Bakbarah, straciwszy ją z oczu w swej pogoni, przymuszony był dla ciemności zwolnić kroku. Nakoniec spostrzegł światło i, zwróciwszy się ku niemu—prawie dostał się na ulicę i na to też właśnie czychano, żeby [illegible] bra-

mę zatrzasnąć. Wystawić sobie teraz jego zdziwienie, gdy się ujrzał tak wystrychniętym na dudka, wpośród ulicy przez samych białoskórników zamieszkanej!... Lecz niemniej zdziwili się i garbarze, ujrzawszy go w koszuli, ze brwiami różowemi, bez brody i bez wąsów. Z początku zaczęli na niego klaskać, krzyczeć, biedz za nim, nakoniec wzięła ich nagle chętka wysmagać go rzemieniami po plecach, wnosząc, że to jakiś nocny ladaco. Sprawiwszy mu takową łaźnię, wsadzili go potem na osła i wodzili po całem mieście, wystawiając na pośmiewisko gminu.

Na dopełnienie miary jego nieszczęścia, kiedy go prowadzono koło domu sędziego policyi, urzędnik ten spytał się o przyczynę rozruchu? Garbarze oświadczyli sędziemu, że go znaleźli w takim stanie wychodzącym z pałacu żon wielkiego wezyra. Usłyszawszy to sędzia, kazał dać nieszczęśliwemu Bakbarahowi sto kijów w pięty i wypędzić go za miasto, jako wichrzyciela spokojności publicznej.

Ta jest, Rządco Wiernych, —rzekłem do kalifa Montasser Billah,—przygoda drugiego mojego brata, którą miałem opowiedzieć. Pierwszy raz nieboraczek dowiedział się odemnie, że damy naszych wielkich panów mają sobie za rozrywkę wyrządzać częstokroć podobne psoty młodym głupcom, którzy im się dają złowić w zastawione sidła."

NOC 171.

Balwierz, skończywszy historyę o Bakbarahu, zaczął opowiadać o trzecim swoim bracie:

40. HISTORYA O BAKBAKU,

KTÓRY BYŁ ŚLEPY I ŻYŁ Z JAŁMUŻNY; A MIAŁ NIESZCZĘŚLIWE PRZYGODY ZE ZŁODZIEJEM I FAŁSZYWYM SĘDZIĄ.

"Rządco Wiernych," mówił do kalifa, "trzeci mój brat nazywał się Bakbak i był ślepy. Kalectwo przyprowadziło go do ubóstwa i zmusiło do żebrania jałmużny. Z czasem tak się przyzwyczaił do łażenia po mieście, że, na pamięć znając wszystkie ulice i domy, nie potrzebował przewodnika. Zwyczajem jego było zapukać do drzwi i nie odpowiadać na żadne zapytania, dopóki mu nie otworzono. — Pewnego dnia, gdy zakołatał do drzwi nieznajomego domu, gospodarz, będący sam jeden w mieszkaniu, zawołał: "Kto tam?" —Brat mój, nic nie odpowiedziawszy na te słowa, zakołatał powtórnie.—Gospodarz zapytał się po raz drugi: "Kto tam?"—lecz on mu nic nie odpowiadał. Zeszedł więc na dół, otworzył i spytał się mego brata, czego żądał.—"Wesprzyj mnie czem, w imię Boga," odpowiedział mu Bakbak.— "Ślepy, widzę, jesteś biedaku," rzecze gospodarz. — "Ach! tak jest," odpowiedział mój brat. —"Podaj mi rękę," rzekł do niego powtórnie. — Brat mój podał mu ją, myśląc, że otrzyma jałmużnę, lecz gospodarz, wziąwszy go, zaprowadził na górę do swej izby. Bakbak mniemał, że to czyni

dlatego, ażeby mu co dać zjeść, jak mu się to już nieraz tak trafiało. Gdy obaj weszli do izby, gospodarz, puściwszy jego rękę, usiadł na swojem miejscu i spytał go znowu, czego żąda?— "Mówiłem ci już," odpowiedział Bakbak, "że proszę o jałmużnę."—"Biedaku," rzecze na to gospodarz, "wszystko co dla ciebie uczynić mogę jest modlitwa, ażeby ci Bóg przywrócił dar widzenia." — "Mógłbyś mi to był powiedzieć u drzwi twojego domu," rzecze mu brat, "zamiast ciągnąć mnie za sobą tak wysoko po schodach."—"Ach, dlaczegóżeś taki uparty," odpowiedział gospodarz, "że nic nie odpowiadasz, gdy cię pytają: kto tam? — Dlaczegóż ty przymuszasz ludzi do trudzenia się bez potrzeby?" —"Cóż chcesz więc ze mną robić?"— spytał mój brat. "Powtarzam ci jeszcze raz," rzecze gospodarz, "że nie mam ci co dać."—"Dopomóż mi więc do wyjścia z tego mieszkania," rzecze Bakbak.—"Masz schody przed nosem," odpowiedział gospodarz, "to możesz zejść, kiedy ci się podoba."—Brat mój zaczął schodzić, lecz, potknąwszy się w połowie drogi, spadł na sam dół i potłukł się niezmiernie, tak, że z wielką podźwignąwszy się trudnością, przeklinał niegościnnego gospodarza, który się śmiał z jego upadku.

Na wyjściu z domu, dwaj ślepi jego towarzysze, przechodząc na ten czas przez ulicę, poznali go po głosie i zatrzymali się, zapytując go, co mu jest?— Opowiedział więc im biedak swoją przygodę i powiedziawszy im, że przez cały dzień od nikogo nie dostał wsparcia, rzekł: "Proszę was, pójdźcie ze mną do mojego mieszkania, ażebym przy was wziął sobie trochę grosza z naszego wspólnego zapasu i kupił sobie co na wieczerzę. Dwaj ślepi poszli z nim razem.

Winienem tu nadmienić, że gospodarz, który tak źle obszedł się z moim bratem, był zawołany złodziej, człowiek chytry i niepoczciwy. Wysłuchał on przez okno wszystko co trzej ślepi ze sobą mówili; przeto udał się tuż za nimi i wszedł razem do lichej chatki, stanowiącej przytułek mojego brata. Gdy ślepi weszli do

izby i usiedli, Bakbak rzekł do nich: "Bracia, zamknijcie drzwi i uważajcie dobrze, czy tu niema kogo obcego pomiędzy nami." — Słowa te zmieszały trochę złodzieja, lecz, spostrzegłszy przywiązany do belki sznur, chwycił go i zawiesił się w powietrzu, gdy tymczasem żebracy, zamknąwszy drzwi, macali wszędzie kijami, czy się kto gdzie nie zakradł. Nie znalazłszy nikogo, usiedli. Złodziej tymczasem spuścił się i usiadł cichaczem przy moim bracie, który myśląc, że sam tylko był ze ślepymi, rzekł do nich: "Bracia, ponieważ powierzyliście mi pieniądze, które od tak dawna wszyscy trzej zbieramy, pragnę wam dziś okazać, że jestem godzien waszego zaufania. Wiecie, że po ostatniem obliczeniu mieliśmy dziesięć tysięcy drachm i żeśmy je do dziesięciu worków zsypali;— więc pokażę wam teraz, że wszystkie są nienaruszone."—To wymówiwszy dobył dziesięć worków jeden po drugim, które były ukryte w kupie starych gałganów. Oddając je swym towarzyszom dodał: "Otóż je macie, możecie sądzić po ich wadze, że są całe; albo jeżeli chcecie, możemy je przeliczyć."—Gdy obaj odpowiedzieli, że mu zupełną dają wiarę, otworzył jeden worek i wyjął z niego dziesięć drachm; inni dwaj ślepi po tyleż sobie wzięli.

Brat mój potem włożył dziesięć worków w tożsamo miejsce, z którego je był wywlókł. Tu jeden ze ślepych oświadczył mu, że nie ma potrzeby tego wieczora kupować jedzenia, ponieważ on z miłosierdzia poczciwych ludzi tyle uzbierał żywności, że wszystkim trzem wystarczy; i zaraz wyjął z torby chleb, ser i trochę owoców, położył wszystko na stole i zaczęli jeść razem. Złodziej, siedząc po prawej stronie mojego brata, wybierał sobie co najlepsze kawałki i razem z nimi jadł. Lecz chociaż z wielką czynił to ostrożnością, żeby go nie usłyszano, przecie Bakbak dosłyszał go i zawołał natychmiast: "Zginęliśmy!—tu jest ktoś obcy między nami."— Wymówiwszy te słowa, wyciągnął rękę, schwytał złodzieja za ramię i trzymając go silnie, krzyczał: "Gwałtu, złodziej!"—i bił go pięścia-

mi. — Drudzy dwaj ślepi zaczęli także krzyczeć i bić złodzieja, który bronił się im jak tylko mógł; a że był mocny i zdrowy i przytem dobrze widział, ciężkie zadawał razy to temu to drugiemu i głośniej jeszcze od nich krzyczał na gwałt!... Sąsiedzi zaraz pozbiegali się na ten krzyk, napełnili chatkę i wielką mieli trudność w rozerwaniu z kupy bijących się. Nakoniec, rozłączywszy ich, zapytali o przyczynę takowej kłótni?—"Ach! panowie"—zawołał mój brat, nie puszczając złodzieja —"człowiek ten, którego trzymam w ręku jest złodziej, przed chwilą zakradł się tu do nas, aby nam zabrać wyżebrane pieniądze."—Natenczas złodziej, który zaraz na wnijściu sąsiadów zamrużył już był oczy, udając, że jest ślepy, rzekł: "Nie wierzcie mu, zacni panowie, to jest bezczelny kłamca, przysięgam na proroka i na życie kalifa, że jestem ich towarzyszem i że mi nie chcą oddać sprawiedliwie przypadającej na mnie części: wszyscy trzej zmówili się przeciwko mnie; proszę was o sprawiedliwość."—Sąsiedzi, nie chcąc sami rozsądzać tego sporu, zaprowadzili wszystkich czterech do sędziego policyjnego.

Stanąwszy przed tym drapieżnym urzędnikiem, złodziej, nie czekając na zapytanie, rzekł, zawsze udając ślepego: "Panie, ponieważ czynisz sprawiedliwość w imieniu naszego kalifa, którego niech Bóg zachowuje nam w najdłuższe lata, przyznaję, że wszyscy czterej równie jesteśmy winni. Lecz ponieważ obowiązaliśmy się przysięgą nie przyznawać się do niczego, wyjąwszy gdyby nas bito kijami, jeżeli więc chcesz panie dowiedzieć się naszych zbrodni, rozkaż, aby nam dano kije;—można nawet odemnie zacząć."—Brat mój chciał mówić, lecz mu nakazano milczenie. Zaczęto bić złodzieja..."

NOC 172.

"Złoczyńca ten, po otrzymaniu trzydziestu plag, otworzył najprzód jedno oko, a potem i drugie, prosząc o miłosierdzie sędziego, ażeby go bić przestano. Sędzia spostrzegłszy, że złodziej widzi na oba oczy, zdziwił się niezmiernie i zawołał: "Hultaju! co znaczy ten cud?"— "Panie," odpowiedział złodziej, "dowiesz się wielkich rzeczy, jeżeli mi dasz ten pierścień, który masz na palcu, na znak, że mi dotrzymasz słowa. Odkryję ci tę szkaradną tajemnicę."

Sędzia kazał go przestać bić, dał mu pierścień i obiecał przebaczyć wszystko.—"Ufny w twe obietnicę," rzecze złodziej, "przyznaję ci się panie, że ja i towarzysze moi dobrze widzimy. Udajemy tylko ślepych, aby nas bez trudności wpuszczano do domów, a nawet do pokojów kobiet, w których ułomności tych istot na nasz obracamy pożytek. Wyznaję jeszcze przed tobą, panie, że tą sztuką zarobiliśmy sobie dziesięć tysięcy drachm. Prosiłem właśnie dziś moich towarzyszów o dwa tysiące pięćset, jako o swoją cząstkę, lecz nie chcieli mi dać dlatego, żem im oznajmił, iż chcę się z nimi rozłączyć; bali się, niegodziwi, abym ich nie oskarżył. A gdy ich z większem naleganiem prosiłem o tę łaskę, rzucili się na mnie wszyscy i zbili mię bez litości, jak to osoby tu obecne, które się na to ze zgorszeniem patrzyły, zaświadczyć mogą. Spodziewam się przeto po twojej sprawiedliwości, panie, że przykażesz im, ażeby mi oddali dwa tysiące pięćset drachm, które na mnie przypadają. Jeżeli zaś chcesz, panie, ażeby moi towarzysze przyznali się do tego, czego ja sumieniem i kijmy zniewolony zaprzeć nie mogłem, rozkaż im tylko dać trzy razy tyle plag, ile ja wziąłem, a zobaczysz, że tak jak i ja otworzą oczy."

Brat mój i inni dwaj ślepi chcieli się oczyścić z tej potwarzy, lecz sędzia nie chciał ich nawet słuchać. "Także to, hultaje," rzecze do nich, "śmiecie udawać ślepych, oszukiwać ludzi, wzbudzając ich do miłosierdzia, i tak haniebne tym sposobem popełniać czyny?" —"Ach! panie, to jest potwarz!" — zawołał mój brat. "Bogiem świadczymy się, że wszyscy trzej jesteśmy niewidomi."

Lecz wszystkie te wymówki i zaklinania na nic się nie przydały. Każdy z nich dostał po dwieście kijów. Sędzia spodziewał się ciągle, że nakoniec otworzą oczy i to, co się stać żadnym sposobem nie mogło, przypisywał ich uporowi. Przez ten cały czas złodziej mówił do ślepych: "Nędzni ludzie, otwórzcie oczy, nie czekajcie, ażby was kijmi zabito." — Potem, zwróciwszy się do sędziego, rzekł: "Panie, widzę, że niepodobna złamać ich upór i że ich niczem nie przymusisz, aby przejrzeli. Być może, iż chcą uniknąć wstydu, któryby mieli, czytając swój zasłużony wyrok wzgardy w obliczu wszystkich tych, przed których zbrodnie ich sprowadziły! Lepiej już jest darować im tę winę, a posłać ze mną kogo dla przyniesienia dziesięciu tysięcy drachm, które są w mieszkaniu tego oto wyszczwanego filuta (wskazał na mego brata) zachowane."

Sędzia uczynił to chętnie. Posłał ze złodziejem jednego ze swoich ludzi. Przyniesiono wszystkie dziesięć worków. Dwa tysiące pięćset drachm kazał odliczyć złodziejowi, a resztę poczciwe sędzisko schowało dla siebie. Co do mojego brata i jego towarzyszów, zmiłował się tyle nad nimi, że nie karał ich więcej, lecz tylko z miasta wygnać kazał. Skoro dowiedziałem się o tym nieszczęśliwym przypadku mojego brata, pobiegłem za nim. Opowiedział mi całą swoją przygodę, a ja wprowadziłem go skrycie napowrót do miasta. Mógłbym był usprawiedliwić go i spowodować ukaranie złodzieja, tak, jak sobie zasłużył, lecz ponieważ pan sędzia dla utrzymania się przy swoim światłym wyroku i łapówce gotówby mnie w odwrotnym znowu sposobie kazać bić kijmi za to, że jestem ślepy, a udaję widzącego—wolałem wszystko zamilczeć.

Tym sposobem zakończyłem opowiadanie smutnej historyi mojego ślepego brata. Kalif niemniej się z niej śmiał jak z innych. Potem zacząłem opowiadać o przygodach mojego czwartego brata.

41. HISTORYA O ALKUZIE,

KTÓRY TRUDNIŁ SIĘ CHODOWANIEM OWIEC I SPRZEDAŻĄ BYDŁA; ORAZ O CZAROWNIKU, KTÓRY PŁACIŁ FAŁSZYWEMI PIENIĘDZMI, A BARANA ZAMIENIŁ W CZŁOWIEKA, I SPROWADZIŁ WIELKIE NIESZCZĘŚCIA NA ALKUZA.

"Czwarty mój brat nazywał się Alkuz. Utracił on jedno oko w zdarzeniu, które tu będę miał zaszczyt opowiedzieć. Był on z powołania rzeźnikiem i miał szczególny talent chodowania i uczenia baranów staczać bitki, co mu zjednało znajomość i przyjaźń z najprzedniejszymi panami, którzy lubili przypatrywać się na podobne tych zwierząt pomiędzy sobą zapasy, i dlatego jedynie utrzymywali je w swoich stajniach. Najpiękniejsze zawsze mięsiwa znajdowały się w jego jatce, był albowiem dość zamożny, a niczego nie szczędził, aby celować nad innymi.

Raz, gdy siedział w swej jatce, starzec sędziwy, mający długą białą brodę, zbliżył się do niego, żądając sześciu funtów mięsa, za które oddawszy mu pieniądze, odszedł. Brat mój, przypatrzywszy się tej monecie, znalazł ją tak piękną, białą i tak dobrze odbitą, że ją włożył do skrzynki w osobnem miejscu. Tenże sam starzec przez całe pięć miesięcy codzień odtąd przychodził po takąż samą ilość mięsa i tąż samą pła-

cił zawsze monetą, którą brat mój wciąż chował do osobnej przegródki.

"Po skończonych pięciu miesiącach, Alkuz, chcąc płacić za kilka baranów tą piękną monetą, otworzył skrzynię. — Trudno tu opowiedzieć, jakie było jego zdziwienie, gdy zobaczył że, na miejscu pieniędzy leżały okrągłe wystrzyżone papierki. W rozpaczy zaczął bić głową o ścianę, straszne wydając narzekania, na których odgłos poschodzili się sąsiedzi, a gdy się dowiedzieli o tak niesłychanym wypadku, równie jak on, nie mogli pojąć, co to znaczy.— "Ach! dałby Bóg," zawołał mój brat, rzewnie płacząc, "ażeby ten stary oszust, uwodzący ludzi poważną swoją sędziwością, tej chwili pokazał mi się na oczy!" — Ledwie co wyrzekł te słowa, spostrzegł zdaleka nadchodzącego starca. Rzucił się więc z gwałtownością przeciwko niemu i, uchwyciwszy go silnie, zawołał: "Muzułmani, przybądźcie mi na pomoc! powiem wam co za oszustwa ten niepoczciwy człowiek dopuścił się na moją szkodę!" — Tu powtórzył tłumowi ludu, który się w koło niego zgromadził, wszystko to, co już oznajmił swoim sąsiadom. Gdy przestał mówić, starzec bynajmniej tem nie zmieszany, rzekł do niego z najzimniejszą krwią: "Bardzobyś dobrze uczynił, gdybyś mi dał spokój i przez to nagrodził zniewagę, którą mi czynisz przy tylu ludziach; inaczej lękaj się, ażebym ci większą nie odpłacił obelgą."

"Cóż mi zatem możesz zarzucić?" rzecze mu mój brat; "jestem poczciwym człowiekiem i dopełniam wiernie obowiązków swojego powołania, więc bynajmniej nie obawiam się ciebie." — "Chceszże więc koniecznie, ażebym cię zniesławił?" — rzekł starzec niewzruszony.

"Otóż dowiedzcie się," zawołał starzec, zwróciwszy się do ludu, "że zamiast baraniego mięsa, ten człowiek sprzedaje ludzkie ciało."— "Kłamcą jesteś," rzekł mu mój brat.—"Nie dowiedziesz mi tego," odpowiedział starzec. — "W tej chwili nawet, kiedy z tobą

rozmawiam, znajduje się w twej jatce człowiek zabity i zawieszony przed twym sklepem jak baran. Niech idą ludzie za mną, a zobaczą, czy nieprawdę powiedziałem."

"Przed otworzeniem skrzyni, w której były powystrzygane kartki nakształt pieniędzy, brat mój, sprawiwszy zabitego barana, zawiesił go przed swoją jatką według zwyczaju; zapewniał więc uroczyście, że starzec kłamie. — Lecz mimo wszelkich jego oświadczeń, lud łatwowierny, złe natychmiast powziąwszy uprzedzenie o człowieku, oskarżonym o tak szkaradny występek, poszedł za starcem, aby się naocznie przekonać w tej mierze. W samej rzeczy przed jatką wisiał zabity człowiek i to w taki sposób istotnie zawieszony, jak starzec opowiadał. Nikczemnik ten, będąc czarownikiem, zamydlił wszystkim oczy, równie jak mojemu bratu, gdy mu zamiast srebrnych pieniędzy wystrzyżone papierki dawał za mięso.

Na widok zabitego człowieka, jeden z gminu, który trzymał Alkuza, wyciąwszy go silnie pięścią, rzekł: "Także to, niepoczciwy człowiecze, zamiast baraniną — ludzkiem nas karmisz mięsem?" — Starzec zaś ze swojej strony wymierzył mu policzek i wybił mu oko. Każdy z przytomnych, kto tylko mógł się do niego zbliżyć, równie go poniewierał. Nie dosyć na tem, że go tak niemiłosiernie zbito, lecz zaprowadzono go jeszcze do sądu policyjnego, zabrawszy mniemanego trupa na dowód zbrodni.—"Panie," rzekł do sędziego czarownik, "widzisz tu przed sobą człowieka tak dzikiego i okrutnego, że się waży zabijać ludzi i sprzedawać ich za baraninę. Wszyscy żądają, ażebyś go przykładnie ukarał." — Sędzia wysłuchał tłómaczenia się mego brata dosyć cierpliwie. Lecz przemiana srebrnych pieniędzy w papierki tak mu się zdawała być prawie niepodobną do wiary, że brata mego uznał kłamcą i, uwierzywszy świadectwom ludzi, kazał mu wyliczyć pięćset kijów. Potem kazał sobie przynieść wszystkie jego pieniądze, skazał go na wieczne wy-

gnanie, wystawiwszy pierwej na trzydniowe pośmiewisko, wodzeniem po wszystkich częściach miasta i ulicach na wielbłądzie..."

NOC 173.

"Kiedy ta okropna przygoda spotkała czwartego mojego brata," opowiadał dalej balwierz, "nie byłem podówczas w Bagdadzie. Nieszczęsny ukrywał się dopóty na ustroniu, dopóki ciała zbitego kijmi nie wyleczył. Gdy już nieborak mógł chodzić, udał się manowcami do jednego miasta, w którem nikomu nie był znany i, nająwszy gospodę, nigdy prawie z niej nie wychodził. Wreszcie, sprzykrzywszy sobie to niewolnicze życie, wyszedł pewnego razu na przedmieście, przez które idąc, usłyszał znagła wielki szelest jadącej za nim konnicy. Znajdował się wtedy tuż przy drzwiach wielkiego jakiegoś domu; a że po nieszczęśliwym przypadku, lękał się własnego cienia, w obawie przeto, czy przypadkiem konnica ta nie biegła za nim w pogoń, otworzył drzwi dla schronienia się na chwilę i, zamknąwszy je za sobą, wszedł na wielki dziedziniec, w którym, gdy stanął, dwóch służalców przyskoczyło ku niemu i, wziąwszy go za kołnierz, zawołali: "Niechże będzie Bóg pochwalony, że sam w nasze ręce wpadasz. Tyle nam przez te trzy poprzednie nocy zadałeś trudy, żeśmy nawet oka nie zmrużyli, i pewniebyś nam życia nie oszczędził, gdybyśmy nie umieli uchronić się przed twoim niegodziwym zamysłem."

Łatwo sobie wystawić, że powitanie takowe mocno zdziwiło mojego brata.—"Dobrzy ludzie," rzekł do nich, "nie rozumiem was wiele; bez wątpienia bierzecie mię za kogoś innego." — "Bynajmniej," odpowiedzieli, "wiemy dobrze, że ty i wspólnicy twoi jesteście zawołanymi złodziejami. Nie dosyś, żeście skradli naszemu panu wszystko, co tylko miał, i do ostatniego przyprowadziliście go ubóstwa, czychacie teraz jeszcze na jego życie. Zobaczymy, czy też nie masz przy sobie owego noża, który trzymałeś w ręku, gdyś za nim wczorajszej nocy uganiał!" — To wymówiwszy, zaczęli go trząść i znaleźli w rzeczy samej nóż przy nim. — "Ha! ha!" zawołali, wziąwszy go w ręce, "będzieszże śmiał jeszcze utrzymywać, że nie jesteś złodziejem?"—"Ach, przez Boga!" odpowiedział mój brat, "czyliż to koniecznie potrzeba być złodziejem, żeby mieć nóż przy sobie? Posłuchajcie mnie," dodał, "opowiem wam nieszczęście moje, a nie tylko że nie będziecie mieli na mnie tak złego podejrzenia, ale owszem ulitujecie się nademną."—Lecz zamiast go słuchać, rzucili się na niego, podarli na nim suknię i koszulę, tłukli i deptali go nogami, a spostrzegłszy na ciele jego blizny, bijąc go jeszcze bardziej, wołali: "Ach! ty psie nikczemny, chcesz w nas wmówić, że jesteś uczciwym człowiekiem, a twój grzbiet pokazuje, że odebrałeś chłostę!"—"Niestety!" zawołał natenczas mój brat, "jakie ciężkie muszą być grzechy moje, kiedy będąc już raz tak niegodziwie skrzywdzonym, odbieram jeszcze drugą karę tak niewinnie!"

"Bynajmniej nie zmiękczeni jego narzekaniem siepacze, zaprowadzili go do sędziego policyjnego, który do niego rzekł: "Jakże śmiałeś wnijść do tych ludzi i uganiać się za nimi z nożem?"—"Panie," odpowiedział nieszczęśliwy Alkuz, "jestem najniewinniejszym w świecie i zginąłem, jeżeli nie raczysz mię wysłuchać; niemasz człowieka godniejszego nademnie politowania."—"Panie," przerwał mu natenczas mowę jeden z rzeczonych służalców, "będzieszże wierzyć włóczędze, który wkrada się do domów, ażeby w nich odzierać i zabijać ludzi? Jeżeli nam nie chcesz dać wiary, zobacz zbity plagami grzbiet jego!"—To mówiąc, odsłonił mu plecy i pokazał sędziemu. Wtedy sędzia rozkazał mu natychmiast wyliczyć sto plag, a potem wodzić go na wielbłądzie po całem mieście i wołać przed nim: "Tak są karani zbrodniarze, co napadają cudze domy." Po sprawieniu mu tej łaźni, wypędzono go za

miasto z tem zastrzeżeniem, ażeby się w niem więcej nigdy nie pokazywał. Niektórzy moi znajomi, spotkawszy go po tym drugim nieszczęśliwym przypadku, uwiadomili mnie o miejscu jego pobytu. Udałem się zaraz do niego i znowu go wprowadziłem tajemnie do Bagdadu.

Kalif Montasser Billah," mówił dalej balwierz, "nie tyle śmiał się z tej historyi, co z poprzednich. Żałował on raczej nieszczęśliwego Alkuza i następnie chciał znowu kazać mię wynagrodzić i odprawić, lecz ja, nie dając czasu do wykonania tych zleceń, rzekłem: "Najjaśniejszy władco mój, uznajesz zapewne wasza wysokość sam, że jestem człowiekiem małomównym, a ponieważ słuchałeś mnie dotąd łaskawie, racz więc posłuchać jeszcze przygód dwóch innych moich braci. Spodziewam się, że nie mniej jak poprzednie znajdą względne przyjęcie; można z nich będzie dać ułożyć zupełną historyę, która pochlebiam sobie, że nie uczyni zakału waszemu księgozbiorowi. Racz tedy dowiedzieć się najjaśniejszy panie, że piąty mój brat nazywa się Alnaszar..."

42. HISTORYA O ALNASZARZE

PIĘKNEJ DAMIE, KTÓRA ZA POMOCĄ STAREJ BABY SPROWADZAŁA BOGATYCH MĘŻCZYZN DO SIEBIE, A POTEM ICH OKRADAŁA I MORDOWAŁA.

NOC 174.

"Alnaszar, dopóki żył nasz ojciec, był niezmiernie próżniaczym. Zamiast pracować na kawałek chleba, włóczył się wieczorem po żebraninie, i tem, co sobie wyprosił, żył nazajutrz. Ojciec nasz przytłoczony starością umarł i w spadku zostawił nam 700 drachm. Rozdzieliwszy tę sumę, każdy z nas dostał sto drachm na swoją osobę. Alnaszar, który nie miał jeszcze nigdy naraz tyle pieniędzy, nie wiedział sam, co z nimi robić. Długo nad tem rozmyślał i postanowił w końcu handlować szkłem. Nakupił więc różnych szklannych przedmiotów, zabrał je do kosza i, upatrzywszy sobie maleńki sklepik, zasiadł w nim i plecami oparty o ścianę, czekał kupca na swój towar. W tem położeniu zostając, zaczął drzymać i marząc, prawił trzy po trzy tak głośno, że krawiec, jego sąsiad, mógł wszystko dobrze słyszeć co do słowa: "Szkło to," mówił sobie, "kosztuje mię sto drachm srebrnych, które cały mój majątek stanowią.—Gdy towar mój sprzedam cząstko-

wo, będę miał dwieście drachm, a za te dwieście nakupiwszy znowu szkła i sprzedawszy je, będę miał czterysta. Prowadząc tym sposobem swój handel, łatwo przyjdę do czterech tysięcy drachm. Czterema tysiącami jeszcze łatwiej mogę zarobić drugie cztery. Przyszedłszy do dziesięciu, przestanę handlować szkłem i zostanę klejnotnikiem. Będę handlował perłami, dyamentami i wszelkiego rodzaju klejnotami. Wtenczas, posiadając już bogactwa, kupię sobie dom, wspaniałe nabędę włości, potrzebną liczbę niewolników, rzezańców i koni; będę żył okazale, stanę się głośnym. Posprowadzam do siebie najcelniejszych w mieście muzykantów, tancerzy i tancerki. Niedosyć jeszcze na tem: pomnożę, jeżeli się Bogu będzie podobało, majątek mój aż do stu tysięcy drachm!... Gdy już do takiego przyjdę mienia, będę sobie żył jak wielki pan, zgłoszę się do wielkiego wezyra, prosząc o rękę najurodziwszej z jego córek i dając mu do zrozumienia, że dowiedziawszy się o ich cudnej piękności, o ich wysokim rozumie i innych doskonałych przymiotach, postanowiłem uczynić mu ten zaszczyt, biorąc sobie najwięcej upodobaną za małżonkę i że jej pierwszej nocy wyliczę zaraz dziesięć tysięcy sztuk złota! Jeżeliby wezyr nie chciał mi dać córki, na co się nigdy nie odważy, to mu ją z pod samej brody pochwycę i wbrew jego woli zaprowadzę do siebie. Ożeniwszy się z córką wielkiego wezyra, kupię jej natychmiast dziesięciu czarnych młodych rzezańców. Ubiorę się jak książę i, wsiadłszy na dzielnego rumaka, który będzie miał na sobie siodło z przedniego złota i czaprak ze złotej lamy, przyozdobiony dyamentami i perłami, będę się przejeżdżał po mieście, mając przed sobą i za sobą niewolników. I zwrócone będą na mnie oczy wszystkich wielkich i małych, którzy mi głębokie czynić będą pokłony. Zesiadłszy przed pałacem wezyra, udam się do niego pośrodkiem moich dworzan, uszykowanych we dwa rzędy, a wielki wezyr, przyjmując mię jako zięcia, ustąpi mi swojego

miejsca i dla wyrządzenia tem większej czci niżej się odemnie będzie cenił. Jeżeli do tego przyjdzie, o czem wcale nie wątpię, dwaj moi służący będą trzymali przedemną dwie kiesy, każda z tysiącem sztuk złota. Wezmę z nich jednę i, oddając wielkiemu wezyrowi, powiem od niechcenia: "Oto, masz tysiąc sztuk złota, które dać obiecałem na pierwszą noc mojego ożenienia."

Potem, ofiarując mu drugą, dodam: "Weź sobie i tę jeszcze; niech ci służy za dowód, że jestem człowiekiem dotrzymującym słowa i że więcej daję, niżeli obiecałem."

Po takim czynie dam sposobność całemu światu do mówienia o mojej wspaniałości.

Z takimże samym przepychem wrócę do mojego mieszkania.—Żona moja ze swojej strony wyśle za mną którego z dworzan z oświadczeniem mi wdzięczności za oddaną wizytę wezyrowi, jej ojcu;—ja zaś zaszczycę tego dworzanina darowaniem mu pięknej szaty i odeślę go z przepysznym dla mojej żony upominkiem. Jeżeliby mi wzajemnie przysłała jaki podarek, nie przyjmę go i odprawię posłańca. Nigdy nie pozwolę, ażeby żona moja wychodziła ze swych pokojów bez mego pozwolenia; a jeżeli kiedy do niej wnijść raczę, to uczynię to w ten sposób, aby ją do należytego ku sobie zniewolić uszanowania. Krótko mówiąc, w żadnym domu więcej jak w moim nie będzie kwitnął porządek. Zawsze będę ubrany bogato. Gdy wieczorem udam się z nią do sypialnego pokoju, usiądę na poważniejszem miejscu, przybiorę wyraz twarzy nakazujący uszanowanie i nie będę się oglądał ani na prawą ani na lewą stronę. Bardzo mało będę mówił i gdy żona moja, piękna jak księżyc w pełni, będzie stała przedemną, jaśniejąc bogactwy i wdziękami, udam jakobym na to nie zważał.—Kobiety służebne, otaczające ją, będą do mnie mówiły: "Czcigodny i kochany nasz panie, oto twoja żona i najniższa sługa stoi przed tobą, czeka, ażebyś ją uszczęśliwił swoją miłością

i bardzo jest zmartwiona, że nawet wejrzeć na nią nie raczysz. Znużyła się już, stojąc tak długo, powiedzże jej przynajmniej, ażeby przy tobie usiadła." — Na tę mowę nic nie odpowiem, co podziwienie ich i żal jeszcze bardziej powiększy. Rzucą się natenczas wszystkie do nóg moich i gdy już długi czas błagać mnie będą, ażebym się dał wzruszyć, podniosę głowę, rzucę na nie roztargnione wejrzenie i potem znowu dawną postać przybiorę. W mniemaniu, że żona moja nie jest może dość przyzwoicie ubraną, zaprowadzą ją do gabinetu dla zmiany stroju,—ja tymczasem pójdę także i wezmę na siebie wspanialszy ubiór... Wrócą powtórnie z nowemi naleganiami, zaczną te same czynić mi przełożenia,—lecz ja będę miał przyjemność nie spojrzeć tak długo na moją żonę, aż mi co do słowa powtórzą te same prośby, te same narzekania, co pierwej. A tak zaraz w pierwszym dniu mego wesela dam jej poznać,jak sobie ze mną ma postępować na przyszłość.

NOC 175.

"Po weselnych obrzędach," mówił drzemiący Alnaszar, "wezmę od jednego z ludzi moich, który będzie stał przy mnie, kiesę, mającą w sobie pięćset sztuk złota i dam ją szatnym żony mojej, ażeby mię z nią zostawiły sam na sam. Gdy się już oddalą, żona moja położy się pierwej. Ja położę się potem, lecz do niej plecami obrócony i nie przemówię przez całą noc ani słowa.

Nazajutrz pójdzie niezawodnie użalać się przed swoją matką, żoną wielkiego wezyra, na moją dumę i wzgardę jej wyrządzoną, a ja z tego serdecznie cieszyć się będę. Matka jej przyjdzie do mnie z uszanowaniem, pocałuje mnie w rękę i powie mi: "Panie, (bo nie będzie śmiała nazywać mię swoim zięciem) przychodzę prosić cię, ażebyś nie wzgardzał moją córką i żebyś wejrzeć na nią i zbliżyć się ku niej raczył. Mogę cię najuroczyściej zapewnić, że jedynem jest jej staraniem, ażeby ci się podobać i kochać cię z całego serca." Lecz daremnemi będą przełożenia mej teściowej. Nie odpowiem jej ani pół słowa, — utrzymując niezłomnie moją powagę.—Natenczas biedna teściowa rzuci się do nóg moich, pocałuje je kilka razy i rzeknie: "Ach, panie! miałżebyś mieć w podejrzeniu uczciwość mojej córki? Zaręczam ci, że ją zawsze miałam na oku i że ty jesteś pierwszy, który jej twarz widzieć możesz. Nie czyńże jej tak wielkiego zmartwienia, racz na nią wejrzeć, mówić z nią i utwierdzić w najczystszej chęci podobania się tobie jednemu."— Wszystko, cokolwiek powie mi moja teściowa, bynajmniej mię nie wzruszy, co widząc weźmie kubek wina, poda go swojej córce, a mojej żonie i rzeknie: "Idź! ofiaruj mu ten kubek wina; przecież nie będzie może tak okrutny, ażeby nie miał przyjąć go z tak pięknej ręki."

Żona moja przyjdzie z kubkiem i będzie stała przedemną, drżąc z bojaźni. Gdy spostrzeże, iż do niej się nie obracam i trwam w swojej pogardzie, przemówi do mnie ze łzami: "Duszo mej duszy, kochanku serca mego, czcigodny panie mój, zaklinam cię na te dobrodziejstwa, któremi niebo tak hojnie cię obdarza, racz przyjąć ten kubek wina z ręki twojej najuniżeńszej sługi."—I wtenczas jeszcze nie spojrzę na nią i nic jej nie odpowiem. — "Mój nadobny małżonku," doda, rzewniejsze łzy wylewając i przybliżając kubek do moich ust,—"nie przestanę płakać i błagać cię, dopóki nie przyjmiesz z rąk moich i nie napijesz się tego wina!..." — Natenczas ja, znudzony niby jej naleganiem, spojrzę na nią groźnem i zagniewanem okiem, wytnę jej dobry policzek i tak silnie potrącę nogą, że upadnie na kilka kroków od mojego siedzenia..."

Biedny marzyciel, tak dalece był omamiony śmiesznością swoich przywidzeń, iż w sennem urojeniu, jakoby w samej rzeczy odpychał swoją żonę, nieszczę-

ściem tak silnie uderzył nogą w kosz ze szkłem, że go z kramicy swojej zrzucił na bruk ulicy i potłukł szkło na drobne kawałki. Krawiec jego sąsiad, który, jak mówiłem, słuchał tej chimerycznej gadaniny mojego brata, począł się śmiać na cały głos, gdy spostrzegł to rozbicie. — "Ach! jakżeś srogim jest człowiekiem," rzecze do niego z szyderstwem; — "nie powinieneś raczej umrzeć ze wstydu za tak nikczemne obejście się z młodą swą żoną, która ci najmniejszej nie dała do gniewu przyczyny?—Musisz być wielkim gburem i okrutnikiem, że wzgardą płacisz za łzy i powaby tak godnej kochania osoby! Gdybym był na miejscu wezyra, twojego teścia, kazałbym ci dać sto kijów w pięty i oprowadzić cię na ośle po całem mieście z rozgłoszeniem twych zalet, jakiemi się odznaczyć chciałeś."

Brat mój, po tak smutnej przygodzie zastanowił się wreszcie sam nad sobą i widząc, że własna jego próżność i głupota stały się przyczyną złego, zaczął się bić po twarzy, podarł na sobie odzież, płakał i narzekał tak głośno, że się zbiegali sąsiedzi, zatrzymywali się przechodzący, którzy szli na modlitwę południową, dla dowiedzenia się o powodzie jego żalu.

Jedni litowali się nad Alnaszarem, a drudzy śmieli się tylko z jego niedorzecznych marzeń. Tymczasem cała wielkość, którą sobie głowę nabił, zniknęła razem z jego szkłem i opłakiwał jeszcze gorzko swój nieszczęśliwy los, gdy pewna znakomita dama przejeżdżała na mulicy bogato przybranej około jego sklepu.

Smutny stan, w jakim go znalazła, wzbudził w niej litość. Zapytała się przeto, co mu jest, że tak płacze?—i gdy jej opowiedziano, że zdobywszy się na kupno trochy szkła na handel, takowe przez nieostrożność przewrócił z koszem i potłukł na drobne kawałki, dama nic nie odpowiedziawszy, zwróciła się do swojego rzezańca i rzekła mu: "Daj temu nieszczęśliwemu wszystkie moje pieniądze, jakie masz przy sobie." — Rzezaniec wykonał jej rozkaz i dał bratu memu kiesę z pięciuset sztukami złota.—Alnaszar ledwie nie umarł z radości, zobaczywszy tak wielką ilość pieniędzy. Stokrotnie błogosławił wspaniałomyślnej damie i, zamknąwszy swój sklepik, w którym jego obecność nie była już potrzebną, powrócił uradowany do domu.

Niezliczone czynił sobie uwagi nad ogromem szczęścia, które go tak niespodzianie spotkało, gdy wtem usłyszał, że ktoś zapukał do drzwi. Nim otworzył, zapytał kto tam? — i, poznawszy po głosie, że to była niewiasta, otworzył jej natychmiast.

"Synu mój," rzekła przybyła, "mam cię o jednę łaskę prosić: teraz jest czas modlitwy, chciałabym się obmyć, ażebym do meczetu pójść mogła. Wpuść mię, proszę, do siebie i daj mi naczynie wody."—Brat mój, przypatrzywszy się dobrze tej kobiecie, zauważył, że już była w bardzo podeszłych latach. Lubo jej przeto wcale nie znał, uczynił jednak to, o co prosiła. Dał jej nalewkę pełną wody, potem usiadłszy na swojem miejscu, myśląc ustawicznie o swej przygodzie, włożył złoto do długiej i wąskiej kiesy, ażeby ją mógł nosić przy pasie.

Baba przez ten czas mówiła pacierze, a gdy skończyła modlitwę, przyszła do mojego brata i, klęknąwszy, uderzyła dwukrotnie czołem o ziemię tak, jakby cześć Bogu oddawać chciała..."

NOC 176.

"Stara kobieta, wstawszy po tej czołobitności, życzyła bratu memu wszystkiego dobra," mówił dalej balwierz, "i podziękowała mu za jego czyn gościnny; a że była dosyć licho ubrana i korzyła się przed nim bardzo, zrozumiał, że chce od niego jałmużny,—ofiarował jej więc dwie sztuki złota. Stara cofnęła się ze zdziwieniem, tak, jakby to uważała za zniewagę.

"Wielki Boże!" zawołała, "cóż to ma znaczyć?—Czyż sądzisz panie, że jestem jedną z tych nędznych kobiet, które się po domach włóczą za jałmużną? — Odbierz, proszę, swoje pieniądze, ja nie potrzebuję ich wcale, dzięki Bogu! Należę do jednej młodej damy w naszem mieście, cudną obdarzonej pięknością, która przytem jest bardzo bogata, i mam od niej wszystko, co mi potrzeba."

Brat mój nie był dosyć przebiegłym, ażeby się mógł poznać na filuteryi chytrej baby, która nie chciała przyjąć dlatego dwóch sztuk złota, ażeby go ze wszystkich ogołocić; i do tego jeszcze, jakby sam szukał złej przygody, zapytał ją, czyby mu nie mogła wyjednać szczęścia poznania się z tą damą. — "Bardzo chętnie," odpowiedziała. — "Dama ta z całego serca pójdzie za ciebie; przypuści cię do posiadania wszystkich swych bogactw, czyniąc cię panem swego serca. Weź z sobą pieniądze i idź za mną."— Ucieszony, że ma własnych tyle pieniędzy i zarazem posiadać może piękną i bogatą żonę nad niczem się nie zastanowił, lecz wziął ze sobą pięćset sztuk złota i dał się prowadzić babie.

Szła przed nim, a on postępował zdaleka za nią aż do drzwi wielkiego domu, przed którym zatrzymawszy się, zapukała do bramy. Brat mój nadszedł też właśnie w chwili, gdy młoda niewolnica greczynka otwierała. Baba prosiła go, ażeby raczył wnijść—i poprowadziła go przez dziedziniec pięknie wybrukowany do olbrzymiej sali, gdzie wspaniałe meble utwierdziły go w dobrem rozumieniu, jakie powziął ze słów baby, o pani tego domu. Gdy poszła dać znać damie o jego przybyciu, usiadł tymczasem na sofie i, zdjąwszy dla ochłodzenia się nieco zawój, położył go przy sobie. Wnet ujrzał wchodzącą młodą damę, która go więcej wdziękami niż kosztownościami swoich szat zachwyciła. Za wnijściem jej powstał z uszanowaniem; lecz dama prosiła go bardzo grzecznie, ażeby przy niej usiadł. Oświadczyła mu radość z oglądania jego osoby, a następnie rzekła: "Lecz nam tu nie jest dosyć wygodnie, przejdźmy do innego pokoju—proszę za mną."—To wyrzekłszy, podała mu rękę i poszła z nim do oddalonej izby, w której, przez niejaki czas z nim zabawiwszy, zostawiła go, mówiąc: "Zatrzymaj się tu, powrócę do ciebie za chwilę."—Czekał więc,—lecz zamiast damy wszedł niebawem ogromnego wzrostu niewolnik, murzyn, z szablą w ręku i, spojrzawszy dzikim wzrokiem na mego brata, przeraźliwym głosem zawołał: "Co tu robisz?" — Alnaszar na ten widok do tego stopnia się przeląkł, iż żadnej mu dać nie mógł odpowiedzi. Niewolnik, obdarłszy go z szat, zabrał mu wszystko złoto, uderzył go kilka razy szablą, lecz żadnej jednak niebezpiecznej nie zadał mu rany.

Nieszczęśliwy Alnaszar padł na ziemię jak martwy, lubo w istocie był przy zupełnych zmysłach. Murzyn, mając go za zabitego, rozkazał niewolnicy greczynce przynieść soli, która jej przyniosła natychmiast pełną miednicę. Oboje natarli nią rany mojego brata, który miał tyle przytomności umysłu, że mimo dotkliwej boleści, żadnego nie dał znaku życia. Po odejściu murzyna i niewolnicy, baba, która wprowadziła brata mojego w te sidła, powlokła go za nogi aż do drzwi spuszczanych na dół, które na ten cel otwarła, wyrzuciła go przez nie, i w oka mgnieniu znalazł się w podziemnem miejscu między wieloma trupami, podobnież zamordowanych. Spostrzegł on to dopiero wtenczas, kiedy już nieco przyszedł do siebie, gdyż zrzucenie go do miejsca tak głębokiego pozbawiło go zmysłów. Sól, którą rany jego były natarte, właśnie zachowała go przy życiu.

Powoli odzyskał on tyle sił, że się mógł utrzymać na nogach, i drugiego dnia, otworzywszy w nocy drzwi spuszczane, ukrył się na dziedzińcu w ustronnem miejscu i został tam aż do poranku. Wtedy spostrzegł piekielną babę, która wychodziła do miasta, szukając nowej zdobyczy. Ażeby nie został postrzeżo-

ny, nie wyszedł zaraz za nią z tej piekielnej rzezalni, aż po niejakiej chwili, i prosto udał się do mnie z opowiedzeniem wszystkich przygód, które go w tak krótkim czasie spotkały.

Po upływie miesiąca pogoiły mu się doskonale wszystkie rany, skutkiem lekarskich moich starań i teraz dopiero przedsięwziął zemścić się na niegodziwej babie, która go tak haniebnie oszukała. W tym celu zrobił tak wielki trzos, że mógł w sobie zawierać pięćset sztuk złota, i zamiast złotem napełnił go szkłem potłuczonem..."

NOC 177.

"Brat mój," mówił dalej balwierz, "opasany takowym trzosem, przebrał się za starą babę i wziął pod suknię, szablę. Pewnego rana napotkał w końcu tę babę włóczącą się po mieście dla wprowadzenia kogo w sidła. Przystąpił zatem do niej i rzekł udanym głosem kobiety: "Czy nie mogłabyś mi nastręczyć ważek do przeważenia złota? Nie znam tu bowiem nikogo, gdyż właśnie przybywam z Persyi, a mając przy sobie pięćset sztuk złota, radabym się przekonać, czy są dobrej wagi."—"Poczciwa kobiecino," odpowiedziała mu baba, "nie mogłaś lepiej trafić jak do mnie. Idź tylko za mną, a zaprowadzę cię do mego syna, wekslarza; on ci sam chętnie zważy i oszczędzi wszelkiego trudu; nie traćmy tylko czasu, ażebyśmy go mogły zastać u siebie, zanim wyjdzie do sklepu." — Brat mój tedy szedł za nią aż do domu, do którego za pierwszym razem go wciągnęła; drzwi otworzyła taż sama niewolnica greczynka, co i dawniej.

Zbrodniarka zaprowadziła mojego brata do sali i kazała mu chwilę zaczekać, aż zawoła swojego syna. Mniemany jej syn pokazał się w postaci obrzydłego niewolnika murzyna. — "Przeklęta babo," zawołał

na mego brata, "wstań i idź za mną." — To mówiąc szedł przed nim, prowadząc go do miejsca, na którem go miał zabić. Lecz Alnaszar, wyjąwszy nieznacznie swoją szablę z pod sukni, tak go silnie ugodził w kark, że mu od razu łeb odciął. Następnie wziął odciętą głowę za włosy w jedną rękę, a drugą powlókł trupa do podziemnego miejsca, gdzie go wrzucił. — Niewolnica greczynka, przyzwyczajona już do tej roboty, ukazała się wkrótce z miednicą napełnioną solą, lecz, spostrzegłszy Alnaszara z szablą w ręku, puściła z rąk miednicę i poczęła uciekać. Brat mój jednak dogonił ją i rozpłatał jej łeb na dwie części.—Niepoczciwa baba przybiegła na ten hałas, lecz i ją schwycił za kark tak silnie, że mu ujść nie mogła. — "Oszustko," rzekł do niej, "poznajeszże mię?"— "Ach, panie," odpowiedziała drżąc, któż ty jesteś? Nie pamiętam, ażebym cię kiedy widziała." — "Ja jestem ten," odpowiedział nikczemnej, "u któregoś niedawno była dla umycia się i dla odmówienia niegodziwej modlitwy. Przypominaszże sobie teraz?" — Wtenczas baba upadła na kolana i zaczęła go prosić o przebaczenie, lecz on okazał się nieczułym na jej prośby i rozrąbał ją na cztery części.

Potem zaczął szukać damy, która powitała go, gdy był po raz pierwszy w tym domu. Znalazł ją w jednym z pokojów. Ona, ujrzawszy go, struchlała. Na kolanach zaczęła go prosić, żeby jej nie zabijał, a on był na tyle wspaniałomyślnym, że jej usłuchał.—"Pani," rzekł do niej, "jak mogłaś trzymać u siebie tak niepoczciwych ludzi, nad któremi tej chwili sprawiedliwie zemściłem się?"—"Byłam," odpowiedziała mu, "żoną pewnego znakomitego kupca. Przeklęta baba, o której niepoczciwości nie wiedziałam, przyszedłszy do mnie, rzekła:

"Pani, będziemy dziś mieć u nas świetne wesele, możesz na niem bardzo przyjemnie się zabawić, jeżeli raczysz zaszczycić nas swą bytnością."—Dałam się jej namówić. Ubrawszy się w najpiękniejsze suknie

i wziąwszy ze sobą kiesę, zawierającą sto sztuk złota, poszłam za nią. Zaprowadziła mię do tego domu, w którym właśnie zastałam tego murzyna, którego dziś zabiłeś; — ten potwór gwałtem wziął mnie dla siebie za żonę; i trzy lata już minęło jak tu mieszkam, trapiona tęsknotą i boleścią." — "A więc ten przeklęty murzyn," rzecze mój brat, "musiał niezmierne zebrać bogactwa przy tem haniebnem rzemiośle?" — "Tyle ich jest," odpowiedziała dama, "że gdybyś je mógł zabrać, byłbyś na całe życie bogatym." — Poczem zaprowadziła Alnaszara do jednej izby, w której w samej rzeczy tyle znalazł skrzyń napełnionych złotem, że zdziwiony napatrzyć im się nie mógł.— "Idź," rzekła do niego, "sprowadź drążników, ażebyś mógł zabrać to wszystko!"—Brat mój nie dał sobie tego mówić dwa razy; wyszedł czemprędzej do miasta i, nie zabawiwszy dłużej nad godzinę z dziewięciu ludźmi powrócił.

Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył drzwi otworem i nie zastał już ani damy ani swych skrzyń ze złotem!...—Rozumniejsza i pilniejsza od niego, potrafiła się z nimi wcześniej uprzątnąć i potem uciec. — Żeby jednak próżno nie wracać z ludźmi, kazał im pozabierać wszystkie meble z pokoju, któremi aż nadto sobie wynagrodził swoje pięćset sztuk złota. Ale wychodząc z domu zapomniał za sobą drzwi zamknąć. Sąsiedzi, widząc drążników znoszących zabrane meble i sprzęty, poszli uwiadomić o tem sędziego, gdyż ten sposób postępowania zdał im się być podejrzanym.

Alnaszar przepędził tę noc dosyć spokojnie; ale nazajutrz z rana, gdy wychodził ze swego domu spotkał we drzwiach dwudziestu ludzi przysłanych od sędziego, którzy porwawszy go rzekli: "Pójdź z nami, nasz pan chce się z tobą rozmówić." — Nadaremnie ich prosił, ażeby go na chwilę popuścili, ofiarując im nawet znaczną sumę pieniędzy, jeśliby mu dali się schronić, lecz zamiast słuchania go, związali i przymusili iść ze sobą. Na ulicy spotkał ich dawny przyjaciel mego brata, który, zatrzymawszy siepaczów, wywiedział się o przyczynę takowego pojmania. I on także obiecywał im dosyć znaczną sumę, ażeby puścili mego brata i powiedzieli sędziemu, że go nie znaleźli w domu, ale siepacze nie dali się przekupić. Przyprowadzili więc Alnaszara na miejsce jego przeznaczenia."

NOC 178.

"Gdy nieszczęśliwy brat mój," opowiadał dalej balwierz, "stawiony był przed sędzią, urzędnik ten rzekł do niego: "Odpowiadaj natychmiast, skąd wziąłeś te meble, które kazałeś wczoraj do swego mieszkania poznosić?"—"Panie," odpowiedział Alnaszar, "gotów jestem i pragnę wyznać wszystko, lecz przyrzecz mi pierwej, że się ze mną obejdziesz łaskawie i daj mi słowo, że mię nie każesz bić." — "Czynię ci tę łaskę," odpowiedział sędzia. Natenczas brat mój nie ukrywając nic, opowiedział bez ogródki cokolwiek zaszło od chwili, kiedy zdradziecko baba wstąpiła do jego domu dla odmówienia modlitwy. Potem prosił sędziego, ażeby z zabranych mebli przynajmniej tyle mu pozostawił, ileby wystarczyć mogło na pokrycie straty pięciuset sztuk złota, wydartych mu zdradziecko.

Sędzia jednak posłał do jego mieszkania swoich ludzi, ażeby mu wszystko zabrali. Gdy mu oznajmiono, że już nic nie było do przyniesienia i że już wszystko znajduje się w jego skarbcu, kazał natychmiast mojemu bratu ustąpić z miasta i nigdy się w niem przez całe życie nie pokazywać. Oczywiście uczynił to z obawy, ażeby brat mój, mieszkając w mieście, nie uskarżył się na jego niesprawiedliwość przed kalifem. Alnaszar poddał się temu nikczemnemu sędziego policyjnego wyrokowi bez szemrania i wyszedł z miasta.

W drodze na dopełnienie nieszczęścia odarli go zbójcy do koszuli. Jak tylko dowiedziałem się o tej nieszczęśliwej jego przygodzie, wziąwszy dlań trochę odzieży, udałem się w to miejsce. Pocieszywszy go, jak mogłem, wziąłem go ze sobą i skrycie wprowadziłem do miasta, gdzie miałem o nim równie jak o innych braciach moich staranie."

43. HISTORYA O SZAKABAKU,

KTÓRY MIAŁ DZIWNE PRZYGODY NA UCZCIE U SŁAWNEGO BERMECYDA; A NASTĘPNIE DOSTAŁ SIĘ W RĘCE ROZBÓJNIKÓW.—TAKŻE O PRZYWRÓCENIU ZADŁAWIONEGO GARBUSKA DO ŻYCIA PRZEZ ZRĘCZNEGO BALWIERZA.

"Teraz pozostaje mi tylko jeszcze do opowiedzenia historya o szóstym moim bracie, imieniem Szakabak, z rozpadłemi wargami. Umiał on użyć stu drachm srebra, które otrzymał w spadku po naszym ojcu, tak dobrze, że znacznego dorobił się majątku. Lecz niestałość losu wkrótce go przyprowadziła do takiej nędzy, że musiał o żebranym żyć chlebie. Był on jednak niezmiernie zabiegłym i umiał sobie jako żebrak wyrobić u urzędników i służących przywilej, że go wpuszczali do wielkich pałaców i domów, aby mógł osobiście samych panów pobudzać do litości dla siebie."

Pewnego dnia, przechodząc koło wspaniałego pałacu, przez którego bramę można było widzieć obszerny dziedziniec, po którym uwijało się mnóstwo służących, zbliżył się do jednego z nich i zapytał, do kogo ten pałac należy? — "Mój bracie," odpowiedział mu służący, "z którychże to stron jesteś, że mię zaś o to pytasz? Wszystko, cokolwiek tu widzisz, nie dajeż ci do zrozumienia, że to jest pałac jednego z członków sławnej rodziny Barmecydów?" — Brat mój, któremu

dobrze była znana wspaniałość i hojność Barmecydów, udał się do odźwiernych, których było kilku i prosił ich o jałmużnę. — "Wnijdź," rzekli mu, "nikt ci nie broni udać się do samego pana, a nie odejdziesz od niego bez wsparcia."

Mój brat podziękował im za grzeczność, wszedł do pałacu, który tak był obszerny, że wiele czasu stracił nim się dostał do mieszkania samego Barmecyda. Zbliżywszy się wreszcie do wspaniałego gmachu, murowanego w czworobok, wszedł do przysionka, z którego ujrzał cudnej piękności ogród. Dolne pokoje, dokoła otaczające ten śliczny ogród, prawie wszystkie były z oknami; zasłaniały je tylko firanki ku ochronie od słońca.

Widok tego miejsca byłby zachwycił mojego brata, gdyby go nie trapiły ciągle smutne przeszłości wspomnienia. — Postępował więc w głąb pałacu, aż przybył do sali bogato umeblowanej i ozdobionej w malowania złote i lazurowe, w której zastał poważnego starca z długą, białą brodą. Siedział on na sofie, która stała na wzniesieniu. Brat mój domyślił się odrazu, że to był pan tego domu. Jakoż nie omylił się. Był to bowiem sam Barmecyd, który spytał go łagodnemi słowy, czego żąda.—"Panie," odpowiedział mój brat głosem obudzającym współczucie, "jestem człowiekiem ubogim, potrzebującym pomocy od tak możnych i wspaniałomyślnych osób, jako ty jesteś."—W istocie, nie mógł się korzystniej do nikogo odwołać jak do tego dobroczynnego pana, którego niezliczone przymioty duszy i serca powszechnie były znane.

Barmecyd zadziwił się tą odpowiedzią brata mego i, położywszy ręce na piersiach, jakoby chciał rozedrzeć swoją szatę na znak wielkiego żalu zawołał: "Czy podobna, ażeby podczas mojej bytności w Bagdadzie człowiek taki, jak ty, żył w ubóstwie! Jakże mnie to mocno dolega!"—Z takiego oświadczenia brat mój sądząc, że otrzyma wielkie wsparcie, tysiączne czynił dzięki i tysiącznych życzył błogosławieństw

wspaniałomyślnemu starcowi.—"Nie, to nie może być," rzecze powtórnie Barmecyd, "ażebym ja cię opuścił, pragnę jednak, ażebyś mię i ty nawzajem nie opuszczał." — "Panie," odpowiedział mój brat, "przysięgam ci, żem jeszcze dzisiaj nic nie jadł."—"Czy podobna?" — zawołał Barmecyd, "ażebyś do tej pory był naczczo?

Nieboraczek, on ledwie nie umiera z głodu! Hola! chłopcze," dodał głośniej, "a jest tam który?— Przynieśno tu czemprędzej miednicę z wodą, ażebyśmy sobie wprzódy ręce umyli." — I lubo żaden chłopiec nie przyszedł, ani też miednicy z wodą nigdzie brat mój nie widział, przecież Barmecyd zaczął sobie trzeć ręce tak, jakby mu kto na nie lał wodę. To czyniąc, rzekł do mojego brata: "Zbliż się i umywaj ręce razem ze mną."—Szakabak domyślił się zaraz, że pan ten lubił żarty, — a że się sam znał dobrze na nich i wiedział, że ubodzy powinni czasem bogaczom dać z siebie pożartować, jeżeli chcą odnieść jaką łaskę, zbliżył się więc i czynił to, co i gospodarz.

"Hej," rzekł natenczas Barmecyd, "niech nam tu dadzą jeść, tylko żywo, żebyśmy długo nie czekali."— Po tych słowach, lubo nic nie przyniesiono, począł udawać, jakoby wziął znowu coś z półmiska, uniósł do ust i zajadał, mówiąc do mego brata: "Jedz, mój kochany gościu, proszę cię o to bardzo; tak sobie postępuj u mnie poufale, jakbyś był we własnym domu; jedzże tylko, jedz, proszę. Jak na człowieka głodnego, zdaje mi się, bardzo mało spożywasz." — "Daruj mi, panie," odpowiedział Szakabak, czyniąc doskonale to wszystko, cokolwiek tamten czynił; — "sam widzieć możesz, że nic tracę naprózno czasu i wypełniam jak najwierniej swoją powinność." — "Cóż ci się zdaje," spytał Barmecyd, "chleb ten nie jestże wyśmienity." —"Ach panie," odpowiedział mój brat, nie widząc żadnego chleba ani mięsa, "nigdy w życiu nie jadłem bielszego, ani też smaczniejszego."— "Jedzże go więc tyle," rzekł Barmecyd, "ile ci się podoba. Niewolnica,

która go dla mnie piecze, kosztuje mnie pięćset sztuk złota."

NOC 179.

"Barmecyd," mówił dalej balwierz, "skończywszy o swojej niewolnicy i wychwalonym chlebie, który mój brat musiał udawać, że z dziwnym smakiem zajada, zawołał: "Hola, chłopcze, przynieś nam drugi półmisek. — Mój kochany gościu," rzekł jeszcze do mego brata, lubo żadnego nie widać było chłopca, "tylko cię też proszę, nabierzże sobie tej nowej potrawy pod dostatkiem, bo jadłżeś kiedy tak delikatnie przyprawioną baraninę?"—"Przedziwna jest," odpowiedział mój brat, "dlatego też spożywam ją z wielkim apetytem." —"Cieszy mię to mocno," rzecze Barmecyd, "proszę cię, ażebyś tyle zjadł tej potrawy, iżby się jej nic nie zostało, — ponieważ tak ci przypadła do smaku."— Wkrótce potem kazał dać gęś z sosem, przyprawnym octem, miodem, rodzenkami, grochem i figami, którą podobnie im usłużono jak i potrawą z baraniny.—"Gęś, widzę, jest zanadto tłusta," rzekł Barmecyd, "zjedz przynajmniej skrzydło i nogi, potrzeba albowiem, ażebyś jeszcze zachował apetyt i na inne potrawy, gdyż jeszcze będziemy tu mieć ich kilka."—Jakoż rozkazywał przynosić różne potrawy, które mój brat, ledwie nie umierając od głodu, jadł na migi równie jak tamte. Lecz gospodarz wychwalał nadewszystko baranka karmionego pistacyami, którego kazał dać na stół, tak jak inne potrawy: "Co do tego przysmaku," rzekł Barmecyd, "mogę ci zaręczyć, że u mnie tylko coś podobnego jeść możesz; nie żałuj więc sobie, proszę cię."— To mówiąc, tak przysuwał rękę do ust brata mego, jakby w niej trzymał kawałek rzeczonego baranka: "Zjedzno ten kąsek, mówię ci, a przekonasz się, jak słusznie zachwalam ci tę potrawę." — Brat mój otworzył usta i udał, jakoby wziął ten kawałek; żuł i połykał z wielkiem zadowoleniem.—"Dobrze ja wiedziałem," rzekł Barmecyd, "że ci to przypadnie do smaku."—"Nic na świecie nie może być wyśmienitszego," zawołał na te słowa mój brat; — "już to słusznie powiedzieć można, że stół twój, dostojny panie, wszystko wykwintnością swoją przewyższa."— "Niech przyniosą teraz potrawkę," zawołał Barmecyd, "spodziewam się, że ci niemniej jak baranek smakować będzie.— A co?... nieprawdę mówiłem?... — "Przepyszna jest," odpowiedział Szakabak;—"czuję w niej zapach ambry, goździków, muszkatu, pieprzu, imbieru i najwonniejszych korzeni, a wszystko to tak w miarę użyte, że jedno drugiego nie tłumi. Ach! cóż to za przysmaki!"— "Weźno się do tej przepysznej potrawki nieco żywiej," rzekł Barmecyd, "jedz tyle, ile ci się podoba; mocno cię o to proszę.—"Hola, chłopcze," zawołał znowu, "niech nam dadzą jeszcze jednę przyprawę!..." — "Ach! proszę cię, panie," przerwał mu mój brat, "niech na tem już będzie koniec. Prawdziwie, nie podobna, ażebym już mógł jeść więcej!"

"No, kiedy nie możesz, to niechże pozbierają ze stołu," rzekł natenczas Barmecyd, "a dadzą nam co na wety."—I zaczekawszy chwilkę, jakoby dając czas służbie swojej do pozbierania ze stołu, potem potarłszy sobie niby wąsy, rzecze do niego: "Pokosztujże no tych migdałów; ręczę ci, że są wyśmienite i świeżo z drzewa zerwane." —I znowu udawali obaj przed sobą zdejmowanie skórki z migdałów i jedzenie, poczem Barmecyd, zachęcając mojego brata, aby jadł także inne owoce, rzekł: "Oto masz wszelkiego rodzaju owoce, ciasta, konfitury suche i wyśmienite komputy, wybieraj i jedz, które sam chcesz." — Tu wyciągnąwszy rękę, jakby mu co podawał, dodał: "Oto masz, jest cudny pierniczek, bardzo dopomagający do strawności."—Szakabak udał, jakoby go odebrał i jadł, chwaląc, że muszkatu w nim dosyć. — "Takie pierniczki u mnie tylko umieją robić," odpowiedział Barmecyd, "a ja tak do nich jako i do innych przysmaków niczego nie każę żałować." — I nanowo prosił mojego brata, ażeby jadł. —"Na człowieka, który był aż do tego cza-

su naczczo, zdaje się," mówił dalej, "że jadłeś bardzo mało." — "Panie," odpowiedział mu Szakabak, czując już ból w szczękach od daremnego niemi ruszania;— "prawdziwie powiadam, że już najmniejszego kąska zjeść nie potrafię, tak się dobrze z łaski twej nasyciłem."

"Luby mój gościu," rzekł Barmecyd, "po tak sutem jedzeniu potrzeba nam się napić. — Czy będziesz pił wino?" — "Panie," rzekł do niego mój brat, "proszę cię, ażebyś mię miał za wymówionego w tej mierze, że wina pić nie będę, ponieważ to mi jest zakazane." — "Zanadto wielki z ciebie skromniś," odpowiedział Barmecyd, "czyń to proszę cię, co i ja będę czynił."—"Uczynię to nareszcie, co żądasz, panie. dla pozyskania twojej łaski," rzekł Szakabak, "bo widzę, że chcesz, ażeby niczego nie brakło do wytworności uczty. Lecz że nie jestem przyzwyczajony do wina, obawiam się, ażebym nie uchybił przyzwoitości albo uszanowaniu, które ci winien jestem; przeto raz jeszcze pokornie cię upraszam, ażebyś mię nie przymuszał do picia wina; ja chcę poprzestać na wodzie."—"Nie dopuszczę tego żadnym sposobem," zawołał Barmecyd, "musisz koniecznie pić wino. I natychmiast zawołał, ażeby przyniesiono wina, ale takie same było wino jak i potrawy. Po chwili Barmecyd udawał, jakoby nalewał w kieliszek i pił pierwszy, potem, udając jakby nalał memu bratu, podał mu niby szklankę i rzekł: "Pijże do mnie, ręczę, że ci się spodoba to winko."—Brat mój udał, jakoby odebrał szklankę i jakoby przypatrywał się jej zbliska, chcąc zobaczyć, czy kolor wina był piękny i przytykał niby do nosa, próbując, czy wydawało miły zapach. Potem skłonił nisko głowę ku Barmecydowi, oświadczając mu, że teraz pije za jego zdrowie. Krótko mówiąc, tak dobrze grał swoją rolę pijaka i pieczeniarza, iż wszystkie zachował poruszenia, jakie widzieć się dają w człowieku jedzącym z zadowolnieniem. — "Panie," rzekł, "wino to jest arcywyśmienite, lecz zdaje mi się być za słabe."—"Jeżeli pragniesz tęższego," rzecze Barmecyd, "mów, mam w mojej piwnicy kilka gatunków. Skosztuj, jeżeli ci się to podoba!"— Wymówiwszy te słowa, udał jakoby innego wina pierwej sobie a potem mojemu bratu nalewał, co tak wiele razy powtórzył, że Szakabak zmyśliwszy, iż go wino rozgrzało, począł udawać pijanego człowieka i tak silnie ugodził Barmecyda ręką w bok, że go odrazu powalił o ziemię. Chciał go jeszcze drugi raz palnąć, lecz Barmecyd, zasłoniwszy się ręką i odpierając cios, zawołał: "Cóż to, cóż to jest, oszalałeś?" — Naówczas mój brat, wstrzymawszy się, rzekł: "Raczyłeś mię sługę twego tak ludzko przyjąć i wyprawić mi taką wspaniałą ucztę, lecz nie potrzeba było dawać mi wina. Przestrzegałem cię bowiem, że, napiwszy się, mógłbym wykroczyć przeciwko uszanowaniu. Żałuję teraz mocno, daruj mi moje wykroczenie."

Zaledwie wymówił te słowa, Barmecyd, zamiast gniewu o takie zuchwalstwo, począł się śmiać ze wszystkich sił. — "Dawno już," rzekł, "pragnąłem znaleźć tak osobliwego człowieka jak ty jesteś."

NOC 180.

"Barmecyd ucałował Szakabaka. — "Nietylko," rzekł, "nie gniewam się o to, żeś mię uderzył; lecz pragnę, żebyśmy odtąd byli dobrymi przyjaciółmi i żebyś dom mój uważał na przyszłość za swój własny. Byłeś tak względny, żeś dogadzał mojemu humorowi i z wielką cierpliwością znosiłeś moje żarty. Za to będziemy tu zaraz jedli ze sobą naprawdę. Po tych słowach, klasnął w ręce i kazał kilku służącym, którzy natychmiast przybiegli, ażeby czemprędzej jeść dawano. Rozkaz jego z szybkością został wykonany i uraczył brata mego temiż samemi potrawami, któremi przed chwilą zaostrzał żartobliwie jego głód. — Gdy pozbierano ze stołu, przyniesiono wina i wprowadzono kilkanaście przedziwnej urody niewolnic bogato przybranych, które przy towarzyszeniu instrumentów muzycznych, nuciły śliczne piosenki.

Krótko mówiąc, Szakabak ze wszech miar był zadowolniony dobrocią i gościnnością Barmecyda, który bardzo go sobie ulubiwszy, postępował z nim poufale i rozkazał mu dać nowe suknie ze swej szatni.

Barmecyd znalazł w bracie moim tyle rozsądku i tak wielką wiadomość rzeczy, że w kilka dni powierzył mu wszystkie swe sprawy. Brat mój wypełniał swój urząd z nadzwyczajną biegłością przez lat dwadzieścia. Po upływie tego czasu wspaniały Barmecyd wiekiem obciążony żyć przestał. Po jego śmierci, ponieważ żadnego nie miał spadkobiercy, cały jego majątek wzięto na skarb monarchy. Zabrano podobnież i bratu memu wszystko co posiadał, tak dalece, że do pierwszej strącony tym sposobem niedoli, zmuszony został przyłączyć się do karawany pielgrzymów, jadących do Mekki, w nadziei, że przez miłość bliźniego pomogą mu do tej podróży. Nieszczęściem Beduini[1] napadli na karawanę, złupili wszystkich i w niewolę zabrali. Brat mój został niewolnikiem jednego z nich, który przez kilka dni kazał go smagać kijmi, ażeby go do okupienia się przymusić. Szakabak zaręczał mu, że go nadaremnie katuje.—"Jestem twoim niewolnikiem," wołał z płaczem, "możesz ze mną uczynić, co ci się będzie podobało; lecz przysięgam ci, że jestem bardzo ubogi i że przeto nie w mojej mocy, ażebym ci się okupił." — Lecz nadaremnie biedny opowiadał swoją nędzę i usiłował zmiękczyć go łzami. Okrutny Beduin rozgniewany, że nie mógł na nim wycisnąć spodziewanej zdobyczy, dla pomszczenia mniemanej swojej straty, rozciął mu nożem wargi.—Beduin ten miał żonę dosyć piękną i często, gdy wychodził dla zdobyczy, zostawiał z nią mojego brata. Wtedy żona jego nieomieszkała wszelkimi sposobami pocieszać mojego brata w tak okrutnej niewoli. Liczne okazywała mu dowody swojej ku niemu miłości; lecz brat mój nie śmiał jej okazać się wzajemnym, z obawy, ażeby kiedy tego nie pożałował, i nie chciał nigdy znajdować

1. Beduini są to Arabowie, błąkający się po pustyniach i rabujący karawany.

się z nią sam na sam, lubo różnych dla dopięcia tego zamiaru szukała sposobów i tak dalece przyzwyczaiła się do żartowania z biednym Szakabakiem, ile razy go spotkała, że się jej przez nieostrożność przytrafiło uczynić to i w obecności swego męża. Brat mój, nie uważając, że się ten zbójca na to patrzył, pozwolił sobie nawzajem z nią żartować. Beduin uroił sobie natychmiast, że oboje żyli w podejrzanej miłości, i rozjuszony rzucił się z wściekłą zajadłością na mego brata, okrutnego nabawił go kalectwa i, wsadziwszy na wielbłąda, zawiózł na wysoką górę, gdzie go prawie bez duszy porzucił. Góra ta była przy drodze prowadzącej do Bagdadu; przeto podróżni, którzy go widzieli w tym stanie, dali mi o tem wiadomość. Poszedłem w to miejsce jaknajśpieszniej i znalazłem nieszczęśliwego Szakabaka w nader opłakanym stanie. Udzieliwszy mu pomocy, przyprowadziłem go do miasta.

Otóż to jest wszystko, panowie moi, co opowiedziałem kalifowi Montasser Billah. Monarcha ten, śmiejąc się na cały głos, dał poznać zadowolenie swe z moich opowiadań. — "Teraz dopiero widzę," rzekł do mnie, "i wątpić już nie mogę, że cię sprawiedliwie nazwano małomównym. Nikt inaczej twierdzić nie może; dla pewnych atoli przyczyn, rozkazuję ci, ażebyś jaknajprędzej wyniósł się z miasta. Idź i żebym więcej nie słyszał już o tobie."—Usłuchałem jego rozkazu i podróżowałem przez lat kilka po cudzych krajach. Dowiedziawszy się wreszcie o śmierci kalifa, wróciłem do Bagdadu, gdzie nie zastałem już żadnego z braci moich przy życiu. Właśnie po tym moim powrocie uczyniłem znaczną przysługę młodzieńcowi, którego tu widzieliście przed chwilą. Sami byliście świadkami jego niewdzięczności i niegodziwego obejścia się ze mną. Zamiast okazania się wdzięcznym, wolał uciekać przedemną, porzucając własną ojczyznę. Jak tylko więc usłyszałem o jego wyjeździe z Bagdadu, lubo nikt nie umiał mi powiedzieć, w które u-

dał się strony, postanowiłem jednak szukać go wszędzie. Oddawna już podróżuję po różnych krajach i niespodzianie dziś znalazłem go tu między wami. Nie spodziewałem się jednak nigdy zastać go tak rozjątrzonym przeciwko mej osobie za tyle moich usług..."

NOC 181.

"Na tem zakończył krawiec opowiadanie sułtanowi kasgarskiemu historyj młodzieńca kulawego i balwierza z Bagdadu.

"Gdy balwierz," mówił dalej krawiec, "skończył nam swe historye, poznaliśmy, że młodzieniec nie nadaremnie uskarżał się na jego wielomówność. Pomimo tego pozwoliliśmy, aby się z nami zabawił i pozostał na naszej uczcie. Siedliśmy więc do stołu i biesiadowaliśmy wesoło aż do modlitwy. Gdy nadszedł czas modlitwy, całe towarzystwo rozeszło się, a ja powróciłem do mojego warsztatu, w celu oddania się zwyczajnym zatrudnieniom aż do wieczora.

W tym to przeciągu czasu, garbusek ten na pół pijany, usiadł przed moim sklepem, zaczął śpiewać i grać na biskajskim bębenku. W mniemaniu, że, wziąwszy go ze sobą, potrafię zadowolnić i zabawić moją żonę, prosiłem go, ażeby poszedł ze mną. Żona moja zastawiła nam półmisek ryb, dałem z nich dzwono garbuskowi, który, łakomie i nieostrożnie jedząc, udławił się ością i padł przed nami bez zmysłów, do których już przywróconym być nie mógł. Przypadek ten nieszczęśliwy bardzo nas obojga strapił i mimo bojaźni, w jakiej zostawaliśmy, przezorność nam doradziła, ażebyśmy go z domu jaknajprędzej wynieśli: jakoż dokazaliśmy tej sztuki, żeśmy go żydowi lekarzowi dali w gościnę. Żyd lekarz spuścił go do pokoju szafarza, a szafarz wyniósł na ulicę, gdzie posądzono kupca, że go zabił. Oto jest cała historya, najjaśniejszy panie, którą pragnąłem opowiedzieć. Od ciebie teraz, miłościwy panie, zależy ułaskawić nas, lub ukarać śmiercią."

Sułtan kasgarski po wysłuchaniu powieści okazał twarz łagodniejszą, co ożywiło nadzieję krawca i jego towarzyszów.—"Nie mogę przeczyć," rzekł, "że historya kulawego młodzieńca i balwierza, oraz przygody jego braci, nie są zabawniejsze od przygody mojego biednego garbuska. Lecz nim odejdziecie stąd wszyscy czterej i nim pogrzebią ciało tego nieboszczyka, chciałbym widzieć balwierza, któremu winni jesteście, że wam przebaczam; że zaś znajduje się w mieście, łatwo więc mogę zaspokoić moją ciekawość." — To rzekłszy, wysłał halabardnika z krawcem, który wiedział, gdzie się mógł znajdować balwierz.

Jakoż obaj posłańcy powrócili niebawem i przyprowadzili sułtanowi balwierza. Był to człowiek w sędziwym wieku, mający już lat z 90. Miał brodę i brwi białe jak śnieg, uszy obwisłe i nos nadzwyczajnie długi. Sułtan nie mógł się wstrzymać od śmiechu, gdy go ujrzał.—"Człowiecze małomówiący," rzekł doń, "dowiedziałem się, że umiesz wiele pięknych historyj. Czy nie chciałbyś mi której opowiedzieć." — "Najjaśniejszy panie," odpowiedział balwierz, "dajmy teraz pokój moim historyom; chcę wprzód zapytać was pokornie, co tu porabia ten chrześcianin, żyd, muzułman i umarły garbusek, którego widzę leżącym u stóp waszych?" — Sułtan uśmiechnął się na tę śmiałość balwierza i odpowiedział: "Na cóż ci się to przyda wiedzieć?" — "Najjaśniejszy panie," odpowiedział balwierz, "pytanie to uczyniłem dlatego, ażebyś wasza sułtańska mość poznał, że nie jestem wielkim gadułą, jak niektórzy mniemają, lecz sprawiedliwie od większości nazwany małomówiącym..."

NOC 182.

"Sułtan Kasgaru był na tyle dobrym, że zadosyćuczynił ciekawości balwierza. — Rozkazał, ażeby mu opowiedziano historyę garbuska. Po skończonem opowiedzeniu jej, balwierz uczynił znak, którym dał do zrozumienia, że jeszcze coś przed nimi zatajone.—"Nie

przeczę," zawołał, "że historya ta jest przedziwna; lecz radbym jeszcze przypatrzyć się zbliska garbuskowi." — Zbliżywszy się więc do niego, usiadł na ziemi, wziął głowę jego na kolana i, przypatrzywszy mu się dobrze, zaczął na cały głos śmiać się z takiem nieumiarkowaniem, że aż plecami padł na ziemię. Potem, powstawszy w pośród ciągłego śmiechu, zawołał: "Sprawiedliwie mówią, że nikt nie umiera bez przyczyny. Jeżeli która historya zasługuje na wypisanie jej złotemi literami, to bez wątpienia historya garbuska ma prawo do pierwszeństwa przed innemi."

Wszyscy, którzy słyszeli te słowa balwierza, mniemali, że albo doskonałym jest błaznem, albo że dla starości utracił rozum. Lecz po uspokojeniu się rzekł: "Najjaśniejszy panie, — przecież ten garbaty nie umarł: on żyje jeszcze, i niech mnie za szalonego okrzyczą, jeżeli nie okażę tego za chwilę." — Po tych słowach wyjął puszkę, w której miał wiele lekarstw. Wyciągnął z niej mały słoik z balsamem, którym nacierał długo kark garbuska. Wyjąwszy następnie ze swojego pudełka żelazny instrumencik, otworzył mu usta i, włożywszy w gardło delikatne kleszczyki, wyciągnął kawałek ryby z kością i pokazał go wszystkim. Niebawem garbusek odkaszlnął, wyciągnął ręce i nogi, otworzył oczy i dał niezaprzeczone znaki życia. Sułtan, pełen radości i podziwienia, kazał spisać natychmiast historyę garbuska razem z historyą balwierza, chcąc, ażeby tak cudne ich przygody potomności przekazane być mogły. Nie poprzestał jednak na tem: chcąc aby krawiec, lekarz, żyd, szafarz i chrześcianin przypominali sobie zawsze z zadowoleniem swe przygody, których przypadek garbatego był powodem, kazał ich w swej obecności przybrać w bogate szaty. Co się tyczy balwierza, większym go jeszcze udarował zaszczytem, wyznaczył mu albowiem znaczną pensyę i zatrzymał przy sobie."